

POLITYKA PO POLSKU

Rytualne polowanie na „agentów Putina”
- PiS oskarża Platformę, Platforma - PiS



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 50/506 12-18 GRUDNIA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Ziemkiewicz
o micie Narutowicza



Cejrowski ostro przeciw
konfiskowaniu aut
nietrzeźwym kierowcom

JAROSŁAWA KURSKIEGO PORACHUNKI Z POLSKOŚCIĄ

Krzysztof Masłoń
o książce „Dziady i dybuki”
– wspomnieniach
wiceszefa
„Gazety Wyborczej”



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 53 500 egzemplarzy

eprasa.pl bf042c25d5



4 edycja
 **Podkarpacki
Kongres
Gospodarczy**

14 GRUDNIA 2022

G2A Arena Jasionka k. Rzeszowa

- **Biznes**
- **Ludzie**
- **Nauka**
- **Gospodarka**
- **Rynek Pracy**

PARTNER GŁÓWNY

wprost

PARTNERZY MERYTORYCZNI



CENTRUM
PROMOCJI
BIZNESU

OPTEA
POMOCNIK
FIRMY



Business Centre
Club
LOKALIZACJA

PARTNER

pracujzdalnie.pl

PARTNER HONOROWY



IZBA
PRZEMYSŁOWO-
HANDLOWA
W RZESZOWIE

PATRONAT HONOROWY





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Gniew Moniki Olejnik

Kilka ostatnich wypowiedzi byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego zaskoczyło mnie. Skonstatowałem to z tym większym zdziwieniem, że w czasie, gdy Komorowski był prezydentem, wielokrotnie i jednoznacznie go krytykowałem. Tymczasem teraz, co się tyczy wojny Rosji z Ukrainą, były prezydent wypowiada się, niech padną wreszcie te obrazoburcze słowa, trzeźwo, co szczególnie uderza w zderzeniu z powszechną histerią. Niejedyny to zresztą polityk na emeryturze, któremu nagle wraca zdolność rozumowania – czy to jest tak, że sam w sobie udział w czynnej polityce aż tak bardzo ogłupia ludzi?

Mimo całej tromtadracji zwolenników przedłużania konfliktu nie potrafię dostrzec, jak miałyby się stać bez wybuchu trzeciej wojny światowej i bez skokowego wzrostu liczby ofiar

Tak czy inaczej były prezydent się wyłamał, to jedyny chyba przykład tej rangi polskiego polityka, z niszczącej polską debatę konkurencji, w której to władza na zmianę z opozycją przekrzykuje się i walczy o to, kto pokaże, że bardziej nienawidzi Rosji, oraz kto bardziej i głośniej obwieści, jak bardzo potępia Putina. W efekcie nie da się racjonalnie dyskutować o cenie zaangażowania polskiego państwa we wspieranie Ukrainy, o możliwych jego kosztach i granicach, poza które nie należy wykraczać. Każdy, kto to robi, natychmiast zostaje uznany za ruskiego agenta i na tym w zasadzie rozmowa się kończy, o ile w ogóle się zaczyna.

Nic dziwnego, że w takiej atmosferze pobudzenia ostatnia odpowiedź Bronisława Komorow-

skiego na pytanie Moniki Olejnik o to, czy gdyby był teraz prezydentem, rozmawiałby z Władimirem Putinem, całkiem ją zszokowała. „Gdybym był prezydentem Polski, która zмага się w sposób dramatyczny, jest mocno osamotniona i zagrożona śmiertelnie, to ja bym negocjował i z diabłem” – te słowa Komorowskiego właściwie nie miały prawa paść. Myśl o tym, że Polska może utrzymywać jakiekolwiek kontakty z Moskwą i cokolwiek negocjować, jest całkowicie i absolutnie wyklęta. Jest wyklęta, bo – jak powiedziała rozgniewana Olejnik – w tym przypadku jest ona wyrazicielką zbiorowej, powszechnej i całkowicie niewzruszonej świadomości ogółu Polaków – przecież „Putin codziennie morduje ludzi”. Z mordercami, terrorystami, ze zbrodniarzami rozmawiać nie wolno, bo każda taka rozmowa przecież ich ośmiela, budzi poczucie bezkarności oraz podważa wolę walki Ukraińców. Z Putinem nie wolno rozmawiać, bo ze złem się nie paktuje itd., itp.: jak mówię, Olejnik wyraża tu pogląd powszechny.

Odziwo, były prezydent nie dał się zbić z pantałyku i odpowiedział rozsądnie, że „dzisiaj Ukraina wygrywa wojnę i bardzo się z tego wszyscy cieszymy, ale trudno sobie wyobrazić, że będzie kapitulacja bezwarunkowa Rosji tak, jak była bezwarunkowa kapitulacja III Rzeszy i śmierć Hitlera w bunkrze”. A skoro tak, to znaczy, że prędzej czy później do porozumienia i kompromisu dojdzie. Tylko totalny upadek Kremla i bezwarunkowa kapitulacja – np. wprowadzenie amerykańskich wojsk okupacyjnych do Moskwy (bo chyba nawet najwięksi optymiści nie wierzą, że Moskwę zajmą same jednostki ukraińskie) – mogłyby to zmienić.

Jeśli do negocjacji nie dojdzie, to Polska musi mierzyć się z coraz bardziej przedłużającą

się wojną u naszych granic. Mimo całej tromtadracji i ekscytacji zwolenników przedłużania konfliktu – skończy się on, tylko jeśli Ukraina odzyska każdy centymetr zagarniętej przez Rosjan ziemi, a Putin trafi do więzienia – nie potrafię dostrzec, jak miałyby się to stać bez wybuchu trzeciej wojny światowej i bez skokowego wzrostu liczby ofiar, również polskich. Takie rzeczy łatwo się mówi i łatwo się je sobie wyobraża tylko wtedy, kiedy pomija się drażliwą kwestię masowej skali dodatkowych cierpień.

Ogół polskich polityków jednak myśl o „rozmowie z Putinem” – Komorowski trafnie zauważył, że takie rzeczy robi się przez pośredników – odrzuca ze wstrętem. Jaki jest tego skutek? Cóż, z Putinem będą negocjować inni, i to za naszymi plecami. To kwestia czasu.

Są dwie możliwości. Pierwsza: prędzej czy później Niemcy, Francja i inne państwa europejskie wymuszą na Amerykanach zmianę stanowiska i nastąpi wtedy poszukiwanie formy porozumienia z Kremlm. Zasugerował to zresztą ostatnio sam prezydent USA Joe Biden, który to wspominał o możliwości negocjacji z Rosją, nie wspominając zresztą w ogóle Ukrainy. Poza Polakami trudno znaleźć mi w Europie innych zwolenników opcji wojennej. Druga: powstanie koalicja chętnych państw pod przywództwem USA, która to wkroczy na tereny ukraińskie. Jednak nawet w takim przypadku, dramatycznie ryzykownym dla Polski, konflikt zapewne skończy rozmowy. W obu wariantach będzie musiało w nich brać udział Rosja. Czy zatem Komorowski się myli, twierdząc, że wyrzekając się myśli o negocjacjach, Polska zapomina o swoim interesie? Nie sądzę. ©

TEMAT TYGODNIA

14 KRZYSZTOF MASŁOŃ
WZORCOWE CV
JAROSŁAWA KURSKIEGO
Porachunki z polskością
wiceszefa „Wyborczej”



KRAJ

20 ROZMOWA
Z DR. HAB. BARTŁOMIEJEM BISKUPEM
POPULIZM W WERSJI SOFT
Wybory wskażą kierunek światopoglądowy,
w którym pójdziemy

24 JAN FIEDORCZUK
POLOWANIE NA „AGENTÓW PUTINA”

26 ŁUKASZ WARZECHA
BEZ ŚLADÓW ZAMACHU

28 ZUZANNA DĄBROWSKA
MATRONA OD DEKONSTRUKCJI

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
ŁĄCZY NAS FORSA

KULTURA

32 ŁUKASZ CZARNECKI
KIMONO ZAWSZE W MODZIE
Czego nie wiecie o japońskim stroju

36 PIOTR GOCIEK
ŚWIĘTA NA ŻĄDANIE

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 TOMASZ ROWIŃSKI
CENTROPRAWICOWA MISTYKA?
Czy Polacy mają misję?

48 JAN PARYS
JAK POLSKA MA FUNKCJONOWAĆ
W EUROPIE



50 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MIT NARUTOWICZA:
HUCPA STULECIA

52 WOJCIECH GOŁONKA
EKSSZPIEDZY IZRAELA W GAFA

HISTORIA

54 ANDRZEJ NOWAK
WSTĘP DO NAJNOWSZEJ HISTORII
Fragment książki „Wojna i dziedzictwo”

ŚWIAT

60 JAN BOGATKO
JĘŚLI DZIŚ ŚRODA,
TO JESTEŚMY W RZESZY
Pucz za Odrą?

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
REWOLUCJA POŻERA WŁASNE DZIECI

64 PIOTR WŁOCZYK
WYBORCZY TWITTER

EKONOMIA

66 MARIA KĄDZIELSKA
JAK OTRUĆ WŁASNY NARÓD?
Podrabianie jedzenia

SPORT

70 ROZMOWA Z JOANNĄ SAKOWICZ-KOSTECKĄ
SUKCES DZIĘKI UPOROWI RODZICÓW
Jeśli ktoś nie wie, jak działa sport, to ma trudniej

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (58), PRZYBYLSKI (59), GABRYEL, WARZECHA (68), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)



**Pierwsza stłuczka?
Nie szkodzi!**



**Ochrona Zniżki OC
już za 35 zł rocznie**

MATERIAŁ MARKETINGOWY

Klauzula Ochrona Zniżki działa w przypadku pierwszej szkody z OC oraz pierwszej szkody z AC dla danego pojazdu, pod warunkiem opłaty dodatkowej składki przy ubezpieczeniu OC lub pakiecie OC/AC. Klauzula nie jest dostępna w przypadku braku historii ubezpieczenia OC u wszystkich właścicieli pojazdu lub gdy wystąpiła szkoda z OC w ostatnim roku u któregośkolwiek z właścicieli pojazdu. Szczegółowe informacje dostępne są w OWU Komunikacja na stronie www.link4.pl.

TYGODNIK LIŚKIEGO
DO
RZECZY
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
 Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Radosław Wojtas

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

 Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
 Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemińiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

 Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
 Wiesław Chelminiak, Dominika Cośic (Bruksela),
 Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
 Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
 Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
 Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
 Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
 Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
 Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
 Błażej Toraniński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wojski,
 Małgorzata Wokczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski,
 Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL: redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
 Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
 Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski,
 Łukasz Żygadło.

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
 Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
 Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedytacja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
 Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wemerowska,
 Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa
 Okładka: Bartłomiej Zborowski/PPAP

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polska Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polska Media SA:

 Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
 Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 510 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

 Adam Borzęcki (kolportaż): Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; Joanna Gosek, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, **Nakład** 53 500 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji

 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Szacunek do Polski”, Paweł Lisicki, „DRz” 48/2022

Artykuł wstępny red. Pawła Lisickiego znakomity, bardzo stonowany i delikatny. Zaiste sprawa jest bulwersująca i kuriozalna! A przy okazji chciałem się podzielić niedającą mi spokoju refleksją dotyczącą wypadku w Przewodowie. Czy nie powinien prezydent Zełenski wystąpić choć przez parę minut w telewizji i w swoim ulubionym podkoszulku zwrócić się do Polaków ze słowem „przepraszam”, i wyrazić swoje ubolewanie szczególnie dla nas, którym tyle ostatnio Ukraina zawdzięcza? Zamiast tego udawanie, że to nie ich

rakiety. Dużo łatwiej byłoby przyjąć nam ten przykry incydent jako „wypadek przy pracy”. Pomijam już sprawę odszkodowania finansowego dla rodzin tragicznie zmarłych. Nie tak buduje się przychylność i empatię, chyba że jest się zbyt pewnym „miłości” naszego Pana Prezydenta i reszty Polaków.

**Serdecznie pozdrawiam całą Redakcję
Wasz stały czytelnik Marcin Vetter**

„Fundusz Długu Niekontrolowanego”, Jakub Wozinski, „DRz” 45/2022

Szanowni,
z niepokojem przeczytałem artykuł Pana Jakuba Wozinskiego z „DRz” nr 45/2022 „Fundusz Długu Niekontrolowanego”, omawiający skalę wydatków pozabudżetowych pozostających poza kontrolą Sejmu i nieograniczonych konstytucyjnymi regułami. To prawdziwy skandal, że poza kontrolą jednostki te wydadzą łącznie rocznie 487 mld zł. Jeżeli to jest sposób na walkę z szarą strefą, to chyba jest zły kierunek.

Ostatnio przeanalizowałem listę beneficjentów Polskiego Funduszu Rozwoju (PFR) – tzw. tarcza nr 1 dla dużych firm – i, o zgrozo, są tam firmy niepolskie, to znaczy takie, które mają obcy kapitał właścicielski lub przeniosły swoje aktywa do krajów o niskim opodatkowaniu. Pamiętam, jak premier Morawiecki uzasadniał udzielenie pomocy firmom na podstawie płacenia podatków w POLSCE. To jest zrozumiałe dla każdego Polaka. Płacisz u nas podatki – dostaniesz pomoc od państwa według zasług (czyli wpłaconych podatków). Przeprowadziłem rozmowę z miłą panią z PFR, która mnie zapewniała, że wszystko jest OK i zgodne nie z polskimi przepisami,

tylko z unijnymi. Byłem i jestem przeciwnikiem UE. Nie życzę sobie, aby ktoś dyktował nam, co dla nas dobre czy złe. Zawsze na tym źle wychodziliśmy. Mam wątpliwości np. co do firm, które otrzymały milionowe dofinansowanie; wymaga to ponownego

sprawdzenia przez odpowiednie organa, chyba że faktycznie, tak jak pisze autor, FUNDUSZE są bezkarne, poza jakąkolwiek kontrolą. Tym gorzej dla nich i wymagają pilnej likwidacji [...].

Ja rozumiem, prezes PFR po sześciu latach prezesowania może być zmęczony, ale musi mieć choć jednego pracownika do sprawdzenia właścicieli firmy i tego, gdzie odprowadzane są podatki – do naszego fiskusa czy gdzie indziej. To powinien być najważniejszy warunek przydzielenia pomocy finansowej. Nie wymaga to wysiłku, wystarczy telefon/e-mail do Izby Skarbowej, do kogoś z GPW lub KNF. Jeden jedyny TELEFON/E-MAIL. Właściwie nie wiem, czym się zajmuje KNF. Na GPW też panuje anarchia.

Mam nadzieję, że ktoś sprawdzi zasadność przydzielenia pomocy, bo jeśli nie, to z pewnością zrobią to wasi przeciwnicy po przejęciu władzy. Jeśli nie teraz, to później.

**Pozdrawiam
Mariusz Czech z Warszawy**





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nowe szaty Jacka Kurskiego

Szorstka przyjaźń z Jarosławem Kaczyńskim? Czy to w ogóle możliwe? Jednym z dosłownie paru przypadków, gdy jakiś polityk z szeroko rozumianego obozu Naczelnika wchodził z nim w konflikt, a potem dochodziło do ich dalszej współpracy, był Jacek Kurski. Od czasu, gdy w 1991 r. zdecydował on o porzuceniu zawodu dziennikarza i rzuceniu się w nurty polityki, drogi Jarosława Kaczyńskiego i Jacka Kurskiego parokrotnie się krzyżowały, rozchodziły i ponownie krzyżowały. Kurski był w takich partiach jak Ruch Odbudowy Polski Jana Olszewskiego, przez pewien czas był w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym, a nawet w Lidze Polskich Rodzin.

Po tym, jak w 2005 r. dostał się do Sejmu z listy PiS, wydawało się, że jest to już ostateczne pojednanie z Jarosławem Kaczyńskim. A jednak w 2012 r. Kurski był obok Ziobry w grupie młodych działaczy, która postawiła pytania o sposoby podejmowania decyzji w partii. W 2014 r. Kurski, rozczarowany Ziobrą, powrócił do PiS i po krótkim epizodzie roli podsekretarza stanu w Ministerstwie Kultury (jesienią

2015 r.) w lutym 2016 r. został prezesem TVP.

Gdy na początku września został zdymisjonowany, Kurski podkreślał na Twitterze, że stało się to „w wyniku decyzji mojego środowiska politycznego w porozumieniu ze mną”. Kurski nie wyjaśniał wówczas, na czym miałyby polegać to porozumienie, ale np. „Newsweek” pisał: „Jacek Kurski ma obiecane miejsce na liście PiS do Sejmu, przekonuje prezesa Kaczyńskiego, by zrobił go ministrem cyfryzacji”. „Newsweek” informował, że miało dojść do paru spotkań z prezesem w tej sprawie.

Według dość wiarygodnego źródła z Nowogrodzkiej Kurski odszedł z TVP, mając obiecane Ministerstwo Cyfryzacji. Później jednak cały czas miał słyszeć, że nominacja będzie, ale później. Po ponad dwóch miesiącach, w listopadzie br., były prezes TVP miał się dowiedzieć, że koniec końców Morawiecki nie zgadza się na wskrzeszenie Ministerstwa Cyfryzacji i jego kandydaturę. W tych okolicznościach nawet propozycja, by został on szefem tzw. komisji energetycznej, która miałaby badać działania rządu Tuska w relacjach z Rosją, nie okazała się wystarczająco atrakcyjna.

Można przyjąć, że w tej sytuacji objęcie wakatu na stanowisku przedstawiciela Polski przy Banku Światowym, o którym powiadomił Kurskiego Adam Glapiński, było dla byłego prezesa TVP o wiele lepszym wyjściem. Już we wrześniu br., gdy opisywałem w „Do Rzeczy” dymisję szefa TVP, pisałem, że „Kurski nie jest osobą, której można dać byle co”.

Teraz ambitny gdańszczanin schodzi z linii sporu z Morawieckim i ma teoretycznie szansę pozostania na stanowisku do 2028 r., kiedy to kończy się kadencja obecnego szefa NBP. Jednocześnie Kurski nie chce palić mostów z PiS i wysyła ponoć sygnały, że jest gotów natychmiast zrzec się funkcji w Waszyngtonie, jeśli otrzyma jakąś poważną „krajową ofertę”. Kurski zademonstrował, że nie pozwoli na czołganie się na politycznej kwarantannie, może jednak zapłacić za to poważną cenę – choćby stracić szansę na miejsce na listach PiS w jesiennych wyborach do Sejmu. Ale ryzykuje też Kaczyński. Dotąd stosował on zasadę: lepiej mieć Kurskiego po swojej stronie. Szorstka przyjaźń poddana zostanie kolejnemu testowi. © ©



WIELKI POŻAR POD MOSKWĄ

Gigantyczny pożar strawił w piątek rano ogromny kompleks handlowo-rozrywkowy Mega Khimki na obrzeżach Moskwy. Ogień objął 17 tys. mkw. Przed rozpoczęciem wojny na Ukrainie w centrum tym mieściły się sklepy najsłynniejszych zachodnich marek, które po rosyjskiej inwazji wycofały się z tego kraju. Według rosyjskich władz prawdopodobną przyczyną pożaru była usterka elektryczna, choć jako możliwą przyczynę pożaru śledczy mają zbadać również podpalenie. (jap) © ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Tofu armatnie

Aby użyć ulubionej frazy lewicowo-liberalnej opozycji i jej mediów, minister Błaszczak podzielił Polaków. Przynajmniej tych przed 55. rokiem życia i płci, formalnie rzecz biorąc, męskiej. Podzielił ich mianowicie na tych, którzy na wiadomość o możliwości bycia wezwanym na ćwiczenia wojskowe zareagowali spokojnie, i tych, którzy popadli w histerię, jakby już wysyłano ich na rzeź.

Zaznaczam, że nie mam tu na myśli ludzi podnoszących argumenty rzeczowe – obawiających się o sytuację jedynych żywicieli rodzin, ludzi odrywanych od studiów i pracy czy o sytuację pracodawców, którym mogą nagle zabrać do wojska pracowników trudnych do czasowego zastąpienia. Nie, tego typu dyskusje

to jedno – a drugie to eksplozja w mediach społecznościowych deklaracji pogardy i nienawiści do „tego kraju”, zaklęć typu „żaden pisowski urzędnik nie będzie mnie posyłał na śmierć”, wskazań konkretnych miejsc, gdzie autorzy tych deklaracji mają jakąś „patriotyczną propagandę”, a często też piszą, że nie zamierzają niczego poświęcać dla Ukraińców, którzy, jak wiadomo, jeden w drugiego są banderowcami i zbrodniarzami. „Nie będę mięsem armatnim” – oznajmiają na różne sposoby młodszy i starsi Polacy, choć z ich profili jasno widać, że na mięso nie nadają się w najmniejszym stopniu, co najwyżej na armatnie tofu.

Internet jest ściekiem, celowo jeszcze zalewanym nieczystościami specjalnie w tym celu produk-

wanymi przez farmy trolli, trzeba więc do tej erupcji podchodzić z dystansem – niemniej zjawisko istnieje, mogę stwierdzić z autopsji, dokonanej zresztą, co może niektórych zaskoczyć, na siłowni. Okazuje się, że wielu osobników, formalnie rzecz biorąc, płci męskiej chodzi tam tylko po to, by wypracować sobie perfekcyjną linię łydek czy pośladków i dobrze wyglądać w modnych ciuszkach, ewentualnie w tańcu.

Pewną pociechę stanowi natomiast postawa pakujących dziewczyn, które chętnie deklarują, że w razie potrzeby chciałyby się zaciągnąć i odstrzeliwać ruskim... powiedzmy, siedzenia. Nie wiem, na ile moje obserwacje są reprezentatywne, ale coś się z tym światem porobiło dziwnego. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Tako rzecz Olaf Scholz

Niemiecki kanclerz w opublikowanym właśnie artykule w „Foreign Affairs” ogłosił światu, na czym będzie polegać rola Niemiec w epoce, którą otwiera obecny Zeitenwende (przełom w historii świata). W tej ważnej deklaracji jedno zdanie nie może nam umknąć: „Historia mojego kraju powierza nam szczególną odpowiedzialność za walkę z siłami faszyzmu, autorytaryzmu i imperializmu”.

Niemiecka „szczególna odpowiedzialność” – to brzmi groźnie, tym bardziej wtedy, gdy wyznacza ją „historia Niemiec”, a nie narody, które Niemcy w ciągu tej historii skrzywdzili. Kilkanaście lat temu politycy CDU regularnie zrzucali na socjaldemokratów „niemiecką

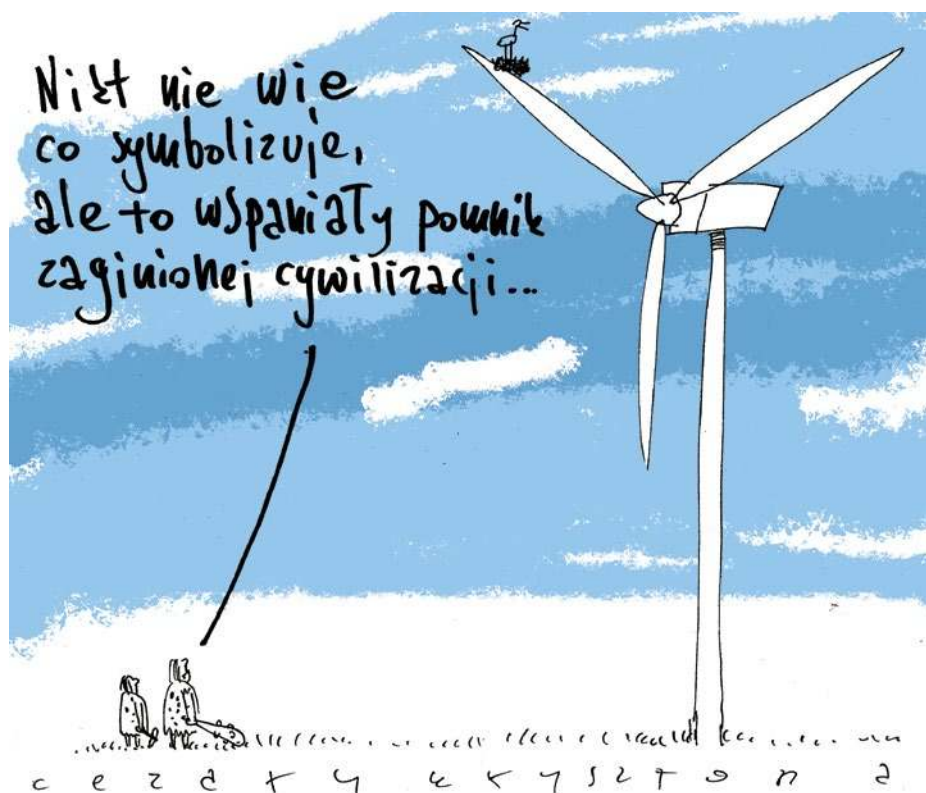
odpowiedzialność” za budowę Nord Stream (wtedy jeszcze bez numeru). Prezydent Steinmeier wprawdzie werbalnie tę odpowiedzialność uznał, ale partia Scholza-Steinmeiera do żadnej odpowiedzialności nie chce pociągnąć kanclerza Schrödera. Sąd partyjny SPD odmówił niedawno wykluczenia go z partii przez pamięć zasług dla Niemiec. Jak widać, poparcie dla Putina z tymi zasługami się nie kłóci.

Polska od lat powinna głosić Europie doktrynę, że mając w pamięci wspólne rozprawienie wojny przez Niemcy i ZSRS, a wcześniej zbrodnię rozbiorów, domaga się wykluczenia przez Niemcy jakichkolwiek form współpracy z Rosją, którą za zagrożenie swego

bezpieczeństwa uznają Polska i państwa w przeszłości dotknięte tą współpracą.

Niemcy wprowadzili ZSRS do Europy Środkowej i choć przegrali wojnę, to bezpośrednie skutki ich polityki trwały pół wieku, a pośrednie trwają ciągle. Wprowadzili Sowiety nie dlatego, że szczególnie chciał tego Hitler, ale dlatego, że chciały tego całe Niemcy, demokratyczna Republika Weimarska, w tym socjaldemokratyczna partia Olafa Scholza. Dziś Scholz pośrednio, ale wyraźnie mówi, że Niemcy – pośród licznych walk, które mają obowiązek prowadzić – z „siłami” bolszewizmu walczyć nie muszą. Z Niemcami zawsze tak samo – sami najlepiej wiedzą, na czym ich „odpowiedzialność” polega. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

W Italii Chińczyki trzymają się mocno



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Wydawałoby się, że z powodu napaści Putina na Ukrainę o klęsce polityczno-gospodarczej polityki Zachodu wobec totalitarnych reżimów powiedziano już wszystko, a nawet więcej. Ale to nieprawda.

Włoski dziennik „Il Giornale”, powołując się na raport hiszpańskiej organizacji pozarządowej Safeguard Defenders i doniesienia brytyjskiego „Guardiana”, poinformował, że Chiny poprzez sieć komisariatów policyjnych na terenie państw zachodnich szpiegują, a poza tym terroryzują i kontrolują mieszkających tam swoich obywateli i dysydentów. Najaktywniej we Włoszech.

W Italii sprawa zaczęła się niewinnie w 2015 r., od wspólnych

patroli policji włoskiej i chińskiej w mediolańskim Chinatown. Mowa była o wspólnej walce z terroryzmem, zorganizowaną przestępczością, nielegalną migracją i handlem żywym towarem. Powstało chińskie biuro pomocy Chińczykom. Przepoczwarzyło się w de facto pierwszy posterunek chińskiej policji na terenie Włoch. Dziś jest ich aż 11 – od Mediolanu do Sycylii. Podobne chińskie posterunki znajdują się dziś w 53 krajach. Jest ich ponad sto, a najwięcej we Włoszech.

Chińscy policjanci są szczególnie wrażliwi na wszelkie przejawy krytyki chińskiego reżimu, a także pilnują, by działalność chińskich biznesmenów była zgodna z interesami władz w Pekinie. Oporni są szantażowani, zastraszani,

a nawet porywani. Jak szacuje Safeguard Defenders, ogółem dzięki takim metodom chińscy agenci zmusili do powrotu do ojczyzny 250 tys. osób.

Jak pisze „Il Giornale”, dla Włochów najpoważniejsze są graniczące z pewnością obawy, że chińscy policjanci w Italii prowadzą działalność szpiegowską i pomagają reżimowi penetrować włoską gospodarkę.

Sprawa jest tyle obrzydliwa, co poważna. Dochodzenia prowadzone są już w 11 krajach, w tym w USA, Niemczech, Holandii i Kanadzie, ale nie w Italii. Poza tym raport organizacji Safeguard Defenders przedstawiony został w ubiegłym tygodniu w jednej z komisji Parlamentu Europejskiego. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

FOT. VOJTECH OLUŚKIN/ODNY EAST NEWS

GWIAZDOBZDUR



NIE KAŻDY TAK MA

Zauważyli państwo tę ciekawą prawidłowość, że gdy ktoś znany zaliczy wtopę, to od razu słychać obrońców przekonujących opinię publiczną, iż każdy z nas tak ma. Na przykład kiedy w Sejmie widziano posła KO Bartłomieja Sienkiewicza w nie najlepszej kondycji, wskazującej na spożycie, jego sympatycy dzielnie walczyli z krytyką, gardłując: „Wam nigdy nie zdarzyło się przyjść do pracy na kacu albo po piwku? Tacy święci jesteście?”. Aktorka Renata Dancewicz poszła o krok dalej i broni sama siebie. Przekonuje, że każdy ma tak jak ona. W jednym z ostatnich wywiadów poruszyła temat szczerości przed sobą i innymi. – Życie byłoby o wiele fajniejsze, gdybyśmy nie bali się mówić pewnych rzeczy. Szczerość nie zawsze jest słabością. To, że ktoś lubi alkohol, pali papierosy, ukradł batona, zdradził żonę czy męża – takie rzeczy się zdarzają. Czy że uciekł z restauracji bez płacenia rachunku. Któż z nas nie zrobił takich rzeczy? – pyta Dancewicz. Prowadząca postanowiła drążyć wątek nieopłacenia posiłku w restauracji. Aktorka potwierdziła, że zdarzyło się jej to zrobić i że zrobiła to „dla sportu”. Nie podała szczegółów całej sytuacji. – Tak, ja to zrobiłam dla sportu. Chciałam zobaczyć, czy potrafię i, owszem, potrafię – chwali się gwiazda. – Każdemu zdarza się zrobić coś głupiego albo złego,

lepiej nie iść w zaparte, tylko wiedzieć, że się coś zrobiło, i tyle – dodała Renata Dancewicz. A najlepiej to po prostu płacić. Nie uciekać.

JERZY STRACHLIWY

À propos ucieczek – Jerzy S. jednak odpowie za ucieczkę z miejsca zdarzenia. Chodzi o kolizję, podczas której aktor potrącił motocyklistę. Nie potrącił tak „po prostu”. Potrącił po winku. Tak więc pan Jerzy usłyszał zarzut prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości, natomiast zarejestrowana przez kamerę potrąconego próba ucieczki będzie przedmiotem odrębnego postępowania w sprawie o wykroczenie. Jak S. tłumaczył fakt, że po potrąceniu mężczyzny po prostu zaczął zwiewać? Proszę złapać się za brzuchy, bo te mogą rozboleć ze śmiechu – mianowicie aktor przekonywał śledczych, że widział motocyklistę, „widział, że coś do niego krzyczy, ale nie odczuwał, że doszło do poważnego kontaktu, który wymagałby zatrzymania w jakimś momencie”. – W dodatku w jakiś sposób stwierdził, że obawiał się tego mężczyzny, bo ten krzyczał coś do niego głośno – przekazał dziennikarzom rzecznik krakowskiej prokuratury. Skoro pan Jurek taki strachliwy, to proponuję nie wychodzić z domu. Na szczęście wyjeżdżać w najbliższym czasie nie będzie miał zapewne okazji.

I WTEDY WCHODZĘ JA

Przekonanie, że celebrytstwo daje większe prawo do wszystkiego, jest generalnie przypadłością większości naszych gwiazd. Zakładają, że unoszący się nad nimi nimb nadzwyczajności działa też poza krajem. Okazuje się, że nie do końca. Doda Elektroda pojechała z nowym ukochanym do Wietnamu, aby zatrzymać się w luksusowym hotelu (nie muszę chyba dodawać, skąd o tym wiem, prawda?). Jednak gwiazda, wystrojona w połyskujące bikini, nie została wpuszczona do hotelowej restauracji (wiem o tym z tego samego źródła, z którego wiem, że Doda jest w Wietnamie)! Obsługa zwróciła piosenkarce uwagę, że skąpy strój kąpielowy nie jest odpowiedni do miejsca, w którym się je. Doda skomentowała całą sytuację w swoim stylu. – Zostałam poproszona o zmianę outfitu, ponieważ panie na śniadaniu nie są w stanie skupić się jednocześnie na jedzeniu i waleniu swoich mężów w łeb, żeby się na mnie nie patrzyli – stwierdziła. Podziwiam pewność siebie, nie zazdroścę braku poczucia żenady.

WSZYSCY BYLI I OBEJNI

Pozostając w klimatach żenadopodobnych, pochylmy się nad tematem skomplikowanych relacji damsko-męskich oraz damsko-damskich. A to za sprawą wywodów Moniki Mrozowskiej, Majki z serialu „Rodzina zastępcza”. Ekoinfluencerka ma czworo dzieci z trzema mężczyznami. Obecnie chwali się byciem „samodzielną mamą” i zachwala patchworkowe rodziny. Podczas relacji live na Instagramie wystąpiła wspólnie z... obecną żoną byłego męża. – Dla mnie najcenniejszą informacją zwrotną było to, co powiedziały moje dziewczyny, które miały okazję cię poznać. I ja sobie pomyślałam, że inna informacja nie jest mi potrzebna. Moje córki mi powiedziały, że cię polubiły. [...] To był dla mnie prezent od losu – mówiła z czułością Mrozowska o relacjach nowej żony swojego eks z jej dziećmi. – Jak macie możliwość, to wskazujcie w patchwork – zażartowała obecna żona byłego męża celebrytki. Kometo, przybywaj! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pewnie słyszeliście, iż istnieje plan wzywania osób uposażonych fallicznie na ćwiczenia wojskowe. Takie na miesiąc, poza domem, z rekompensatą niższą niż miesięczne zarobki, przymusowe.

Nasze frendziarzy z kolektywu próbowały zrobić z tego narrację, iż znów jest to uprzywilejowanie białych cisheteroseksualnych mężczyzn, ale kiedy zobaczyły, iż my się wcale nie cieszymy, a wręcz przeciwnie, zaczęły dyskutować, czy powinny apelować o objęcie ćwiczeniami także waginoosób. Niestety, nie doszły jeszcze do porozumienia, iż są one dwie, ale nurtów feministycznych reprezentują przynajmniej pięć, chociaż kobiecim i feminizm lesbijski są dość płynne.

Nowy z Tarnowa natomiast, jak to on, kręcił koniec wąsa, cieszył się i dogadywał, że nooo, armia z was wreszcie robi prawdziwych mężczyzn, a nie takie pipki w rurkach, he, he, żadnego starbunia nie będzie, tylko czarna kawa z wiadra i bieganie z plecakiem po lesie, aż zwymiotujecie, he, he – tak nam ciągle dokuczał. Musicie bowiem o nas wiedzieć, iż pomimo niechęci do aktywności fizycznej i prowadzenia przeciętnie zdrowego trybu życia wszyscy w kolektywie mamy kategorię A.

Nowy zaś chwilowo zapomniał, że on również. Kiedy to do niego dotarło, zaczął się awanturować, że on przecież jest tu menedżerem, że on nie może do wojska, bo kto będzie targetów dogła-

dał, że on nie musi, bo w liceum grał w „Call of Duty”, a w ogóle to coś czuje, że mu dysk lata i staw biodrowy strzela, że on ma już 35 lat, więc za chwilę będzie potrzebował endoprotezy itd., itp.

Na nasze pytanie, czy on nie zamierza zostać prawdziwym mężczyzną, odparł, iż kto jak kto, ale na pewno my nie

wiadomo. A teraz jeszcze musimy się bać, iż Błaszczak nam wręczy wezwanie na jakieś ćwiczenia w błocie.

Dlatego postanowiliśmy, na wszelki wypadek, przejść z pracy hybrydowej – a więc dwa dni w korpo na płotach z frendami, a trzy dni w domu i spanie do 11 – na tryb full home office, przynajmniej do końca roku.

W związku z tym chodziliśmy przez jakiś czas mniej zestresowani, bardziej zrelaksowani, mniej zmęczeni. Do pewnego momentu of korsi, bo PiS-owski rząd postanowił zabrać się za rozwalenie jednej z ostatnich rzeczy, jakie w tym kraju jeszcze w miarę działały, a więc właśnie pracy zdalnej.

Otóż pracodawcy będą mieli, niby w jakimś tam zakresie, prawo do kontrolowania trzeźwości pracowników zdalnych! Już widzimy, jak o 7.30 pod drzwiami naszej osobówki będzie stał Nowy z Tarnowa z alkomatem w ręce.

Nie żebyśmy mieli jakiś problem, of korsi, ale wiecie, jak jest – czasem wieczór Netflix & wine & chill się przedłuży o jeszcze kilka odcinków, czasem przez pomyłkę zdarzy się wypić piwko ze sprajtem do śniadania. Co wam będziemy tłumaczyć, też pracowaliście zdalnie, no nie?

No i czemu tak jest, że jak jest fajnie, to tylko do czasu? ☹☹

Rzeczywiście, prowadziliśmy błędną politykę wobec Rosji... A co gorsza, nie wie wskazując na to, żebyśmy mieli prowadzić inna...



c e z e + y e + y) / T O V d

będziemy mu definiować męskości, po czym poszedł na L4 i jeszcze nie wrócił, więc chociaż tyle z tej całej awantury i przynajmniej oczekiwanie na wezwanie przebiega nam bez niego znacznie przyjemniej.

W ogóle to w takich okolicznościach zaczyna być strach wyjść na ulicę. Tak szybko przecież zapada zmrok. Do tej pory baliśmy się głównie tego, iż po ciemku jakiś ksiądz nas porwie na roraty albo rekolekcje – w tym katotalibanie to nigdy nie

PODSŁUCHANE

Posada w komutacji?

Gratuluje, Jacku. Jak się nazywa ta twoja posada?

Jakiś alternejt dyrektor egzekutyw czy może egzekutyw dyrektor alternejt czy coś. Nie pamiętam, Jarku, wiesz, to ta korpomowa.

No tak. A dokładnie to co ty tam będziesz robił?

No... zarządzał będę.

Domyślam się. Ale czym konkretnie?

Jak: czym? Pieniędzmi przecież. W banku pieniądze są, to chyba normalne.

Bo w tym komunikacie jest mowa o jakiejś konstytucji. Czy komutacja może. Polsko-szwajcarskiej.

Konstytuancie.

A co to jest?

To jest... Jak by ci to... Ciało takie. Spotykamy się, stół jest, woda, jakaś dobra taka, ciasteczka, kawa. I się naradzamy.

Na jaki temat?

O pieniądzach.

Ty się właściwie znasz na tym?

Na pieniądzach? Jasne. A teraz zobacz, jaką ci zapeczkę ciepłą przywiozłem z Waszyngtonu. ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeśli ktoś ma teraz 18 lat i wie, że za 20 lat nie będzie mógł oddychać, rzeki i jeziora wyschną, to dla tych ludzi to realny problem”.

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA,
wiceszefowa PO, w rozmowie z Radiem Zet

Dziś będzie głównie towarzysko. Przed świętami rejuwach, sprzątanie, niektórzy nucą coś pod nosem. My nucimy „Teraz już wszystko wiem, bawiłem grubo się w Ameryce / Gdzieś pod palmami raj, mówili, »Jedź! Bo tam podobno życie«. No i pojechał. Przyszło nam to do głowy w związku z awansem Jacka Kurskiego do Banku Światowego. Dla tych, którzy nie znają cytowanego tekstu, przytaczamy refren: „Miłość, miłość w Zakopanem / Polewamy się szampanem”. Nju Jork fajna rzecz, ale gdzie mu tam do Sylwestra Marzeń.

Tymczasem gruchnęła oficjalna wieść, że na tegorocznym Sylwestrze Marzeń tradycyjnie pojawią się Zenek Martyniuk, Boys oraz wywołany już „Miłością w Zakopanem” Sławomir. Jesteśmy w szoku. Liczyliśmy, że po zmianie prezesa TVP na Mateusza Matyszkowicza na scenę wkroczą Sinfonia Varsovia, Sinfonia Iuventus, Ziółek Kwartet oraz plejada laureatów BBC Jazz Awards. Ech, jak nie teraz, to może w Opolu.

Wkuluarach gali z okazji 30-lecia Polsatu najbardziej komentowaną sprawą były nie urodziny imperium Solorza, ale właśnie nominacja Jacka Kurskiego. Najbardziej nam się spodobał komentarz osoby z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji: – Każdy ma taki bank pocztowy, na jaki zasłużył.

Szeroko komentowana była też stylówka Edwarda Miszczaka, który dziś jest nową Niną Terentiew w Polsce. Celebryci przyszli odpindrzeń: smokingi, suknie bez pleców itp. Miszczak natomiast dumnie paradował w ciepłej i nieco znoszonej puchówce oraz czapce oprychówce. W efekcie, kiedy gwiazdki maszerowały po czerwonym dywanie, dygotając z zimna, on jako jeden z nielicznych wkraczał, nie mając sinych z zimna ust. I to nam się podoba.

Potwierdzamy: na gali Polsatu z entuzjazmem i brawami przyjęto kabareciarzy drących łacha z „Wyborczej” i Michnika (łącznie z sugestiami, że to wariaci). Brawo biła nie tylko ekipa Polsatu oraz prezesica TVN z mężem, lecz także nowy prezes Ringier Axel Springer Polska. Domyślałem się, że obecny na widowni prezes Agory Bartosz Hojka musiał czuć się

rozdarty. Z jednej strony hadko słuchać, jak szargają dobre imię firmy. Z drugiej – przecież jemu z tymi wariatami też nie po drodze.

Skoro już o galach: w minionym tygodniu zapanowała panika w koncernie medialnym Polska Press, zwanym też Orlen Press. Otóż zaplanowano imprezę, wysłano zaproszenia, aż ktoś zwrócił uwagę na miejsce, gdzie miano świętować – Ufficcio Primo. Pewnie wam, zwykłym zjadaczom chleba, ta nazwa nic nie mówi. Podobnie jak osobie, która organizowała tę miejscówkę. Otóż to budynek w centrum Warszawy należący do Kulczyków. Miejsce imprezy udało się zmienić w ostatniej chwili.

Miała być jeszcze jedna gala, a właściwie wielka dwudniowa konferencja organizowana przez resort kultury w połowie grudnia na Stadionie Narodowym. Cel? Podsumowanie programu Niepodległa. Niestety, awaria dachu i zamknięcie obiektu sprawiły, że rzecz trzeba było przesunąć na styczeń. Jak widać, PeŁo potrafi szkodzić PiS nawet z 10-letnim wyprzedzeniem. To w końcu oni budowali tego molocha.

Skoro o stadionie, to i o piłce. Jak wszyscy Polacy – oprócz Eine Totalopposition – z satysfakcją przyjęli-

śmy fakt, że Niemcy wylecieli z mundialu wcześniej niż my. Jednak największą radochę sprawiły nam niemieckie media ogłaszające z troską, że najwyższy czas zainwestować w szkolenie młodzieży. Brzmi znajomo, prawda?

Pamiętajmy też, że niezależnie od wyników po mundialu zostanie nam wspaniała pamiątka. Wielka polska dziennikarka zmienia imię! Zamiast oglądać Monikę Olejnik, oglądamy teraz Danke Olejnik. To znaczy my akurat nie oglądamy, ale gdybyśmy chcieli, to byłaby to znana z entuzjastycznego wykrzykiwania „Danke Deutschland” koleżanka Olejnik. Pamiętajcie, to się nie odmienia. Kogo oglądamy? Danke Olejnik. Kto prowadzi program? Danke Olejnik. Komu jesteśmy wdzięczni? Danke Olejnik.

WZielonej Górze tymczasem zwolennicy Eine Totalopposition manifestowali przeciw PiS, dzierżąc flagę Niemiec, a w Wałbrzychu platformerski prezydent miasta Roman Szełemej ogłosił, że odnaleziono w piwnicy dokumenty SS i portret Adolfa Hitlera to „wałbrzyski skarb”. „Przedwojenny Wałbrzych odkrywa swoje tajemnice” – ogłosił z radością Szełemej. Jak widać, opozycja też je wreszcie przed nami odkrywa.

Skoro o Eine Totalopposition: wiemy już, kiedy Platforma dojdzie do władzy. W marcu. A skąd to wiemy? Bo szef NBP Adam Glapiński ogłosił, że od marca inflacja szybko będzie spadać. A co to ma wspólnego z opozycją? Już wyjaśniamy: poseł PeŁo Artur Łacki mówi, że spadek inflacji nastąpi natychmiast, gdy tylko PeŁo wygra wybory. My tylko łączymy fakty.

Wubiegłym tygodniu zatrzymano ruskiego szpiega. Tomasza L. I zaczęły się przepychanki, kto go wylansował, zwłaszcza że szpion nosi nazwisko dość znane. Z jednej strony nosi je posłanka PiS o imieniu Joanna. Z drugiej nosi je również główny bohater tzw. afery marszałkowej, pułkownik Aleksander z WSi. Musimy zmartwić zarówno opozycję, jak i rządzących. To przypadkowa zbieżność nazwisk. Ważniejsze jest, czy przypadkowo delegował go do komisji likwidacyjnej WSi niejaki Radek Sknerus Sikorski. ©

dwaj panowie g





NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

NBP otrzymał prestżowe nagrody: *Excellence in Currency* oraz *Strażnik Pamięci*



Międzynarodowa nagroda *Excellence in Currency* w kategorii „Najlepsza nowa moneta, zabezpieczenie lub rozwiązanie logistyczne” została przyznana NBP za innowacyjną usługę zamiany monet w urządzeniach samoobsługowych.

„The Coin Conference”, Amsterdam,
18 października 2022 r.

Nagroda *Strażnik Pamięci* w kategorii „Instytucja” została przyznana NBP za placówkę Centrum Pieniądza NBP.

Warszawa, 7 listopada 2022 r.

Szczegółowe informacje na stronie
Narodowego Banku Polskiego:
nbp.pl

Wzorcowe CV

Jarosława Kurskiego



FOT. WOJCIECH STRÓŻYŃSKI/REPORTER



Krzysztof Masłoń

W swojej „opowieści dygresyjnej”, jak głosi podtytuł „Dziadów i dybuków”, Jarosław Kurski za jednym zamachem złożył samokrytykę za swoje młodzińcze, głęboko niesłuszne wybory ideowe, rozprawił się z autorytarną, zaburzoną władzą w obecnej Polsce, wykazując nieracjonalność zachowań swego imiennika – Kaczyńskiego – i motywacji, którymi się kieruje, zbudował ołtarz żydowskim przodkom z bratem swojej babki, któremu poświęcił trzy czwarte obszernej książki, wyliczył wszystkie możliwe grzechy II Rzeczypospolitej, przeprowadził obowiązkową krytykę Kościoła katolickiego i co tam jeszcze. Aha, wyrysował drzewo genealogiczne mające udokumentować doniosłość przeprowadzonego przez niego coming outu. Zgodnego z kluczową dla naszej kultury, literatury, a jeśli kto się uprze, to i historii, maksymą: „Gustavus obiit – natus est Conradus” („Umarł Gustaw, narodził się Konrad”). I stąd tytułowe „Dziady”. O dybukach potem

Przeżył wstrząs – jak wspomina – słuchając w 1990 r. rozmowy swojego ówczesnego szefa, Lecha Wałęsy z Bronisławem Geremekiem, w której trakcie Wałęsa wbijał profesorowi antysemickie szpileczki, dzieląc się takimi przemyśleniami: „Dlaczego Żydzi w rządzie Tadeusza Mazowieckiego nie chcą się ujawniać? Gdybym ja był Żydem, tobym był z tego dumny, ale ja nie jestem. A oni się wstydzą. Czego oni się wstydzą?”. Zdaniem Jarosława Kurskiego droczył się w ten sposób z Geremekiem, którego jako prezydent elekt zapraszał do Belwederu, swoje teksty z kampanii wyborczej tłumacząc tym, że tak tylko mówił, a nie myślał... A po tragicznej śmierci tego niedoszłego premiera orzekł, że był jego przyjacielem.

Nie minęło wiele czasu, a Jarosław Kurski, upewniający się w swojej żydowskiej genealogii, zgłosił się do pracy w „Gazecie Wyborczej”. Bo i gdzież indziej mógł trafić? To był dla niego wymarzony adres.

I kontynuował z pasją swą rodzinną archeologię, dekonstruując – jak pisze – „wielki asymilatorski wysiłek podjęty przez rodzinę mamy”. „Czy mam prawo – pyta dramatycznie – zaprzeczać ich wyborom i niweczyć wysiłek co najmniej trzech pokoleń?”, podpierając się zaraz Jackiem Kaczmarskim:

*Na kolanach przez dni i tygodnie
Przed nikomu nieznanym świętym
Upieramy się nadal łagodnie
Że nie grzyzy to, lecz – fundamenty.*

„Przecież w całej tej asymilacji chodziło o to w końcu, by stać się Polakami. By porzucić żydostwo i zatrzeć po nim wszelkie ślady. I to się w trzecim pokoleniu udało. Moi pradiadkowie brali ślub pod chupą, ale mama, moja kochana mama, tak bardzo utożsaiała się z polskością i tak głęboko wypierała swe pochodzenie, że o Żydach nawet nie chciała słuchać.

Ja zaś osuwać się zacząłem w otchłani kwestii żydowskiej w Polsce”.

Aż, bez przerwy hamletyzując, dotarł w otchłani tej do dna.

CZYTANIE GOMBROWICZA

Wcześniej musiał jednak rozliczyć się z polskością, co i uczynił. „Dziadek Tadeusz, podolski szlagon, był epigonem szlacheckiej Polski. Innej Polski nie znał i nie rozumiał. Innej Polski nie chciał. Zmarł w 1936 r. na banalne zapalenie ślepej kieszki”, z czego wnuczek dziś robi bekę.

A tak opisuje koszytowiecką arkadię, zaczynając – jakżeby inaczej – od obrzydliwie archaicznych świątecznych

obyczajów: „Boże Narodzenie zawsze obchodzono bardzo tradycyjnie. Wielką choinkę uczynny golem sam jeden, bez niczyjej pomocy, wnosił do salonu w wielkiej drewnianej donicy, a po świętach wynosił i przesadzał do parku. Przy każdej montował tabliczkę z datą jej ponownego posadzenia, co roku wydłużając w ten sposób szpaler bożonarodzeniowych świerków. A z każdym wkopanym w podolską ziemię drzewkiem, które upamiętniało narodziny Syna Bożego, zwyczaj jego golemowy katolicki się umacniał, umacniał, umacniał i maścił, i maścił, i święcił, i święcił, a dym z kadzidła stał się dla golema najwyższym powabem.

We dworze aniołki a szopki, a Mikołaje, lukrowane pierniki, kutia. A pierwszej gwiazdki wypatrywanie. A na Popielec prochu na głowę posypywanie i gromnic zapalanie. Na Wielkanoc pisanek malowanie, pokarmu święcenie, bab drożdżowych wysokich pieczenie i kolorowym makiem zdobienie. I na mszę świętą bryczką w dwa konie co niedziela do Burakówki jeżdżenie.

A ze ścian, z kąta każdego nawet wiosną nie wiosna, lecz Polska wyzierała. I Kościuszkę, i szablę na sarmackim kilimie w salonie świadectwo dawały. A w ogrodzie golem ustawił kamień z wyrytą inskrypcją »Lepiej zginać, niżli żyć w niesławie – wyrzekł Xiażę Józef Poniatowski w batalii pod Lipskiem, 19 października 1813«.

A tradycji kresowej pielęgnowanie. I na licytacji remontów dla wojska uczęszczanie. I rąk oficerom kawalerzystom ściskanie. I celebracje religijne, chrzciny córek i wody święconej kropienie na kąt każdy, nawet na unoszącą się na stawie łódkę »Podolankę«. A niedzielne obiady, po sumie, z książkami, proboszczem Myśliwym i wikarym Lewandowskim, zażyłość codzienna niemal, więcej – przyjaźń, która przetrwała wojenną zawieruchę. Słowem, dom polski, chrześcijański, prawdziwie katolicki pobożny”.

W sam raz, by go obśmiać, na Gombrowiczowską modłę. Oj, nacztytał się autor „Dziadów i dybuków”, „Transatlantyku”, nacztytał. Przyswoił sobie tę ewangelie humoru i dobrego smaku. Od lat lekturę obowiązkową każdego nowoczesnego Polaka.



JAROSŁAW KURSKI
„DZIADY I DYBUKI”
AGORA,
WARSZAWA 2022

Wyuczył się też na pamięć oceny dwudziestolecia i diagnozy postawionej przez Czesława Miłosza:

Znów mieli państwo, ale krótko trwało.

Konie ułańskie pisały w paradzie.

Zmienili w chwałę, co mogło być chwałą.

I cień, i śmierć na dziejach im się kładzie.

Największy cień to jednak, jakżeby inaczej, antysemityzm. Że był taki, to prawda, tyle że to było i tak, jak poseł Bogusław Miedziński powiedział w 1937 r. z trybuny sejmowej: „Osobiście bardzo lubię Duńczyków, ale gdybyśmy mieli ich w Polsce 3 mln, tobym Boga prosił, aby ich najprędzej stąd zabrał”. Oburzające zdanie, prawda? Ale jakoś bardziej trzymające się realiów życia w II Rzeczypospolitej niż głęboko humanistyczne opowieści o starszych braciach w wierze. W tym samym 1937 r. nie kto inny, a Jerzy Giedroyc w redakcyjnej nocy „Buntu Młodych” pytał retorycznie: „Cóż to za ohydny defetyzm twierdzić, że krew polska jest słabsza od żydowskiej? Że każda domieszka psuje Polaka? Ile procent krwi polskiej miał Zygmunt August, syn Włoszki, wnuk Habsburgów? Rasizm jest doktryną bzdurną i poniżającą: bo naród jest pojęciem duchowym i kulturalnym, produktem woli i historii, nie zjawiskiem biologicznym”, by jednak w ostrych słowach domagać się „wyrugowania getta z polskiej rzeczywistości. [...] Przede wszystkim w drodze pozbawienia praw politycznych. Broń Boże, nie w drodze ustaw wyjątkowych. Po prostu wzorem najdemokratyczniejszej republiki Stanów Zjednoczonych, która wprowadziła w całym szeregu stanów egzamin dla wyborców z języka angielskiego i konstytucji. U nas to zupełnie wystarczy, by pozbawiać fołksfront przeszło miliona wyborców, którzy o losach Polski nie powinni mieć nic do gadania”. No dobrze, a co to ma wspólnego ze wspaniałe zasymilowaną częścią rodziny Jarosława Kurskiego? Ależ oczywiście, że nic i autor „Dziadów i dybuków” doskonale o tym wie, ale udaje Greka, przepraszam – Żyda, czepiając się jak pijany płotu Lewisa Bernsteina Namiera, jedynego brata swojej babki Teodory. Swego idola.

NIEBYWAŁY LUDWICZEK

To jego książka „England in the Age of the American Revolution” stała sobie w biblioteczkę państwa Kurskich, a zarówno Jarek, jak i jego młodszy brat Jacek, u którego książka – jak czytamy – obecnie się znajduje, nie mieli pojęcia, że

Oj, naczytał się autor „Dziadów i dybuków”, „Transatlantyku”, naczytał. Przyswoił sobie tę ewangelie humoru i dobrego smaku

autor – sir Lewis Namier – był ich krewnym, konkretnie bratem babci Teodory. Więcej – autor „Dziadów i dybuków” usłyszeć miał o nim dopiero na początku lat 80. na spotkaniach koła samokształceniowego Ruchu Młodej Polski z ust swego ówczesnego mentora, Aleksandra Halla, który przede wszystkim przybliżał swoim podopiecznym „postać naszego wielkiego patrona, polityka i wskrzesiciela Polski – Romana Dmowskiego”. A ten nazywał Namiera nie inaczej, jak „małym galicyjskim żydkiem depczącym mu po piętach”.

„Nigdy bym nie przypuszczał, że za uszlachconym przez brytyjską królową historykiem Lewisem Namierem kryje się polski Żyd nazwiskiem Ludwik Bernstein-Niemirowski, który tak źle przysłużył się ojczyźnie. Nie dość, że intrygował przeciw Dmowskiemu, to jeszcze miał być autorem linii Curzona, a nawet podstępnie, z wrodzoną żydowską chytryością, sfalszował jej przebieg. Tak wytyczona granica na zawsze odcięła nasz Lwów i rodzinne Koszyłowce od Polski. Bardzo mi się ten Namier nie podobał, a oburzenie Dmowskiego uważałem za zasadne i oparte na szlachetnych pobudkach”.

Wraz z nabywaniem wiedzy weryfikował Jarosław Kurski swoje poglądy. I np. jako modelowy gdańszczanin nie mógł przejść obojętnie obok informacji, że gdy w Wersalu decydowano o losach jego miasta, „ten sam demoniczny Lewis Namier (Ludwik Niemirowski) wypisywał w brytyjskiej prasie artykuły pod hasłem: »Poland’s outlet to the sea« [...] i doradzał Lloydowi George’owi, by Gdańsk w całości i bezwarunkowo przypadł Polsce”. Tego samego zdania był również profesor prawa narodów na Uniwersytecie we Lwowie, „zdeklarowany już wtedy Polak i gorący katolik” Ludwik Ehrlich. Tych dwóch Ludwików łączył nie tylko stosunek do Gdańska, byli także ciotecznymi braćmi. „Innymi słowy – rozwija temat autor »Dziadów i dybuków« – ojciec Namiera, Józef,

i matka Ehrlicha, Flora, byli po prostu rodzeństwem. Imię Ludwik było zresztą dość powszechne w ogromnej rodzinie Bernsteinów. Dwóch Ludwików, z których jeden uważał się za brytyjskiego Żyda, a drugi za Polaka katolika, miało więc tych samych pochowanych obok siebie na cmentarzu żydowskim przy ulicy Okopowej w Warszawie dziadków; Jakuba Bernsteina i Balbinę Wilner”.

No i przy tej Balbinie, spoczywającej na nekropolii przy tej samej – nawiasem mówiąc – ulicy, na której stał blok, w którym mieszkalem przez bardzo wiele lat, pierwszy raz zwątpilem... W to, czy dam radę doczytać tę 450-stronicową książkę do końca, wiele bowiem wskazywało – a docierałem dopiero do 68 strony – że Jarosław Kurski przedstawić zamierza dzieje wszystkich członków swojej polsko-żydowskiej, a może żydowsko-polskiej rodziny, tak rozgałęzionej, że nie zdziwiłbym się, gdyby niebawem miało się okazać, że i z Albertem Einsteinem jest spokrewniony.

Ale nic to, przemogłem się i choć kilka razy jeszcze w trakcie lektury „Dziadów i dybuków” musiałem wertować książkę, by zorientować się, kto, z kim i za ile, niemniej jednak rzecz w swoich ogólnych przynajmniej zarysach dawała się usystematyzować. A układanka, rzecz jasna, musiała pasować do obrazka. Politycznie słusznego jak najbardziej.

CZĄSTKA GENIUSZU

„Czarna legenda szła za Namierem przez całe życie, co z pewnością osobiście odczuwał. Angielskim kolegom miał się zwierzać, że Polacy chcieli go zamordować” – czytamy. „To prawda” – kontynuuje Kurski, stawia tu jednak przecinek, nie kropkę. I jak gdyby nigdy nic powiada dalej: „Namier fascynował się Rosją, ale jej nie znał i nie rozumiał. A już z całą pewnością nie doceniał zagrożenia, jakim był bolszewizm. Doceniał za to niemiecki nazizm. W brytyjskiej prasie był jednym z najbardziej zaciekle krytyków polityki ustępstw wobec Hitlera, tj. appeasementu, którą popierał nie kto inny, jak były już premier Wielkiej Brytanii Lloyd George. Gdy były przełożony Namiera wzywał, by porozumieć się z Hitlerem na trupie Polski, Ludwik krytykował pryncypała, popierał ministra Becka, domagał się gwarancji dla Polski i świadczenia jej realnej pomocy militarnej”.

Doprawdy? „Namier uważał – klaruje Jarosław Kurski – że Polska, która nie będzie zarzewiem kolejnej wojny [a której niby była? – przyp. K.M.], odrodzić się musi w granicach etnicznych, to znaczy takich, na których żywił polski stanowią większość – na linii, która w zasadzie pokrywała się z granicą trzeciego rozbioru między Królestwem a Rosją. Argumentował, że wersalska zasada samostanowienia narodów nie może dotyczyć jedynie Polski i musi obejmować także niezawisłą Ukrainę”. To on – z dumą przyznaje autor „Dziadów i dybuków” – zanim jeszcze został wydziedziczony, przesądzał, że Koszyłowce nie mogą należeć do Polski. Że Lwów również, to oczywiste. Tak się jednak złożyło, że bolszewicy dostali łupnia pod Warszawą, w popłochu wycofali się i musieli przystać na to, że Koszyłowce zostały przy Polsce, razem z Lwowem. Nie na długo, jak miało się okazać, ale to już kolejny rozdział niekończącego się serialu pt. „Polskie Kresy Wschodnie”, w których jedną z ról zagrał rodzinny idol Jarosława Kurskiego.

To dzięki niemu – czytamy – „buchnęła starannie skrywana, wstydliva rodzinna historia. Walnęła faktem, wychłostała konkretem, dobiła warsztatem historyka. Odszpuntowany dybuk dziadka Ludwika skoczył na mnie, Bogu ducha winną ofiarę, jak na świeże mięso, jak do ciepłej krwi. A włożył we mnie, a rozsiadł się we mnie, a rządził się we mnie. Panoszył, świdrował, spokoju nie dawał, męczył pytaniami, pchał ku następny odkryciom, podpowiadał tropy, podrzucał książki o sobie i artykuły. Podawał też jego własne dzieła. Pchał w czeluści Internetu. Taplał się w wylewającym się stamtąd antysemitickim błocie, oblepiał narodowym jadem, nurzał w »spisku żydowskim przeciw Polsce«, którego Namier stał się uosobieniem”. Nie będę cytował dalej; i tę lekcję z Gombrowicza Jarosław Kurski odrobił wzorowo.

Julia Namier vel Kazarina, druga żona Ludwika, najpierw pod jego dyktando, a potem już samodzielnie spisała mężowską biografię. Zaczynając od antenatów zmarłego w 1960 r. sir Lewisa Namiera, a więc – skromnie nadmieniam Jarosław Kurski – i jego przodków. A było to tak – opowiada: „Mamą mojej mamy była Teodora Modzelewska, siostra Namiera, zmarła w 1969 roku. Ojcem Lewisa i Teodory był Józef Niemirowski

zmarły w 1922 roku. Matką Józefa Niemirowskiego vel Bernsteina była Blima – Balbina Wilner Jakubowa Bernsteino-wa zmarła w 1894 roku. Ojcem Balbiny Wilner był Mosze Wilner zmarły w tym samym 1894 roku. Ojcem Mosze Wilnera był ostatni z dynastii Gaonów Issachar Berisz zmarły w 1844 roku. Ojcem Issachara Berisza był jego eminencja Rabbi, Gaon Jeuda Lejb zmarły w 1815 roku. Ojcem zaś Jehudy Leiba był eminencja wszystkich eminencji i Gaon wszystkich wileńskich Gaonów – Elijah ben Solomon Zalman zmarły w 1797 roku. Protoplastów Gaona z Wilna nie będę już wymieniał. Znaleźć ich można w różnych annałach sięgających Moszego Kramera zmarłego w 1687 roku, a i jeszcze dalsze parantele [...]. Dość powiedzieć, że był to na Litwie i dzisiejszej Białorusi słynny ród rabinów”.

Cóż, przy tym fragmencie też miałem chęć zakończyć lekturę, jako że Stary Testament, choć podobny, wydaje mi się nieco ciekawszy. Ale Jarosław Kurski dodał jeszcze, że związki rodzinne z Gaonem z Wilna traktował Namier jako przepustkę do żydowskiego świata, a „łechtą go zapewne i to, że – cokolwiek by mówić – odziedziczył po nim też część jego geniuszu”. Niewykluczone więc, że i jego krewnym coś się dostało z tej „największej intelektualnej i duchowej siły w rabinackim judaizmie od czasów Majmonidesa”, jak zapewniał współczesny Namierowi, mieszkający w Wielkiej Brytanii rabin Ezechiel Isidore Epstein.

Czym wobec takiej potęgi pozostaje fakt, że ojciec genialnego Ludwiczka – Józef Bernstein – najzwyczajniej w świecie go wydziedziczył? Ot, tak po prostu. Za niedostatek polskości.

CO SIĘ KOMU KOJARZY

Gdy w swojej książce „Wódz” Jarosław Kurski wspominał o przypisywanej jego matce żydowskości, ta uprosiła go, by wykreślił to zdanie. Tak i zrobił, bo – powiada: „Oczywiście, to mama miała rację. Nie wiedziałem, o czym mówię. Nie wiedziałem, co robię. Nie przeżyłem. Nie widziałem. Nie miałem pojęcia, »jaki w Polsce jest antysemityzm«”. Teraz wie, widzi i ma pojęcie.

Już niemal na samym wstępie serwuje autor okupacyjne warszawskie wspomnienie swego ojca o „młodej parze współlokatorów, których nikt nigdy nie widywał. Mieszkali w salonie za wielkimi

zasuwanyimi drzwiami, a na podwórko wychodzili tylko nocą. Pewnego dnia już ich nie było. Zniknęli, wyczuwając zapewne instynktem tropionego zwierzęcia, że dłużej tu przebywać jest niebezpieczne”. I co wtedy zrobiła babcia autora „Dziadów i dybuków”? Otóż wkroczyła „z wapnem, chlorem i wszelkimi dymami” do – czytamy – zapluskwionego pokoju. Nastąpiło „zrywanie tapet, palenie szmat. Dezynfekcja”. A przecież – wywodzi Jarosław Kurski – „ci młodzi Żydzi o inteligentnych twarzach w niczym nie przypominali tych z plakatów »Żydzi – tyfus płamisty«”. Babcia jednak uznała widać, że „ostrożności nigdy za wiele”.

Polska babka Jarosława Kurskiego była mądrą, zaradną kobietą. W przeciwieństwie do jej wnuka i redaktora jego książki. Skąd mianowicie wiadomo, że ci tajemniczy młodzi lokatorzy mieli

Przy tym fragmencie miałem chęć zakończyć lekturę, jako że Stary Testament, choć podobny, wydaje mi się nieco ciekawszy

inteligentne twarze, skoro nikt ich nie widywał? A dezynfekcja zajmowanego przez nich pokoju wydawała się konieczna, autor przyznaje bowiem, że pomieszczenie to było zapluskwione. Kto te pluskwy przyniósł do mieszkania w kamienicy przy ulicy Piusa, jest nieistotne. Może przeniosły się od sąsiadów, może innym sposobem tam dotarli, w każdym razie były, a koegzystencja z nimi do najprzyjemniejszych, z całą pewnością, nie należy. Do tego wszystkiego dołącza jeszcze autor tej historyjki informację, że w wyremontowanym i, jak rozumiem, odpluskwionym pokoju zamieszkał jego ojciec ze swoją młodszą siostrą. No to jaka matka nie zadbałaby o stworzenie dla nich odpowiednich warunków? Kurski nie zwraca jednak na to uwagi, jemu wszystko kojarzy się z antysemityzmem, zupełnie jak Sierżputowskiemu z „Pięknych, dwudziestoletnich” Hłaski z, za przedszeniem, dupą.

„Dziady i dybuki” są bardzo ciekawą i, pomijając nieliczne wpadki, dobrze napisaną książką. Od razu powiedzmy jednak, że wcale nie tak odważną, jak utrzymują apologety zachwyceni

■ otwartością, z jaką autor zwierza się ze swoich rodzinnych sekretów. Powiedziałbym, że znałem odważniejszych pisarzy. Jarosław Kurski świetnie wie, gdzie są konfitury, i czerpie z nich wazową łyżką.

ZGRABNY NOSEK JARKA

Z ubolewaniem relacjonuje autor swoje antyżydowskie doświadczenia, które zdobywał, tak jakoś dziwnie, za sprawą Kościoła katolickiego. Uczęszczał na lekcje religii („chodzili wszyscy” – niejako się usprawiedliwia), zachodził bowiem „do Żyda” na oranżadę, a kiedyś na Wielkanoc proboszcz sprowadził włoski film o męce Chrystusa, którego „Żydzi wydali na śmierć”, i Jareczek z przejęciem śledził sceny, w których „żydowska tłuszcza woła, by darować życie Barabaszowi, a tym samym skazać na śmierć naszego Pana”. No, naznaczył ten ksiądz, nazwiskiem nomem omen Duda, antysemitycznym stygmatem życie niewinnych chłopców z gdańskiej dzielnicy Strzyża.

Ale naznaczony był Jarosław Kurski niemal od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał świat w szpitalu Marynarki Wojennej w Gdańsku. Uczynił to jego dziadek Longin: „... jak on mógł to powiedzieć, przecież to nie była prawda – denerwowała się jeszcze po latach mama. – Otóż dziadek Longin zażartował: »No ładne dziecko, ładne. Widać, że Kurski, tylko ten nosek taki... starozakonny. A ty nie miałeś żadnego starozakonnego noska! Miałeś ładny nosek, taki jak wszystkie maluchy, okrągły, zgrabny noseczek!«”.

Zmarły w 1987 r. dziadek Longin nie był jednak antysemitą – wyrokuje autor „Dziadów i dybuków”: „Był asem”. Sprawy żydowskie, jak się zdaje, obchodziły go tyle, co zeszłoroczny śnieg. Bardziej interesował się bieżącym życiem politycznym. W szczególnie sposób zresztą. Na starość TVP „lepiła i utrwalała jego polityczny światopogląd”. Ach, ta straszna telewizja publiczna! Inna, a jakby ta sama. Trudno jednak uwierzyć, że „gdy tylko po wprowadzeniu stanu wojennego otwarto sklepy spożywcze, przed osiedlowym SAM-em prof. Longin Kurski [kombatant wojen z bolszewikami w 1920 r. i Niemcami w 1939 r.], unosząc triumfalnie łaskę ku górze, wznosił entuzjastyczne okrzyki przyjmowane przez stojących w kolejce smutnych ludzi z milczącą obojętnością: »Niech żyje generał Jaruzelski!«”.

Jarosława Kurskiego z dziadkiem poróżnić miała dopiero Solidarność. Wcze-

śniej podobno dużo z nim rozmawiał, a kiedyś zelył on wnuka, „gdy zobaczył wpięty w mój wełniany sweter mieczyk Chrobrego. Zupełnie nie wiedziałem, o co mu chodzi. Mieczyk jak mieczyk – grawerowany. Ładny był, antykomunistyczny taki, zrobiony w jakiejś podziemnej manufakturze i już z tego tylko powodu godzien przypięcia”. Młody byłem, nieoczytany – pobłażliwie uśmiecha się autor do siebie i czytelnika.

A z babcią Wandą, żoną Longina, to już było całkiem niejawnie. Tkwił w niej, zdiagnozował wnusio, „głęboki kompleks parweniuszki”, pochodziła bowiem ze Skierniewic, z niezamożnej rodziny kolejarzkiej, przez co – jak się dowiadujemy – „przez całe życie ze wstydem i wstrętem odcinała się od świata swego dzieciństwa”. Skąd wzięła się ta wielkopańskość

Z ubolewaniem relacjonuje autor swoje antyżydowskie doświadczenia, które zdobywał, tak jakoś dziwnie, za sprawą Kościoła katolickiego

u Jarosława Kurskiego, wolę nie dociekać, za dobrą monetę przyjmijmy więc jego domniemanie, jakoby babcia nie okazywała mu ciepła, „bo sama ciepła nigdy nie zaznała”. Jak to pisał Adam Mickiewicz: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie”. No ale to „Konrad Wallenrod”, nie „Dziady i dybuki”.

Ale wracając do babci, to wzięła na siebie ciężar wychowywania Jarka, gdy przyszło mu pójść do szkoły. Zamieszkał u dziadków, rzygał babcią zupą i obrywał od babci przy wspólnym odrabianiu lekcji linijką po głowie, a przy poważniejszych przewinieniach smyczą na co dzień używaną do wyprowadzania na dwór pudła Azora. Kiedy stosowane metody wychowawcze nie przynosiły spodziewanego rezultatu, babcia Wanda orzekła, że wnuczek jest debilem, i postawiła go przed konsylium lekarskim, które orzekło jednak: „Dziecko jest zdrowe, prosimy przyprowadzić babcię”. Ta nie przyszła, gdy jednak, ale to już w drugiej klasie, cała okolica mogła podziwiać egzekucję na dziecku dokonaną przed wspomnianym już sklepem, mieszkającą po sąsiedzku pani Krystyna Trzaskowa zadzwoniła do rodziców i powiedziała: „Na Boga, zabierzcie wreszcie od niej to

dziecko!”. Tak też się stało i Jarosław Kurski mógł stać się tym, kim się stał, i podziękować teraz po latach empatycznej sąsiadce, oczywiście, że Żydówce, kobiecie „ocalonej z Holocaustu, noszącej w sobie do końca życia getto i wojenny koszmar dzieciństwa”. Wydarzenie to wiele wyjaśnia: Jarosław Kurski w przeciwieństwie do dziecka z „Pana Tadeusza” nie był kluty igiełkami. Wprost przeciwnie.

SZABLA Z DAMASCENSKIEJ STALI

„Mama mojej mamy – opowiada Jarosław Kurski – tzn. babcia Teodora, choć stanowczo uważała się za Polkę, była konwertytką.

Ojciec mojej mamy, typowy polski szlagon, przełamał środowiskowy konwenans i ożenił się z katoliczką wprawdzie, ale – co tu dużo mówić – jednak z Żydówką, czego wówczas ukryć się nie dało, co więc maskowano wymownym milczeniem bądź skrytą obmową”.

Wątki żydowskie żydowskimi, ale bez polskich przecież nie mogło się obyć, a i wśród przodków Jarosława Kurskiego nie brakowało takich, z których ma święte prawo być dumny. Na ogół jednak autor „Dziadów i dybuków” zachowuje umiar. A i krytycyzm, który ujawnia niczym krytyk literacki ze stajni „Gazety Wyborczej”, oceniając epopeję rodzinną, którą jego pradziadek Narcyz Modzelewski spisał wierszem i zadeklował synowi Tadeuszowi, dziadkowi Jarosława. „Poetycka, a raczej rymowana forma odbierała jednak tym historycznym opowieściom przekonanie o jakiegokolwiek autentyczności. Zmieniała je raczej w rodzinną klechę w rodzaju historii Sienkiewiczowskiego Longinusa Podbięty i jego piorunsko ciężkiego miecza. Modzelewscy miecza nie mieli. Mieli szablę.

Ta szabla, oczywiście z damasceńskiej stali ukuta, z greckim napisem: „Bogurodzico, wspieraj sługę Swego” rzeczywiście istniała i w 1932 r. dziadek autora przekazał ją w testamencie córkom. Wraz z pamięcią o czynach powstańczych swego dziada – Justyna i ojca – Narcyza. Ten ostatni spoczywa na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, a na jego kamieniu nagrobnym wyryto napis: „Kochał ojczyznę, nie zdobył sławy / lecz żywot jego zawsze był prawy”. Myśląc o nim, zastanawia się Jarosław Kurski głęboko, czy „ożenek jego jedyne go syna Tadeusza z przechrztą byłby dla [niego] szokiem? Co właściwie myślał o Żydach?”. Trudno orzec, w każdym razie przywo-

huje autor słowa siostry owego dziadka – Heleny, która, „jak powtarzała mi mama, w przypływie szczerości miała wypowiedzieć zdanie, które nie przestaje dzwonić w uszach: »Dobrze, że Tadzio nie ma synów, tylko córki« – mówiła ciocia Hala. Dziewczynki wyjdą za mąż i nie będą hańbić nazwiska”.

Wanda Jóźwiak, wnuczka owej cioci (o Matko Boska!), już w czasach współczesnych, bo w 1993 r. wydała w niewielkim wprawdzie nakładzie, ale zawsze, książkę „My z Podola”, która poza jednym mrugnięciem oka zrozumiałym tylko przez wtajemniczonych w tajemnice rodzinne znakomicie nadawała się na familijne „świadcstwo aryjskości”. „Zamykała bowiem usta wszystkim antysemitom, gdy po różnych prawicowych partiach zaczęły krążyć plotki mające politycznie zniszczyć mego brata, jakoby »Jacek Kurski był Żydem«». Saga bowiem dotyczyła wyłącznie rodziny matki ze strony jej ojca, więc jedynie tego, o czym traktuje ten rozdział: że konfederacja barska, że z Napoleonem, że powstania, że katusze w twierdzach i dzwonienie łańcuchami, że Justyn, że Narcyz, że Tadeusz, że Polska...”

Czy poza piramidalnymi idiotami ktoś jeszcze nie zorientował się, że Żydem może zostać każdy? Nie każdy się jednak będzie tym przejmował

Naprawdę, o mało się nie popłakałem ze wzruszenia przy tym – przepraszam za wyrażenie – ustępie. Tak się składa, że najlepszy dowcip o pochodzeniu braci Kurskich: „Wiecie, że jeden z braci Kurskich jest Żydem? Ale tylko Jarosław”, będący zresztą przeróbką żartu o braciach Kaczyńskich, usłyszałem z ust pewnego mocno lewicowego partyjniaka, a cała moc podobnych facecji od dawna krąży po sieci. A wreszcie: Czy poza piramidalnymi idiotami ktoś jeszcze nie zorientował się, że Żydem może zostać każdy? Nie każdy się jednak będzie tym przejmował. Są w końcu ważniejsze sprawy. A najważniejszą z nich jest Polska.

I dlatego z najlepszymi uczuciami czytałem te strony długiej i miejscami – co tu dużo mówić – nużącej, choć ciekawej

książki Jarosława Kurskiego, gdzie serdecznie i z miłością pisze o matce, której umiłowanie Polski i polskości zaczynało się – jak się dowiadujemy – „od polskiej kuchni, którą wielbiła, odrzucała przy tym kuchnię francuską, włoską, o azjatyckich nie wspominając. I szła daleko dalej. Jak wiadomo, nie wszyscy Polacy są romantykami – ale mama romantyczką była. Nie wszyscy uważają, że Polska była ofiarą historii, zawsze napadaną przez sąsiadów i zawsze zdradzaną przez aliantów – mama tak uważała. Nie wszyscy Polacy uważają, że powstanie warszawskie było konieczną ofiarą, a z samego faktu, że ktoś jest Polakiem, musi wynikać coś dobrego. Nie wszyscy Polacy lubią patriotyczny patos, ale mama bardzo go lubiła. Nie wszyscy Polacy nie lubią Niemców, a ich mowę nazywają szwargotem – ale mama nie lubiła ani Niemców, ani ich szwargotu. Są Polacy, którzy nie posiadają żadnej z wymienionych tu cech – ale mama posiadała je wszystkie z własnego wyboru”. I dlatego ze zrozumieniem przyjąłem jeszcze tę jedną: „Mama ostentacyjnie deklarowała w towarzystwie, że »nie znosi czosnku«, choć nigdy go nie wyczuwała, gdy dodawany był do potraw”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Wydawnictwo **esprit** poleca

CZY NADCHODZI CZAS OCZYSZCZENIA?

NAJNOWSZA KSIĄŻKA KS. PIOTRA GLASA

Nikczemny plan zniszczenia Kościoła trwa, noc bluźnierstw i sztorm herezji przybierają na sile, ale Jezus zapewnił nas: „Nie bójcie się, Ja zwyciężyłem świat” – to słowa, które są wciąż aktualne, może w naszych czasach szczególnie.

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratisy!

Zamów książkę na www.esprit.com.pl lub pod numerem telefonu **12 267 05 69**.

Darmowa dostawa od 149 zł.

49,90 zł
29,90 zł

odbierz dodatkowy rabat*
-5% na hasło: DR2

*promocja ważna do 15 stycznia 2023 roku



Z dr. hab. Bartłomiejem Biskupem,
politologiem z Uniwersytetu Warszawskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Populizm w wersji soft



RYSZARD GROMADZKI: Po siedmiu latach rządów Prawa i Sprawiedliwości ugrupowanie rządzące cieszy się w sondażach wciąż stabilnym poparciem. Pomimo spustoszeń spowodowanych przez pandemię i kryzys gospodarczy, chronicznego konfliktu z Komisją Europejską czy wewnętrznych konfliktów w Zjednoczonej Prawicy partia Jarosława Kaczyńskiego nadal nie straciła szansy na zwycięstwo w kolejnych wyborach, a nawet na samodzielne rządy. Czyżby PiS udało się uniknąć efektu zużycia władzy, zmęczenia elektoratu swoimi rządami?

DR HAB. BARTŁOMIEJ BISKUP: Na taki stan rzeczy składa się wiele czynników.

Rzeczywiście po ponad siedmiu latach rządów notowania PiS są dość stabilne, choć nie ma takiej władzy, która po dwóch kadencjach rządów wychodzi bez szwanku. Zauważmy, że bezpośrednio po wyborach w 2019 r. i w kolejnych miesiącach poparcie dla PiS było wyższe, teraz Zjednoczona Prawica ma nieco gorsze, choć stabilne notowania. To w pierwszej kolejności skutek „zabetonowania” sceny politycznej i związanej z tym zjawiskiem dużej lojalności elektoratów wiodących ugrupowań.

Efekt nieustannej wojny polsko-polskiej...

Tak jest. Stabilne notowania ma nie tylko PiS, lecz także inne ugrupowania. Oznacza to, że ich wyborcy są bardzo zdeterminowani, żeby głosować na swoich przedstawicieli politycznych. Oddziaływanie argumentów wpływających z różnych stron sceny politycznej jest więc ograniczone, przynajmniej w perspektywie cyklu wyborczego.

Czy to oznacza, że w naszych realiach politycznych przepływy pomiędzy elektoratami poszcze-



kluczowe tak. Dotyczy to zarówno polityki społecznej, jak i polityki zagranicznej czy w obszarze obronności. To sprawia, że wyborcy Zjednoczonej Prawicy od niej nie odpływają.

A wojna na Ukrainie i związane z tym poczucie zagrożenia naszego bezpieczeństwa w naturalny sposób nie konsolidują ludzi wokół władzy? Także tych, którzy wcale nie są jej entuzjastami.

Naturalnie, zagrożenie bezpieczeństwa i kryzys energetyczny to kolejne czynniki, które przekładają się na stabilne poparcie dla PiS. Nie powiedziałbym, że one z automatu konsolidują ludzi wokół władzy, ale w sytuacji zagrożeń, z którymi mamy do czynienia, partie prawicowe są bardziej wiarygodne. To model, który potwierdza się w polskim życiu politycznym i publicznym. Chodzi o stosunek do Rosji, do zagrożeń dla naszego bezpieczeństwa, do spraw obronności. Dobrze pamiętam, jak jeszcze w latach 90. wyśmiewano się z prawicowych polityków, którzy przestrzegali przed zagrożeniem ze strony Rosji, kładli nacisk na sprawy obronności. Wtedy zarzucano im „wymachiwanie szabelką”. Z perspektywy czasu okazało się, że oni mieli rację. Mówię tu przede wszystkim o PiS, którego długoterminowa diagnoza w kwestii narodowego bezpieczeństwa, sprawy pierwszoplanowej dla większości wyborców, okazała się bardziej wiarygodna niż partii tworzących obecną opozycję.

Matecznikiem prawicowego elektoratu, który decydował o zwycięstwach PiS w kolejnych wyborach, była polska wieś. Czy po strategicznym błędzie, którym była próba przeforsowania pakietu ustaw z tzw. „piątki dla zwierząt”, który rozwścieczył rolników, nie odwrócić się oni od PiS? Start w wyborach zapowiada populistyczna AgroUnia. Czy ugrupowanie Michała Kołodziejczaka może odebrać PiS wyborców na wsi rozczarowanych jego polityką? W 2015 r. PiS przejął w ten sposób wyborców PSL na wsi.

Przy stabilności elektoratów, która cechuje naszą scenę polityczną, każdy jego segment, a nawet nisza mogą mieć istotne znaczenie dla wyników wyborów, czyli w konsekwencji ostatecznej liczby mandatów uzyskanych przez poszczególne ugrupowania. W strukturze elektoratu wiejskiego, bo tak trzeba określić tę grupę wyborców, którą dziś stanowią nie tylko rolnicy, zaszły istotne zmiany. Tradycyjnie w dużej części był on przypisany do PSL, później został przejęty przez PiS. Myślę, że to może być jeden z języczków u wagi

podczas przyszłorocznych wyborów. Nie wiem, jaki wpływ na decyzje elektoratu wiejskiego będzie miała „piątka dla zwierząt”, a na ile wpłyną na nie kwestie związane z trwającym kryzysem energetycznym, który mocno rzutuje na sytuację ekonomiczną wsi, opłacalność produkcji rolnej. To wrażliwy politycznie sektor. Nie wiem, czy AgroUnia jest w stanie uszczknąć coś dla siebie z elektoratu wiejskiego, czy nie jest zbyt radykalna w kontekście wojny trwającej za naszą wschodnią granicą. Poparcie dla niej też jest badane. Z badań wynika, że jest ono bardzo małe, oscylujące w granicach błędu statystycznego. AgroUnia nie jest dziś postrzegana jako reprezentant interesów producentów rolnych. Nie znaczy to, że nie jest to ugrupowanie, które może odegrać jakąś rolę. Idą wybory, polityka się zaostrza, zaostrza się też postrzeganie różnych zjawisk przez opinię publiczną. To wszystko może spowodować, że określone grupy polityczne mogą szybko urosnąć.

Urosnąć na kryzysie...

Tak, o ile rząd nie zaadresuje do grup społecznych, o których głosy toczy się rozgrywka, nowych propozycji. Dziś wydaje się, że sytuacja jest pod kontrolą, a rząd trzyma rękę na pulsie, starając się na bieżąco reagować na sytuację producentów rolnych.

Czyli jak zawsze sposobem na zdobycie przychylności elektoratu wiejskiego będzie sypnięcie groszem.

Zdecydowanie. Kryzys dotyka wszystkich, nie tylko producentów rolnych. Wydaje się, że tego rodzaju rozwiązania jak ulgi podatkowe, ulgi i preferencje, oferowane przez rząd jako ochrona przed wysokimi cenami energii, trafiają też do producentów rolnych. Na pewno jest to grupa wyborców, o którą trzeba zadbać. Ale dziś nie widzę na wsi pożaru, to znaczy AgroUnia próbuje rozniecić ogniska, ale na razie nie generuje to zagrożenia dla innych ugrupowań politycznych, nie tylko dla PiS.

Patentem na odebranie PiS władzy jest „mityczne” zjednoczenie opozycji. Mówię „mityczne”, bo opozycja zapowiada wspólny front od dawna i niewiele z tego nie wychodzi. Czy tym razem może się udać?

Myślę, że to mało prawdopodobne. Krótkoterminowo może dałoby to efekt, o którym pan wspominał, czyli byłoby to więcej mandatów w Sejmie. Długoterminowo rodzi to same problemy.

gólnych ugrupowań nie tworzą różnic? To polska specyfika?

Tak, to jest polska specyfika. Przepływy elektoratów pomiędzy głównymi obozami politycznymi są bardzo małe, a między PiS i Platformą Obywatelską prawie nie występują. Wracając do kwestii, którą podjął pan na początku naszej rozmowy, czyli relatywnie mocnej pozycji PiS po prawie dwóch kadencjach sprawowania władzy, można powiedzieć, że to efekt praktyki rządzenia, wiarygodności rządów prawicy. Oczywiście nie wszystkie zapowiedzi zostały zrealizowane, ale te

FOT. ANNA ARABO/ISTOCK NEWS

Po pierwsze, koalicja wyborcza, która powstałaby po wyborach, składałaby się prawdopodobnie z czterech ugrupowań, byłaby koalicją bardzo trudną. Im więcej uczestników koalicji, tym więcej konfliktów. Znamy to ze wszystkich koalicji, nieważne, czy prawicowych czy lewicowych. Mogłaby to być krótka koalicja. Po drugie, trzeba postawić pytanie dotyczące przyszłości mniejszych ugrupowań, które znalazłyby się w takiej koalicji. Myślę, że właśnie nad tym zastanawiają się ich liderzy, dlatego ta koalicja rodzi się w takich bólach. W mojej ocenie to bardzo racjonalna przesłanka. Jedno jest pewne. Na takiej koalicji zyskają na pewno Platforma Obywatelska czy Koalicja Obywatelska, pozostałe partie już nie do końca. Naturalną tendencją jest przecież wchłanianie mniejszych ugrupowań przez tę dominującą partię.

W tym układzie takie niebezpieczeństwo grozi przede wszystkim ruchowi Hołowni. Nowe byty polityczne, jak uczy doświadczenie, są w pierwszej kolejności absorbowane przez większe partie. Tak stało się z ruchem Kukiza.

A wcześniej z Ruchem Palikota i Nowoczesną. W wypadku Nowoczesnej mieliśmy do czynienia z podobnymi wyborcami jak w Platformie Obywatelskiej, kierującymi się podobnymi wartościami. Wiemy, jak potoczyły się sprawy. Wszystkie te mniejsze partie miały charakter efemeryczny, potrafiły krótko przetrwać tylko dzięki zdobyciu mandatów sejmowych, a później zostały wchłonięte. Tego obawiają się ci mniejsi partnerzy ewentualnej opozycyjnej koalicji. Dlatego kombinują na różne sposoby, stąd pomysły dwóch czy trzech bloków wyborczych. Moim zdaniem istotnym strategicznym deficytem potencjalnej koalicji opozycji jest brak wspólnego mianownika. Mam wątpliwości, czy może nim być mantra „Musimy odsunąć PiS od władzy”. Pamiętajmy, że dla niektórych wyborców PSL czy Lewicy nie jest to wcale warunek sine qua non, bo często są to wyborcy, którzy popierają część programów gospodarczych czy społecznych Prawa i Sprawiedliwości. To nie jest kategoria zacierzwionych wyborców, dla których cokolwiek by się działo, jest nieistotne, byleby tylko odsunąć PiS od władzy. Nie widzę w takiej koalicji pozytywnego spoiwa.

Takim pozytywnym spoiwem raczej nie będzie też deklaracja złożona przez Donalda Tuska, że jednym z jego pierwszych decyzji po przejęciu

To, że Tusk stawia wrażliwe kwestie w tak kategoriyczny sposób, wskazuje, że priorytetem nie jest koalicja, a raczej mówienie o koalicji

władzy będą legalizacja tzw. małżeństw homoseksualnych i radykalna liberalizacja prawa w sprawie aborcji.

To oznaczałoby, że Donald Tusk może sam nie chce tego spoiwa czy szerokiej koalicji. Jeżeliby jej chciał, to powiedziałby raczej: „Tak, jest to dla nas ważna sprawa, ale porozmawiamy o niej po stworzeniu koalicji”. Kwestia praw środowiska LGBT i aborcji jest ważna, ale dotyka i wyborów sumienia. To, że Tusk stawia te wrażliwe kwestie w tak kategoriyczny sposób, wskazuje, że to nie koalicja jest priorytetem, a jest nim raczej mówienie o koalicji. Jeśli nie udało się stworzyć opozycyjnej koalicji, to w wypadku przegranych wyborów zawsze będzie można powiedzieć: „A nie mówiliśmy? Trzeba było się zjednoczyć, wtedy na pewno byśmy zwyciężyli”.

I byłoby pięknie... Czy w takim razie głównym paliwem, które ma napędzać opozycję przed przyszłorocznymi wyborami, będzie dyskutowanie konfliktu rządu PiS z Brukselą i odcięcie Polski przez Komisję Europejską od pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy?

Straszenie wyborców wyprowadzeniem Polski z Unii przez PiS dziś na niko go już nie działa. Nikt nie uwierzy w taki przekaz. Działania rządu czy władz PiS są wręcz przeciwne. Ale już zamrożenie unijnych pieniędzy dla Polski jest ważną sprawą. Potwierdzają to badania opinii publicznej. Środki z Unii Europejskiej na pewno będą jednym z czynników wpływających na kampanię wyborczą. Wiedzą o tym doskonale politycy Platformy Obywatelskiej, a także Komisja Europejska. Myślę, że będą tym grali do końca. Jednak z badań wynika, że w tej sprawie wyborcy PiS ufają polityce swojego ugrupowania. Oczywiście chcieliby, żeby te pieniądze do Polski napłynęły, ale nie za wszelką cenę. Jeżeli zakładamy, że przyszłoroczna kampania wyborcza będzie bazować na trwałych elektoratach, a tak raczej trzeba zakładać, to ta sprawa nie musi mieć tak zasadniczego wpływu na wyniki wyborów, jak wydawałoby się opozycji.

Czy przed wyborami dojdzie do debaty Kaczyńskiego i Tuska? Lider PiS w jednym z ostatnich wywiadów nie wykluczył takiej ewentualności, ale swoją zgodę na debatę obwarował kilkoma warunkami. Czy po doświadczeniu z 2007 r., kiedy debata Kaczyńskiego i Tuska miała istotny wpływ na przegraną PiS w przedterminowych wyborach, prezes PiS zaryzykuje takie starcie?

Nie wierzę, że dojdzie do takiej debaty. Raz, ze względu na to, co wydarzyło się w 2007 r., dwa – że na stole jest inna propozycja, żeby to nie Kaczyński, ale premier Morawiecki debatował z Tuskiem. Widać, że Jarosław Kaczyński oddaje w tej sprawie pole Morawieckiemu, żeby nie dać się zapędzić w kozi róg na jakimś szczegółiku, jak to zrobił w 2007 r. Tusk. Istotny jest tu element zaufania społecznego. Jarosław Kaczyński ma duży wskaźnik nieufności, znacznie lepszą pozycję pod tym względem ma Morawiecki. To powoduje, że premier będzie łatwiej zaakceptowany w publicznych debatach. Moim zdaniem taką strategię obrał lider PiS, dlatego debaty Tusk-Kaczyński, moim zdaniem, nie będzie.

Czeka nas wyjątkowo „brudna” kampania wyborcza?

Nie sądzę, żeby nadchodząca kampania była brudniejsza niż dotychczasowe. Z kampanii na kampanię słyszymy, że teraz to będzie najgorzej, jak może być. Politycy sami wywołują w nas takie nastroje, za każdym razem mówiąc, że to są najważniejsze wybory po 1989 r. Tak jest co wybory, dlatego nie przywiązywałbym się specjalnie do tej retoryki.

Myślę, że nadchodząca kampania będzie tak samo ostra jak poprzednie. Każde wybory są ważne, w każdych wyborach partie polityczne chcą przejąć władzę od innych partii. Dla nich to są bardzo ważne wybory. Oczywiście dla państwa i Polaków te wybory też są ważne, bo wskazują kierunek światopoglądowy, w którym pójdziemy. Tu mamy w Polsce największe różnice. Bo na szczęście w dziedzinie obronności czy bezpieczeństwa mówimy raczej wspólnym głosem. W sprawach społecznych, kwestiach dotyczących gospodarki i podatków propozycje poszczególnych partii politycznych są różne, choć moim zdaniem wszystkie idą w – jak to określał – „soft populizm”. Czeka nas na pewno ostra walka o tych, którzy pójdą na wybory, i o tych, którzy na wybory się nie wybierają.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**ALIOR
BANK**

KONTO JAKŻE OSOBISTE

WSZYSTKICH KRĘCI 2% ZWROTU ZA PŁATNOŚCI MOBILNE

PROMOCJA!
DO 28.02.2023 R.



www.aliorbank.pl

Oferta specjalna „Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne do 2%” trwa od 1 grudnia 2022 r. do 28 lutego 2023 r. i jest skierowana do klientów, którzy posiadają lub otworzą Konto Jakże Osobiste z aktywną korzyścią Zwrot za Zbliżeńiowe Płatności Mobilne. Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne w trakcie trwania oferty specjalnej wynosi 2% wartości płatności bezgotówkowych wykonanych w sklepach stacjonarnych z użyciem Google Pay, Apple Pay, Fitbit Pay, Garmin Pay, SwatchPAY!, Xiaomi Pay oraz usługi BLIK, nie więcej jednak niż 50 zł w miesiącu kalendarzowym. Do płatności zbliżeniowych Apple Pay, Google Pay, SwatchPAY!, Garmin Pay, Xiaomi Pay lub Fitbit Pay jest wymagane urządzenie obsługujące tę funkcję. BLIK zbliżeniowy jest dostępny w telefonach z Androidem 6.0 (lub nowszym) oraz aktywną usługą NFC. Szczegółowe warunki oferty znajdują się w regulaminie oferty specjalnej „Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne do 2%” dostępnym na stronie www.aliorbank.pl. Aplikację Alior Mobile można pobrać bezpłatnie na telefon ze sklepów App Store (iOS), Google Play™ (Android™) lub AppGallery (dla urządzeń Huawei). Android, Google Pay i Google Play to znaki towarowe Google Inc. Nie pobierzemy opłaty 10 zł za prowadzenie konta, jeśli w danym miesiącu kalendarzowym na konto wpłynie jednorazowo min. 1500 zł z innego banku lub z konta firmowego w naszym banku (jako wpływ nie są traktowane przelewy z rachunków Kantoru Walutowego Alior Banku należących do klientów indywidualnych i biznesowych) lub jeśli nie masz ukończonych 26 lat. Dwie korzyści są bezpłatne, każda kolejna kosztuje 3,50 zł miesięcznie. Korzyść wybrana do konta będzie aktywna od następnego dnia. W przypadku rezygnacji z korzyści przestaje być ona aktywna pierwszego dnia kolejnego miesiąca kalendarzowego. Szczegółowe informacje znajdują się w Taryfie Opłat i Prowizji Alior Banku SA dla Klientów Indywidualnych, Regulaminie rachunków oszczędnościowo-rozliczeniowych, oszczędnościowych i terminowych lokat oszczędnościowych, Regulaminie kart płatniczych Alior Banku SA, Regulaminie korzyści do Konta Jakże Osobistego oraz w Regulaminie korzystania z kanałów elektronicznych dla Klientów Indywidualnych. Zastosowane w niniejszym materiale pojęcia oznaczają zgodnie z wykazem usług reprezentatywnych: prowadzenie konta – prowadzenie rachunku płatniczego, Alior Mobile – usługa bankowości elektronicznej. Stan na 1.12.2022 r.

Polowanie na „agentów Putina”



Jan Fiedorczuk

Od kilku miesięcy PiS zarzuca Platformie, a Platforma PiS, prorosyjskie sympatie. Słuchając obu ugrupowań, można odnieść wrażenie, że w Sejmie zasiada więcej agentów Putina niż polskich posłów

Pod koniec listopada premier Mateusz Morawiecki oraz Jarosław Kaczyński ogłosili plan powołania komisji badającej rosyjskie wpływy w energetyce od 2007 r. Tyle w teorii, bo de facto chodziło o komisję, która udowodni, że rząd PO-PSL realizował interesy Władimira Putina nad Wisłą, z czym sami politycy się szczególnie nie kryli.

– Dochodziło do wątpliwych kontaktów i dla wszystkich jest jasne, że armia rosyjskich szpiegów wykonuje zadania rozpisane przez Moskwę – mówił premier Morawiecki. Szef rządu dodał, że należy odkryć, w jaki sposób doszło do uzależnienia Polski od rosyjskich surowców, że Polacy „chcą znać prawdę”, a zawierane wówczas umowy były podpisywane „krwawym atramentem”.

Komizm sytuacji polegał na tym, że propozycja PiS stanowiła lustrzane odbicie niedawnego pomysłu Platformy Obywatelskiej. Zaledwie miesiąc wcześniej to Donald Tusk wystąpił z postulatem komisji śledczej w sprawie wpływu Rosji na energetyczną politykę Zjednoczonej Prawicy. I wówczas to lider PO przekonywał, że Jarosław Kaczyński dał się „wmontować” rosyjskim służbom specjalnym „w scenariusz pisany cyrylicą”.

Ta paranoiczna sytuacja wzajemnego oskarżania stała się motorem napędowym trwającej już od kilku miesięcy cichej kampanii wyborczej.

RUSOFOBIA PRZETERMINOWANA

Komisja zaproponowana przez Tuska jest oczywiście jedynie emanacją szerszego procesu, który obserwujemy już od kilku lat w Platformie Obywatelskiej. To proces budowy dychotomicznej wizji, gdzie z jednej strony mamy obrońców demokracji, liberalizmu, praw kobiet oraz wszelakich uciskanych mniejszości, a z drugiej – obóz antydemokratów, czyli stronników Moskwy. Platforma Obywatelska stara się przedstawić manichejską wizję świata, gdzie każda jednostka jest zmuszona dokonać wyboru między dobrem (podporządkowanie się UE) a złem (podporządkowanie się Rosji Putina). Tertium non datur. W tej pokrętniej narracji PiS chce dokonać polexitu (na co rzecz jasna nie ma nawet cienia dowodu), ergo – należy do obozu putinowskiego.

Podejście Tuska i jego akolitów jest tyleż kuriozalne, że w czasach, gdy rząd PO jeszcze w najlepsze prowadził interesy z Moskwą, to przecież formacja Kaczyń-

skiego, z samym liderem na czele, była określana jako skrajnie antyrosyjska. Jeszcze przed podwójnymi wyborami z 2015 r. suflowano narrację, że PiS nie może przejąć władzy ze względu na swoją rusofobię. To nie kto inny, jak współrządzący wówczas działacze PSL rozdawali wręcz gazety z takim przekazem. „Kto zapewni, że jeśli rusofob Kaczyński dojdzie do władzy, to nie wyśle na Ukrainę polskich żołnierzy i nie wywoła wojny z Rosją?” – to jedno z haseł drukowanych w piśmie ludowców.

Dobrym wyznacznikiem postawy ówczesnej władzy były reakcje na słynny list Jarosława Kaczyńskiego z 2010 r., w którym prezes PiS przestrzegał przed uległą postawą wobec neoimperialnej polityki Rosji. To pod adresem PiS padały wtedy zarzuty dotyczące rusofobii i wychodzenia przed szereg. Bronisław Komorowski tuż po katastrofie smoleńskiej przekonywał, że Kaczyński „zrobił wiele złego dla relacji polsko-rosyjskich”, a Polacy na pewno „nie zapomnieli o jego rusofobicznej postawie”.

PLATFORMA ANTYROSYJSKA

Antyrosyjska postawa PO (i próba „putinizacji” PiS) jest jedynie pochodną jej

prounijnej polityki. Jak mówi popularny bon mot – w naszym regionie można być albo w Unii, albo w Rosji. Skoro Kaczyński ośmiela się spierać z Brukselą, to znaczy, że jest po stronie Rosji. Dlatego ta antyrosyjskość PO jest względna i zapewne gdy tylko w samej Unii dojdą do głosu podmioty domagające się wznowienia dialogu i interesów z Moskwą, również polscy liberałowie zapomną o swym „rusofobicznym” epizodzie.

I tak jak obecnie Klaudia Jachira radośnie płąsa po Sejmie, krzycząc do Antoniego Macierewicza i Jarosława Kaczyńskiego, że są agentami Putina, a Donald Tusk przekonuje, że PiS wprowadza nad Wisłą „ruski ład”, tak za kilka lat oboje będą ponownie zarzucać prawicy ślełą nienawiść do Rosji.

Oczywiście parlamentarne przepychanki to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Ten obraz nabierze kolorytu, gdy zjeździemy do poziomu platformerskiego backgroundu i zanurzymy się w misterna sieć knoń i powiązań prezentowaną przez takie ośrodki jak „Newsweek”, „Gazeta Wyborcza” czy wiele opozycyjnych akolitów od Romana Giertycha, przez Tomasza Lisa i Tomasza Piątka, aż do Jana Pińskiego. Wystarczy przypomnieć tutaj szaloną teorię byłego szefa Ligi Polskich Rodzin, jakoby Jarosław Kaczyński planował dokonać rozbiórów Ukrainy i zagarnąć zachodnią część kraju.

Prezentowana wcześniej dychotomia – liberalna, demokratyczna Unia vs. autorytarni zwolennicy Putina – najpełniej wybrzmiała jednak w głośnym wywiadzie, którego gen. Pytel udzielił „Wyborczej”. Wojskowy przekonywał, że Rosjanie opletli polski rząd siatką szpiegów, agentem może być sam Morawiecki, a Kaczyński podaje Putinowi Polskę na tacy. „Państwo demokratyczne by się przed tym broniło” – wzdycha generał, ale skoro władzę sprawują autorytarni zamordyści, to nie ma co się dziwić wpływowi Rosji. Nie chodzi zresztą o sam kuriozalny wywiad, tylko rezonans, jaki wywołał w środowiskach okołoplatformerskich. „Lektura obowiązkowa”, „otwiera oczy”, „maski opadły” – dziesiątki, wydawało się, poważnych ludzi powtarzało zatrważonym głosem podobne teksty, przesyłając sobie „wstrząsający” wywiad.

NA PRAWICY BEZ ZMIAN

Po prawej stronie sceny politycznej sytuacja wygląda z kolei nieco mniej in-

teresująco, gdyż w III RP antyrosyjskość zawsze stanowiła istotną składową tożsamości znacznej części prawicy. Trudno tu mówić o jakiejś wolcie podobnej do tej w wykonaniu PO. Inwazja na Ukrainę jedynie wzmocniła antyrosyjskie nastroje na prawicy, co zaowocowało kolejną falą oskarżeń pod adresem politycznych konkurentów.

– Ja wiedziałem, że tu jest agentura Putina, ale nie wiedziałem, że aż tak liczna – grzmiał Jarosław Kaczyński podczas burzliwego, wrześnieowego posiedzenia Sejmu.

Krótkie wystąpienie prezesa PiS było swoistą głośną do dyskusji na temat katastrofy smoleńskiej oraz programu TVN na temat Antoniego Macierewicza, który miał dowolnie dobierać dane pasujące do jego tezy o zamachu smoleńskim.

Sama sprawa tragedii z 10 kwietnia 2010 r. powróciła zresztą na dobre do polskiej debaty, stając się dla rządzących burzliwym instrumentem do oskarżania przeciwników o sympatie prorosyjskie. Widzieliśmy to w całej okazałości podczas niedawnej afery związanej z głosowaniem nad uchwałą uznającą Rosję za „państwo sponsorujące terroryzm”, gdy Antoni Macierewicz niespodziewanie, bez uzgodnienia z pozostałymi partiami, zgłosił poprawkę stwierdzającą, że to Rosja zestrzeliła prezydencki tupolew. Ostatecznie opozycja odmówiła wzięcia udziału w głosowaniu, co doprowadziło do tego, że uchwała przepadła.

Politycy Zjednoczonej Prawicy szybko wykorzystali to, że opozycja odmówiła głosowania nad uchwałą, i zaczęli zarzucać politycznym oponentom sprzyjanie Moskwie. – Uchwalenie kilku zdań na temat zamachu smoleńskiego, tragedii smoleńskiej jest dla opozycji czymś nie do przyjęcia. Obrona Putina jest w dalszym ciągu aktualna dla naszych przeciwników – ocenił prezes PiS.

Najmocniej w podobny ton uderzał bodaj wiceminister rolnictwa Janusz Kowalski, który wprost domagał się pociągnięcia do odpowiedzialności lidera PO. – Postawimy prorosyjskiego Donalda Tuska przed Trybunałem Stanu, a potem wsadzimy do więzienia – deklarował w Sejmie polityk Solidarnej Polski.

Dla PiS byłoby bardzo wygodne, gdyby Tusk kontynuował prorosyjską linię, którą prowadził przed laty, gdy starał się wpisać w koncepcję „resetu” Baracka Obamy. Fakty są jednak takie, że od dłuższego czasu PO ma narrację nie

mniej antyrosyjską niż Kaczyński (choć faktycznie zależną od tego, jak długo antyrosyjskie nastroje będą panować w UE) i trudno opisać, w czym obecna postawa Tuska wobec wojny różni się od postawy PiS.

INFLACJA AGENTÓW

Problem jest jednak znacznie głębszy i nie sprowadza się do wojny PiS-PO. Zarzut „agenturalności” stał się młotem na każdy głos wyłamujący się z panującej narracji dotyczącej nieuchronnego zwycięstwa Ukrainy oraz konieczności ponoszenia przez Polskę coraz większych kosztów na rzecz Kijowa. Każdy, kto podkreśla, że interesy Polski i Ukrainy nie są zbieżne na wszelkich kierunkach, natychmiast spotyka się z zarzutem agenturalności; kto wskazuje, że Zachód w końcu będzie chciał się porozumieć z Moskwą, jest nazwany „ruską onucą”; kto podważa tezę o nieuchronnej porażce Rosji, oskarżany zostaje o bycie „pachołkiem Putina”. Po prostu zarzut agenturalności paraliżuje polską debatę publiczną, wyklucza z niej jakiekolwiek autonomiczne głosy.

Jednym z najbardziej absurdalnych przykładów potwierdzających tę tezę jest ostracyzm, który spotkał publicystę „Do Rzeczy” Wojciecha Cejrowskiego. W zeszłym roku Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi odwołał dwa jego występy słynnego podróżnika z powodu... jego wypowiedzi na temat przyczyn wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej. Kuriozum polegało na tym, że Cejrowski przez lata był regularnie oskarżany o rusofobię i faktycznie w historii III RP trudno znaleźć kogokolwiek, kto dorównywałby mu niechęcią nie tylko do moskiewskich dygnitarzy, lecz także samych Rosjan. A jednak nawet on mógł zostać posądzony o putinowskie sympatie. Wystarczyło nie wpisywać się w obowiązującą narrację.

„Agent Putina” to hasło wytrych służące do bieżącej politycznej walki, hasło paraliżujące oraz wyjaławiające – i tak przecież nieszczególnie bogate – życie intelektualne III RP. Skoro każdy – od Antoniego Macierewicza do Donalda Tuska – może być „agentem”, to ten termin nic nie znaczy. Ponury absurd całej sytuacji polega na tym, że z chaosu wywołanego „inwazją” rzekomych szpiegów na nasz kraj cieszyć może się jedynie prawdziwa agentura, która w takim zamęcie informacyjnym czuje się jak ryba w wodzie.

Bez śladów zamachu



Łukasz Warzecha

Cios w opowieść o „zamachu smoleńskim” przyszedł z prokuratury. I to w okresie gorącego sporu wewnątrz obozu władzy

Od momentu wybuchu wojny na Ukrainie Jarosław Kaczyński już oficjalnie mówi o katastrofie pod Smoleńskiem jako o skutku celowego działania, choć w nieco jeszcze wieloznaczny sposób. 10 listopada prezes PiS powiedział: „Wielu nie chce w to wierzyć. Dziś to, o czym mówiłem z tego miejsca wielokrotnie, dziesiątki razy, to znaczy dojście do prawdy, zostało dokonane. Znamy tę prawdę, choć jeszcze oczywiście nie całą. Nie wiemy dokładnie kto. Nie wiemy dokładnie, w jakich okolicznościach, ale wiemy, co było przyczyną tej katastrofy. Co doprowadziło do tragedii i to była z całą pewnością zła wola, nienawiść, nienawiść w wielkim natężeniu, nienawiść do tych, którzy chcieli podtrzymywać polską pamięć, ale to podtrzymywanie polskiej pamięci było dla nich także budowaniem, budowaniem polskiej tożsamości, a co za tym idzie – także polskiej siły”.

Kilka miesięcy wcześniej, w rocznicę 10 kwietnia, prezes PiS był nieco dosadniejszy: „Dowody trzeba umieć zebrać.

To było niesłychanie trudne, to trwało bardzo wiele lat. Dzisiaj wiemy, co się stało. Mamy tę odpowiedź. Po raz pierwszy pełną, konsekwentną, odpowiadającą na wszystkie pytania. A także zweryfikowaną przez wiele różnych, także będących poza Polską, ośrodków. I będzie w najbliższych dniach i tygodniach o tym mowa. Będzie to przedstawione opinii publicznej”. Ośrodki „będące poza Polską” chyba jednak nie do końca spełniły oczekiwania, jak miało się okazać kilka miesięcy później. Do tego wrócimy.

Przemawiając 10 kwietnia, Jarosław Kaczyński miał na myśli raport podkomisji Antoniego Macierewicza, który został opublikowany wkrótce po rocznicy i zawiera następującą konkluzję: „Tak więc prawdziwą przyczyną katastrofy smoleńskiej były dwie eksplozje w końcowej fazie lotu. Pierwsza miała miejsce ponad 100 metrów przed miejscem, gdzie rośla brzoza na działce N. Bodina podczas odejścia na drugie zejście. [...] Eksplozja urwała blisko 6-metrową końcówkę lewego skrzydła, zniszczyła slot nr 2/2, poszycie górne fragmentu odejmowalnej części skrzydła oraz urwała lewe mocowanie klapy zaskrzydłowej. ABSU wprowadziło samolot w ślizg, umożliwiając na ok. 1 sekundę utrzymanie prawidłowej pozycji lotu. Później ze względu na stopień zniszczeń slotu, klapy zaskrzydłowej i poszycia odejmowalnej części skrzydła samolot zaczął przechylać się na lewo. Równocześnie doszło do kolejnych awarii: lewego silnika i podwozia – urwania klapy przy lewym goleniu podwozia i awarii wyso-

kościomierza radiowego. Samolot stracił statecznik pionowy, oderwana została też część lewego statecznika poziomego. Druga eksplozja nastąpiła kilkanaście metrów nad ziemią ok. 6 sekund po wybuchu w skrzydle, w pobliżu dwóch bruzd znaczących pierwszy kontakt z ziemią dużych części samolotu. [...] Ładunek, który doprowadził do wybuchu, zawierał heksogen (RDX) oraz pentryt i trotyl. Skutkiem eksplozji była śmierć pasażerów i całkowite zniszczenie samolotu”.

Mimo że wnioski brzmią bardzo definitywnie, nie wywołały praktycznie żadnego odzewu poza szybko przykrytym innymi problemami standardowym sporem w mediach. Kilka miesięcy później TVN 24 przedstawił reportaż, w którym twierdził, że Antoni Macierewicz ukrył te wątki zagranicznych ekspertyz, które nie pasowały do tezy o zamachu. Przede wszystkim schowane miały zostać zaprzeczające hipotezie zamachu elementy zakupionej na komercyjnych zasadach ekspertyzy National Institute for Aviation Research (NIAR – Krajowy Instytut Badań Lotniczych) z Uniwersytetu Stanowego w Wichita w stanie Kansas.

Podkomisja w odpowiedzi zarzuciła stacji TVN kłamstwo. W opublikowanym oświadczeniu stwierdzono, że „podkomisja przedstawiła swoje badania w sposób rzetelny i były one przeprowadzone przy wykorzystaniu wszystkich dostępnych źródeł i metod naukowych. Podkomisja wszystkie swoje wyniki badań, w tym symulacje NIAR rozbicia samolotu po uderzeniu w ziemię, opublikowała w Ra-



Miejsce katastrofy polskiego tupolewa

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

porcie oraz w załącznikach”. Ten spór, toczący się we wrześniu, nie wywołał jednak większego oddźwięku.

UKRAIŃSKA STYMULACJA

Sprawa katastrofy smoleńskiej w ogóle bowiem przestała szerszą publiczność emocjonować. Stała się jednym ze standardowych, w gruncie rzeczy nudnych już elementów sztafetu walki pomiędzy dwoma plemionami, w której rolę są od dawna rozdane, a nikt nie ma nic nowego do powiedzenia. Znaczenie katastrofy sprzed 12 lat zbladło wobec problemów gospodarczych, a wcześniej wynikających z pandemii. Choć nawet przed 2020 r. Smoleńsk powracał jako temat jedynie incydentalnie, na ogół w okolicach rocznicy. Miesięcznice katastrofy przyciągają już tylko tych najbardziej zaangażowanych.

Wojna na Ukrainie zmieniła sytuację o tyle, że do przyjętej przez rząd linii bezwarunkowego i maksymalnego wspierania Kijowa pasowała idealnie hipoteza o dokonaniu przez Rosjan zamachu. Skoro bowiem to Rosjanie zamordowali 96 pasażerów rządowego tupolewa, to usprawiedliwione mają być wszelkie środki i każde poświęcenie, aby w nich uderzyć. Wydaje się, że ukraińscy politycy doskonale zdawali sobie sprawę nie tylko z tego zabiegu, lecz także z osobistej wrażliwości Jarosława Kaczyńskiego na tę kwestię. Jeszcze w marcu Wołodymyr Zełenski, zdalnie występując przed polskim Zgromadzeniem Narodowym, nawiązywał do katastrofy smoleńskiej, mówiąc:

„Pamiętamy straszną tragedię w Smoleńsku z 2010 r. Pamiętamy, jak były badane okoliczności tej katastrofy. Wiemy, co to oznaczało dla was i co oznaczało dla was milczenie tych, którzy wszystko dokładnie wiedzieli, ale cały czas oglądali się jeszcze na naszego sąsiada”. Było to jednak wciąż dość ogólne postawienie sprawy, choć już wyraźnie sprzyjające narracji PiS.

W tegoroczną rocznicę katastrofy Zełenski napisał na Twitterze: „Czcimy pamięć ofiar katastrofy samolotu w pobliżu Smoleńska, która 12 lat temu pochłonęła życie prezydenta Lecha Kaczyńskiego i przedstawicieli polskiej elity. Dzisiaj okazujemy solidarność polskim przyjaciółom i sojusznikom, którzy wspierają Ukrainę w walce przeciwko rosyjskiej agresji”. Natomiast dużo bardziej stanowczy był minister obrony Ukrainy Ołeksij Reznikow: „Drugi Katyń. Dwanaście lat temu Polska straciła swoich najlepszych synów i córki w katastrofie w pobliżu Smoleńska”. Określenie „drugi Katyń” raczej nie pozostawia wątpliwości co do tego, czy zdaniem Reznikowa mieliśmy do czynienia z wypadkiem czy też z celowym działaniem ani też kto za nie odpowiadał.

Smoleńsk nie stał się pierwszorzędnym elementem wojennej narracji, ale jest jednym z elementów gry. Ukraińcy wspominają o nim, podbijając tezę o rosyjskim sprawstwie, doskonale rozumiejąc, jakie ma to znaczenie dla obozu władzy i osobie dla prezesa PiS. Z kolei polska strona wymienia katastrofę – przedstawianą już w zasadzie wprost jako zamach – jako jeden z czynników, które mają nas skłaniać do trwania przy Ukrainie do samego końca. Cokolwiek miałyby to oznaczać.

Problem w tym, że w tej opowieści pojawił się ostatnio bardzo istotny wyłom, a w dodatku – z zaskakującej strony, bo z prokuratury, która wciąż prowadzi w sprawie katastrofy śledztwo. Na jego potrzeby powołano specjalny zespół śledczy funkcjonujący w ramach Prokuratury Krajowej, a śledztwo jest prowadzone pod nadzorem zastępcy prokuratora generalnego, czyli prokuratora krajowego. W 2020 r. prokuratorzy z zespołu powołali międzynarodowy – a więc pozostający poza podejrzeniem o uleganie jakimkolwiek wpływom – zespół biegłych, których zadaniem miało być zbadanie szczątków 83 ofiar katastrofy i m.in. sprawdzenie, czy noszą one ślady wybuchu. Biegli, poza Polską, pochodzili z Francji, Danii, Szwajcarii i Portugalii oraz – według Prokura-

tury Krajowej – mieli posiadać wybitną wiedzę z dziedziny badania wypadków lotniczych.

KŁOPOTLIWE KONKLUZJE

TVN 24 ujawnił niedawno pytania, które do tego zespołu ekspertów skierował jeden z prokuratorów pracujących nad sprawą. Na ich podstawie dowiadujemy się, że w opinii zespołu biegłych „w żadnym przypadku [...] nie wskazano na obecność jakichkolwiek obrażeń lub innych medycznych cech, których charakter sam w sobie stanowiłby podstawę uprawdopodobnienia hipotezy gwałtownego wyzwolenia energii o charakterze eksplozji materiałów wybuchowych lub łatwopalnych”. Mówiąc prościej: biegli na podstawie oględzin szczątków ofiar nie stwierdzili podstaw do postawienia tezy o wybuchu czy wybuchach na pokładzie samolotu. Gdyby chodziło tutaj o biegłych wyłącznie z Polski, można by jeszcze próbować podciągnąć to pod skutek jakichś politycznych nacisków. Skoro jednak mowa o międzynarodowym zespole, pozostającym poza zasięgiem naszych sporów, to trudno taki pogląd obronić.

Raport jest bardzo kłopotliwy dla podkomisji Antoniego Macierewicza, ponieważ stoi w całkowitej sprzeczności z konkluzjami jej raportu. Mowa jest zaś o kompleksowych wnioskach – wszak zbadano szczątki niemal wszystkich ofiar (zapewne wszystkich, gdzie było to fizycznie możliwe), zatem rezultaty trudno uznać za selektywne. Politycznie natomiast ciekawe jest, że cios w opowieść o zamachu przychodzi z prokuratury, pozostającej pod zwierzchnictwem Zbigniewa Ziobry, choć za pośrednictwem medium niechętnego rządowi. I dzieje się to dokładnie w momencie, gdy napięcia wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy sięgają zenitu. Może to być oczywiście całkowity przypadek.

Co zaś do wyjaśnienia katastrofy – dawno już chyba należało porzucić nadzieję, że uda się to zrobić w przewidywalnym czasie. Klucz do wiedzy o prawdziwym przebiegu wypadków jest w Moskwie, a stamtąd nie sposób spodziewać się pomocy zapewne przez wiele lat. Spośród tych badań i wniosków, które dzisiaj są dostępne, najcenniejsze wydają się natomiast te, które wynikają z bezpośrednich badań – a więc takie, jak wynikające z działania zespołu ekspertów powołanych przez prokuraturę.

Pod koniec listopada wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł w trybie rozstrzygnięcia nadzorczego unieważnił decyzję powołującą Monikę Strzępkę na dyrektora Teatru Dramatycznego (o powołaniu zdecydowała komisja konkursowa składająca się z przedstawicieli miasta, resortu kultury, ZASP oraz związków). Jak argumentował wojewoda, program Strzęпки nie spełniał wymogów konkursu na szefa teatru.

„Dobór współpracowników i zaproponowany repertuar jednoznacznie wskazują, że program Moniki Strzęпки nie wpisuje się w oczekiwania. Organizator jednoznacznie określił linię programową Teatru, jako skierowanego do tzw. widzów środka. Kandydatka zaś zapowiedziała całkowitą zmianę dotychczasowej linii” – czytamy w uzasadnieniu.

„WILGOTNA PANI” I INTERWENCJA ORDO IURIS

Problemem były kwestie ideowe. Radziwiłł zarzucił Strzępkę, że „stroni od dzieł klasycznych”. Wydaje się, że iskrą na tym prochu była skandaliczna rzeźba, która została ustawiona w teatralnym holu z okazji objęcia funkcji przez nową dyrektorkę. Rzeźba o nazwie „Wilgotna pani” to „waginiczna instalacja” autorstwa Iwony Demko. Twórczyni nazywa siebie „artystką waginistką”.

Rzeźbę „wprowadzono” do teatru w absurdalnym orszaku, któremu przewodziła dumnie m.in. właśnie Monika Strzęпка. „Od 1 września »Wilgotna pani« będzie matronować Teatrowi Dramatycznemu – przez najbliższych kilka tygodni rzeźbę będziecie mogli obejrzeć w dolnym foyer teatru” – informowano na facebookowej stronie „Plac Defilad”, festiwalu, który co roku odbywa się na placu Defilad (na którym z kolei mieści się Teatr Dramatyczny). „Monika Strzęпка pulsującym, magicznym rytuałem i siostrzeńską procesją zainaugurowała swoją pięcioletnią kadencję na naszej plenerowej scenie” – dodano.

Sprawą zainteresował się Instytut Ordo Iuris, który podjął interwencję. W efekcie doszło do odwołania Strzęпки, choć artystka wcale nie odchodzi z Teatru Dramatycznego, o czym później.

Monika Strzęпка to nie tylko „matrona” stołecznego TD, jak postrzegają ją lewaccy aktywiści. Czterdziestosześcioletka jest reżyserem teatralnym z pokaźnym dorobkiem. Zadebiutowała w 2004 r. w Teatrze Polskim w Bydgoszczy, gdzie wystawiła

Matrona od dekonstrukcji



Zuzanna Dąbrowska

Choć Monika Strzęпка w środowisku artystycznym od zawsze postrzegana była jako artystka przełamująca schematy i lubiąca się w antynarodowej dekonstrukcji, to awantura o jej szefowanie warszawskiemu Teatrowi Dramatycznemu pokazała szerokiej opinii publicznej coś znacznie ważniejszego – że tą ważną instytucją kierowała osoba skrajnie zideologizowana, podporządkowująca ją swoim fobiom



FOT. KATARZYNA KRYSZCZAK/REPORTER

tekst Anny Bednarskiej „Z twarzą przy ścianie”. Później wystawiła m.in. „Prezydentki” Wernera Schwaba i „Dziady. Ekshumacja” Pawła Demirskiego według „Dziadów” Adama Mickiewicza (Teatr Polski we Wrocławiu). I to właśnie współpraca z Demirskim, prywatnie jej partnerem, przyniosła Strzępcę największy rozgłos. Tandem Strzępka – Demirski uznawany jest za jeden z najważniejszych duetów teatralnych w kraju. „Artyści są znani z zaangażowanych wypowiedzi i spektakli krytykujących ekonomiczne i polityczne podstawy neoliberalizmu, a także konsekwentnie dekonstruujących mity polskości” – czytamy w tekście na łamach czasopisma naukowego „Literaria Copernicana”. Strzępka i Demirski otrzymali w 2011 r. Paszport „Polityki” za „konsekwentnie rozwijany projekt teatru krytycznego. Za odwagę mówienia więcej i ostrzej, niż chcielibyśmy usłyszeć”. Pierwszy wspólny spektakl pary – „Dziady. Ekshumacja” z 2007 r. – piętnował narodową martyrologię Polaków, co jest jednym z głównych wątków ich twórczości. W „Tęczowej Trybunie 2012” pokazali historię kibiców gejów, którzy walczą o prawo do jawnego i godnego uczestniczenia w mistrzostwach Europy w piłce nożnej. Dostaje się też władzy – „Firma” opowiada o problemach PKP. Jednak – jak powiedział Paweł Demirski – „rozumielimy, że czego byśmy w naszym kraju nie dotknęli – czy to PKP czy szkolnictwa, czy służby zdrowia – właściwie nie ma miejsca, gdzie nie byłoby afery”.

Gdyby chcieć „przypisać” Monikę Strzępkę politycznie, to bliżej jej do lewicy spod znaku partii Razem niż Platformy Obywatelskiej – choć to ta druga wyniosła ją do najważniejszej funkcji w karierze.

Nie jest to postać czarno-biała. W swojej twórczości krytykuje „krwiożerczy kapitalizm” i liberalizm. Publicystka „Wyborczej” i TOK FM Dominika Wielowiejska zwróciła niedawno uwagę, że Strzępka w 2010 r. głosowała w wyborach prezydenckich na Jarosława Kaczyńskiego, bo uważała, że Platforma Obywatelska wprowadzi w życie „rozwiązania brutalne i nieodwracalne”. – To paradoks, że stanowisko zawdzięcza samorządowi, gdzie rządzi PO, a odwołuje ją Kaczyński, na którego głosowała – zauważyła dziennikarka.

Z lewicowością kojarzą się też stroje artystki. Lubuje się w dresach i awangardowych kreacjach, które wybiera również na oficjalne okazje.

I tak pewnie, z dużym powodzeniem, Monika Strzępka funkcjonowałaby dalej w dość ciasnym kręgu teatralno-artystycznym, gdyby nie seria wywiadów udzielonych po decyzji wojewody Radziwiłła. Dzięki nim opinia publiczna mogła z całą brutalnością uświadomić sobie, kto kierował (co prawda krótko, ale jednak) jedną z najważniejszych stołecznych placówek kulturalnych. W rozmowie na falach Radia Zet Strzępka wyraziła oburzenie faktem, że władzy przeszkadza jedna wagina w przestrzeni publicznej. Tymczasem – jak przekonuje – otaczają nas dziesiątki penisów. – Żyjemy w kraju, w którym mamy tych penisów wyszorcowanych wszędzie bez liku, bo to są symbole fallusa. Wszystko, co jest wysokie i pnie się w górę, to jest męskie – stwierdziła. Jako przykład podała Pałac Kultury. – Więc ta nasza skromna, wspaniała „Wilgotna pani”, to chyba mamy prawo do jednego takiego miejsca – perorowała.

FEMINISTKA TOTALNA

Monika Strzępka jest feministką „totalną”, żeby nie napisać „totalitarną”. – Nie urodziłam się feministką. „Myślę, że w swojej drodze artystycznej zadziałam tak jak demokratyczna opozycja: najpierw wolność, a później kobiety” – wyznała w jednym w wywiadów.

Nie kryła jednak, że jej celem jest totalna feminizacja Teatru Dramatycznego, także kosztem walorów artystycznych. Chwaliła się, że instytucja jest jedyną „w tym kraju”, którą prowadzą wyłącznie kobiety. Nietrudno sobie wyobrazić, jaki krzyk by się podniósł, gdyby w głowie jakiegokolwiek mężczyzny pojawił się choćby pomysł stworzenia ośrodka „wyłącznie męskiego”, a w dodatku finansowanego ze środków publicznych. Tymczasem Strzępka nie widzi problemu i nęci wizją „instytucji bezprzemocowej”. – Jedno miejsce, gdzie można prowadzić feministyczną instytucję kultury. Co nie oznacza, że my kogokolwiek wykluczamy. Feministyczna instytucja polega na tym, że my ją transformujemy w kierunkowi bycia instytucją bezprzemocową – zapewniła. Artystka dąży do obalenia patriarchy. „Wojna jest radykalną manifestacją patriarchy. Patriarchat zatem musi się skończyć, by skończyły się wojny toczone przeciw życiu. Stanie się to wówczas, kiedy uda nam się przekroczyć logikę dominacji, siły i podporządkowania” – wskazała w marcowym orędziu

na tegoroczny Międzynarodowy Dzień Teatru.

Z kolei w wywiadzie dla TVN 24 reżyser podkreślała, że jej „zadanie jako artystki to jest rozmowa z publicznością, z tymi, którzy chcą ze mną rozmawiać”. – Naprawdę nikt pana wojewody do tego akurat teatru nie zaprasza, jeżeli nie chce. Ma cały szereg świątyń, innych teatrów, które proponują repertuar taki, jak by sobie życzył pan wojewoda – stwierdziła.

Monika Strzępka zupełnie ignoruje fakt, że Teatr Dramatyczny nie jest prywatnym folwarkiem jej i jej koleżanek, tylko instytucją publiczną, otrzymującą środki m.in. od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (w tym roku to 240 tys. zł). Z tego też względu ma konkretne obowiązki wobec całego społeczeństwa, a nie jedynie lewicowo-feministycznej grupki stołecznych aktywistów. Reżyser ma nadzieję, że w jej obronie stanie prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski i odwoła się do „Wolnych Sądów”. – Mogę tylko powiedzieć, że liczę i wierzę bardzo w to, że w Polsce sądy są wciąż niezawisłe. Ta sytuacja pokazuje, jak bardzo to jest ważne, żeby sądy były niezależne i niezawisłe – mówi Strzępka w rozmowie z Moniką Olejnik i mówi to językiem betonowego elektoratu PO.

Warszawska śmietanka artystyczna, która podobnie jak w całym kraju ideologicznie stoi – pisząc najdelikatniej – daleko od prawicy, nie da zginać Strzępcę. „Poznajcie naszą nową doradczynię do spraw artystycznych. Przed wami – zawieszona! – Monika Strzępka, która będzie nas wspierać w realizacji koncepcji programowej” – poinformowali radośnie przedstawiciele Teatru Dramatycznego na Facebooku.

„Dramatyczny Kolektyw wdraża nowy model zarządzania teatrem i dalej realizuje zwycięski program: za sprawy artystyczne i programowe odpowiada Dorota Kowalkowska, za sprawy organizacyjne i finansowe Monika Dziekan, za transformację instytucji Agata Adamecka, za sprawy produkcji Małgorzata Błasińska, a za sprawy techniczne i inwestycyjne Mariusz Guglas. Czy da się prowadzić teatr poza ściśle dyrektorskim schematem? Czy da się zarządzać instytucją inaczej niż w jednowładztwie? Trzymajcie kciuki! Kierunek: feministyczna instytucja kultury. Terapia dla wszystkich” – zapowiada placówka. A kto zapłaci za terapię dla widzów?



Łączy nas forsa



Łukasz Zboralski

Po tych mistrzostwach wiemy, że największym problemem nie jest to, że w piłkę Polacy grają słabo. Większym jest to, że premier miał ochotę rozdać im „premię” z pieniędzy podatników, a zawodnicy przed najważniejszym meczem kłócili się o zasady podziału tych pieniędzy

Wydawało się, że po występie w pucharowej fazie mistrzostw świata w piłce nożnej – i po pierwszym awansie z grupy po 36 latach – reprezentacja piłkarska odbudowała wizerunek po słabej grze grupowej. Wprawdzie dostała lanie od Francji, ale kibice widzieli przynajmniej, że sportowcy walczyli i chcieli wygrać.

I pewnie dyskusje w kraju – jak zawsze – skupiałyby się na tym, czy już zmieniać trenera, czy Lewandowski naprawdę coś daje tej drużynie, gdyby nie pewne frapujące informacje, które wydobyli na jaw dziennikarze. Okazało się bowiem, że na spotkaniu przed wylotem do Kataru premier Mateusz Morawiecki miał obiecywać piłkarzom duże pieniądze za awans do fazy pucharowej. Według niektórych doniesień miało to być 30 mln zł, według innych – nawet 50 mln zł.

KŁÓTNIA PRZED MECZEM Z FRANCJĄ

Zanim przejdziemy do tego, co z kieszeni podatników – i na jakich nieprzejrzystych zasadach – mieli dostać piłkarze, wspomnijmy o tym, że wcześniej mieli już zapewnione ogromne pieniądze od FIFA i PZPN. Za sam awans do Kataru polska drużyna miała zapewnione od FIFA 1,5 mln dol. Za miejsca od 9 do 16, czyli dla tych, którzy tak jak Polacy przegrali w jednej ósmej finału, FIFA przeznaczyła po 13 mln dol. Są to więc ogromne pieniądze, choć warto zauważyć, że 60 proc. kwot z nagród kasuje dla siebie PZPN. W każ-

dym razie piłkarze z mundialu nie wracają biedni...

Tymczasem, jak ujawniła Wirtualnapolska.pl, premier Mateusz Morawiecki miał obiecać piłkarzom dodatkową premię 30 mln zł za dotarcie do jednej ósmej finałów mistrzostw.

Szef rządu spotkał się z piłkarzami na obiedzie w hotelu DoubleTree by Hilton tuż przed odlotem drużyny do Kataru. Podczas rozmów miała paść obietnica dodatkowych pieniędzy. Co ważne – prawdopodobnie do podziału między samych piłkarzy i sztab, czyli z pominięciem PZPN.

To, że drużyna dostała taką obietnicę od premiera, potwierdził w ubiegłym tygodniu (8 grudnia) w rozmowie z Radiem Zet trener kadry Czesław Michniewicz. – Pan premier przemieszczał się po sali, gdzie jedliśmy posiłki, i przy każdym stoliku premier z kimś rozmawiał, było dużo żartów. Przy niektórych stolikach pytali: „W jakiej walucie? Bo my zarabiamy w euro” – tak Michniewicz relacjonował hotelowe spotkanie, podczas którego szef rządu obiecał im pieniądze. – Powiedział, że jeśli osiągniemy wyjście z grupy, to on pomyśli nad premią. Obiecał, że jak wyjdziemy z grupy,

Premier Mateusz Morawiecki spotkał się z kadrą tuż przed wylotem do Kataru. To tam obiecał im „premię” FOT. ŁĄCZY NAS PIŁKA/PZPN/YOUTUBE



to jeśli czas i obowiązki mu pozwolą, to postara się przylecieć do nas na kolejny mecz w fazie pucharowej i wtedy będzie czas, by uściślić, co premier miał na myśli odnośnie do premii – dodawał.

Premier ostatecznie do Kataru nie poleciał, za to piłkarzom udało się spełnić warunek, który przed nimi stawiał. Gdy stało się jasne, że dzięki arytmetyce punktów w grupie Polska awansuje mimo przegranego w fatalnym stylu meczu z Argentyną, temat premii miał wywołać burzę w reprezentacji. Bo – jak ujawnił portal Meczyki.pl – po ostatnim meczu grupowym, po późnej kolacji, trener Czesław Michniewicz miał poprosić piłkarzy, by sami ustalili sposób, w jaki podzielą – zdawało się już pewne – miliony od premiera.

Okazało się więc, że przed najważniejszym meczem – z Francją – do wieczora piłkarze zajęci byli kłótniami o podział zysków. Część miała optować za tym, żeby miliony podzielić odpowiednio do liczby minut w występach na boisku. Temu sprzeciwić miał się Robert Lewandowski, który forsował solidarny podział pieniędzy, także z zawodnikami rezerwowymi. Gdy piłkarze doszli do porozumienia,

zaczęły się kłótnie ze sztabem – ten miał dostać 10 proc. kwoty, ale żądał 20 proc.

Także te informacje – pertraktacje na temat podziału pieniędzy – potwierdził trener Michniewicz we wspomnianej rozmowie z Radiem Zet. Przyznał, że po odprawie meczowej poprosił całą drużynę o pozostanie, bo „chciał zamknąć temat” podziału nagrody od premiera. – Oznajmiłem, że premier do nas nie doleci, że temat premii musimy jak najszybciej zamknąć, że wy macie swoją propozycję, ale i tak ewentualnie decydował będzie premier – relacjonował Michniewicz w rozmowie z Radiem Zet. Powiedział też, że przed rozmową z całą drużyną rozmawiał na ten temat z Robertem Lewandowskim. Powiedział kapitanowi, że premią powinni podzielić się wszyscy – żeby pieniądze dostało w sumie 65 osób, czyli cały sztab. Michniewicz zarzekł się przy tym, że żadnej kłótni o te pieniądze nie było, a kwestia podziału nagrody zajęła „pięć minut”.

Podobnie sprawę próbował bagatelizować potem w wywiadzie z Onetem Robert Lewandowski. „My niczego nie oczekiwaliśmy, niczego nigdy się nie domagaliśmy i też nie wyciągnęliśmy rąk po publiczne pieniądze. Jest oczywiste, że lepiej, aby w ogóle tego tematu nie było, bo nie jechaliśmy na mundial dla pieniędzy, chcę to jasno powiedzieć. My traktujemy piłkę nożną i reprezentację przede wszystkim jako dumę” – mówił kapitan polskiej reprezentacji. Zarazem jednak potwierdzał, że piłkarze toczyli rozmowy o tym, jak podzielić premię od premiera, i że rozmawiali też o tym z trenerem. Winą za tę całą sytuację próbował w wywiadzie obciążyć ogólnie wspomnianych „polityków” i PZPN, a piłkarzy uznał za „ofiary tej sytuacji”.

PREMIER SIĘ MIOTA

Gdy sprawa obiecanej premii wyszła na jaw, rzecznik rządu nabrał wody w usta i przez kilka dni nie odpowiadał dziennikarzom na pytania. Później odpisał w sposób, który pozwalał wręcz ominąć pytania, bo napisał, że „żadne decyzje w tym obszarze nie zostały podjęte”.

6 grudnia sam szef rządu zabrał głos w tej sprawie. „Uważam, że jakaś premia się należy naszym piłkarzom, ponieważ wyszli rzeczywiście z grupy, w ogóle przecież grali naprawdę nieźle. Też dostali swoje środki z FIFA, nie wiem dokładnie ile, ale myślę, że to jest też ok. 20 czy nawet więcej milionów złotych za samo wyjście z grupy” – powiedział Mateusz Morawiecki w rozmowie z portalem wPolsce.pl.

Taką wypowiedzią szef rządu tylko pogłębił konfuzję Polaków. Wyglądało bowiem na to, że Morawiecki chce po prostu z publicznych pieniędzy na własną rękę wypłacić ogromną sumę piłkarzom. I to z pominięciem wszelkich procedur. Ustawa o sporcie zakłada bowiem, że premie dla sportowców przyznać może tylko minister sportu, a w dodatku znakomity sportowiec – lub zespół sportowców – może otrzymać ją tylko za zajęcie miejsca na podium na: igrzyskach olimpijskich, igrzyskach paraolimpijskich, igrzyskach głuchych, mistrzostwach świata, mistrzostwach Europy, uniwersjadzie letniej lub zimowej, akademickich mistrzostwach świata. Taka nagroda może być także przyznana za ustanowienie rekordu świata. Nijak więc w te prawne reguły nie wpisywało się odpadnięcie z mundialu po jednej ósmej finałów. A nawet gdyby polska reprezentacja wygrała cały Katar, to piłkarze mogliby liczyć na nagrodę w maksymalnej kwocie ok. 70 tys. zł. na osobę.

Premier po paru godzinach sam chyba wreszcie zrozumiał, że nie może ot, tak po prostu wypłacić 30 mln zł piłkarzom, więc po początkowej deklaracji zamieścił wpis na Facebooku, w którym jasno dał do zrozumienia, że nie wywiąże się z obietnicy złożonej piłkarzom na kolacji.

„Odpadliśmy z dalszej gry w fazie pucharowej mundialu, ale zagraliśmy dobry mecz z obecnym mistrzem świata – reprezentacją Francji. Polacy podjęli zrzucaną rękawicę” – napisał premier. I zwrócił uwagę na słaby poziom finansowania piłki nożnej (już pomińmy to, że biorąc pod uwagę inne sporty w Polsce, to akurat piłka nożna jest finansowana całkiem nieźle). Dodał też, że rolą państwa jest wspieranie rozwoju tej dyscypliny sportu i że na taki cel będą dodatkowe środki. Potem Morawiecki zrobił krótką nadzieję piłkarzom, że nagrody będą: „Uważam również, że nagradzanie za wyniki na najbardziej prestiżowych turniejach jest ważnym elementem całości systemu i zarazem rolą Związku oraz głównych sponsorów”, by zakończyć swój wpis jednoznacznie deklaracją: „Na koniec wprost: nie będzie rządowych środków na premie dla piłkarzy”.

Zdaniem Onetu premier się wycofał, bo sprawa obiecanych premii wzbudziła wściekość we władzach PiS. Wewnętrzne dochodzenie w partii miało ustalić, że pomysł obdarowania piłkarzy nie był pomysłem Morawieckiego. Premierowi miał taką myśl podsunąć jego wizerunkowy doradca – Mariusz Chłopik.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kimono zawsze w modzie



Łukasz Czarnecki

To, że wykonane starodawnymi metodami japońskie kimono wykazują tak wielką odporność na upływ czasu, iż mogą być przekazywane i noszone z pokolenia na pokolenie, jasno świadczy o wyższości tradycyjnego rzemiosła nad współczesnym nam zjawiskiem, które historycy ubioru nazywają kpiąco fast fashion. Wystawę poświęconą kimonom można oglądać w Krakowie

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha od lat przybliża zwiedzającym fascynującą kulturę Krainy Wschodzącego Słońca. Odwiedzający je mieli już okazję zapoznać się z pięknem drzeworytów ukiyo-e czy żywiołową grą aktorów teatru kabuki. Z końcem jesieni krakowska instytucja ponownie otworzyła swój muzealny szeszyt, by ukazać naszym oczom kolejne z kryjących się w nim skarbów. Tym razem są to kimono.

Warto wiedzieć, że Manggha posiada największą kolekcję tego typu strojów w Polsce – liczy ona ponad 300 eksponatów. Większość należących do muzeum egzemplarzy trafiła doń w ramach dwóch niezwykle hojnych darowizn dokonanych w ostatnich latach przez japońskich darczyńców. Najpierw w 2018 r. setkę kimon

przekazała na rzecz placówki miłośniczka kultury polskiej Nagakura Reiko. Do strojów z jej kolekcji trzy lata później, już w trakcie pandemii, dołączyły kolejne dwie setki szat i towarzyszących im akcesoriów pochodzących ze zbiorów Kizu Naohiro. Ten drugi dar jest o tyle wyjątkowy, że wchodzące w jego skład kimono znajdowały się w posiadaniu rodziny ofiarodawcy od ponad 100 lat. W większości są to egzemplarze wykonane specjalnie na zamówienie jego przodków, o czym świadczy zdobiący je herb rodowy rodziny Kizu. Szczególną wartość zarówno estetyczną, jak i emocjonalną przedstawia niezwykle kunsztowne kimono, w którym w roku 1936 brała ślub matka pana Naohiro. Zachwyty wzbudza szczegółowość zdobiących je wzorów. Z fałd materiału zrywają się do lotu żurawie, stanowiące

w Japonii symbol wierności małżeńskiej, a tłem dla wielkich ptaków są drzewa sosny, które to drzewo symbolizuje z kolei długowieczność.

Prowadzone pod kierownictwem kurator Joanny Haby prace nad przygotowaniem ekspozycji trwały równo rok. Efekt wysiłku włożonego w ten projekt przez pracowników muzeum budzi najwyższy podziw.

Wystawa rozciąga się na dwóch poziomach Galerii Europa – Daleki Wschód. Na parterze podziwiać możemy starsze i bardziej tradycyjne egzemplarze, wykonane w większości w dwudziestolecie międzywojennym przez utalentowanych japońskich rzemieślników przekazujących sobie sekrety wykonywanego fachu z pokolenia na pokolenie. Stroje prezentowane są w dwójnasób. W bezpośredniej



FOT. MATERIAŁY PRĄSOWE

o niezwykle długich (sięgających niekiedy niewiele mniej niż metr) rękawach, tradycyjnie noszonych w Japonii przez panny na wydaniu. Popularna legenda głosi, że niezwykle rozmiary owych rękawów inspirowane są skrzydłami żurawi. Ptaki te, jak już wspomnieliśmy, z racji łączenia się w pary na całe życie stanowią symbol udanego i długotrwałego pożycia małżeńskiego, nawiązanie do nich miało stanowić dobrą wróżbę i wieszczyć noszącym furisode pięknościami pomyślne zamążpójście.

Oszołomiony niezwykle barwami i pięknem kroju, które sprawiają, że prezentowane kimono wydają się gotowe zerwać się w każdej chwili do lotu motylami, zwiedzający, wspinał się po schodach na pierwsze piętro galerii, staje oko w oko z kolejnymi eksponatami, tym razem charakteryzującymi się inną metodą wykonania. Zgromadzone na tym poziomie ubiory powstały głównie w epoce Shōwa (1926–1989) i stanowią świadectwo industrializacji oraz modernizacji, którym w tym długim okresie podlegał Kraj Kwitnącej Wiśni. To już nie są wykonane w niewielkich przechodzących z ojca na syna warsztatach dzieła sztuki rzemieślniczej, lecz w znacznej mierze owoce unowocześnionego systemu produkcyjnego. Świadczą o tym choćby zdobiące te kimono wzory – nie stworzone ich ręcznie, lecz wydrukowano przemysłowymi metodami na materiale. Nie oznacza to jednak tandety, bynajmniej! Eksponaty tu prezentowane również urzekają swym pięknem. Ich uroda jest inna niż ich wystawionych piętro niżej starszych braci i siostr, ale i tak głęboko przemawia do zmysłu estetycznego widza.

Ciekawym elementem tej części ekspozycji są te z pokazywanych nam stylizacji, na których piętno odbiły wpływy zachodnie. I tak możemy zobaczyć choćby połączenie kimono z elementami garnituru (jak choćby zawiązaną pod szyją muszkę), jednak show kradnie zupełnie inny eksponat. Oto bowiem naszym oczom ukazuje się manekin, otulony w przepasaną pasem obi szatę wykonaną z ciepłej piaskowej barwy materiału, którego powierzchnię gęsto pokrywają... scenki rodzajowe z europejskiego średniowiecza, utrzymane w stylu sławnej tkaniny z Bayeux! Co ciekawe, projektant odpowiedzialny za stworzenie tego modelu oprócz płótna przedstawiającego podbój Anglii przez

Popularna legenda głosi, że tradycyjne kimono noszone przez panny ma tak niezwykle rozmiary rękawów, bo inspiracją dla nich były skrzydła żurawi

Normanów inspirował się chyba także freskami z egipskich grobowców, bo zarówno uwijający się na polach chłopci, jak i zasiadający na tronach wielmoże obdarzeni zostali przez niego fryzurami w stylu starożytnego Egiptu!

POLSKIE PROJEKTY

Ostatnią część ekspozycji stanowi pograżony w półmroku pokój, gdzie wystawiono współczesne, wykonane w Polsce stroje inspirowane tradycyjną japońską modą. Władze muzeum zaprosiły tu do współpracy czworo uzdolnionych projektantów: Joannę Hawrot, Antoninę Kondrat, Monikę Tatianę Idzikowską i Dominika Lisika. Prezentowane na wystawie stylizacje pochodzące z ich warsztatów budzą zaciekawienie, pokazując, jak wielką inspirację współczesna moda może czerpać z wielowiekowej tradycji Kraju Kwitnącej Wiśni. Tym jednak, co szczególnie przykuwa uwagę w tym miejscu, jest zaprojektowane przez kurator wystawy wielkie kimono z grubego pluszu, do którego przyszyto... stadko pluszowych pokemonów. Z tego, co udało się dowiedzieć piszącemu te słowa, ■

bliskości ciągnącej się między eksponatami alejki ustawiono naturalnej wysokości manekiny, które ubrano w odpowiednio udrapowane i przewiązane pasami obi kimono. Z kolei w głębi ekspozycji, bliżej ścian na specjalnych konstrukcjach, pyszną się rozłożone na pełną szerokość szaty przyjmujące w tym surowym stanie postać szerokich pasów materiału układających się w literę T. Porównanie między tym, jak kimono prezentuje się po nałożeniu i odpowiednim dopasowaniu do ciała użytkownika, z tym, jak wygląda w formie surowej, uświadamia, jakie wyzwanie stanowi samo noszenie tego ubioru w odpowiedni sposób.

RĘKAWY PANNY NA WYDANIU

Szczególnie licznie prezentowane są tzw. furisode, czyli żeńskie kimono



FOT. MATERIAŁY PRĄSOWE



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

maskotki wykorzystane do stworzenia tej konstrukcji sprowadzono specjalnie z Japonii – w przeciwieństwie do łatwo dostępnych na rynku chińskich zabawek te, które stały się częścią składową dowcipnej stylizacji, są oficjalnymi licencjonowanymi produktami firmy Nintendo.

Zwiedzanie wystawy „Kimono. Nieprzebrane inspiracje” jest niezwykłym przeżyciem estetycznym nie tylko w sferze wizualnej. Wędrowcom przemierzającym ścieżki historii japońskiej mody towarzyszą wydobywające się z głośników łagodne dźwięki melodii, specjalnie na tę okazję skomponowanej przez wybitnego kompozytora młodego pokolenia Arkadiusza Reikowskiego mającego w swoim dorobku ścieżki dźwiękowe choćby do gry komputerowej „Blair Witch” i filmu „W sieci kłamstw”. Na tym jednak atrakcje odwołujące się do zmysłów innych niż te zapewniane przez nerwy wzrokowe się nie kończą! Z każdym oddechem w trakcie odwiedzin w Galerii Europa – Daleki Wschód wasze nozdrza wypełniać będzie dyskretny, lecz niezwykle przyjemny zapach. Organizatorzy, chcąc, by zwiedzanie ich ekspozycji stanowiło przeżycie totalne, zadbali o to, by w powietrzu



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

muzealnych sal unosiła się woń dalekowschodniego kadzidła. Piszącemu te słowa pomysł ten kojarzy się z zamiłowaniem, jakie do komponowania zapachów przejawiała japońska dworska arystokracja w przypadającej na europejskie wczesne średniowiecze epoce Heian, stanowiącej w Kraju Kwitnącej Wiśni okres rozwoju niezwykle wysublimowanej kultury wysokiej. Rezydujący przy cesarskim dworze arystokraci mieli wówczas w zwyczaju zabawiać się komponowaniem nowych

mieszanek wonności i rywalizowaniem między sobą w dążeniu do stworzenia jak najbardziej wyrafinowanych kadzideł oraz perfum. Wracając jednak do naszych baranów, nałożenie się w przestrzeni wystawy bodźców wizualnych, dźwiękowych i zapachowych czyni zwiedzanie jej przeżyciem totalnym, poruszającym zmysł estetyczny na wszystkich dostępnych poziomach.

Odwiedziny w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej inspirują jeszcze do pewnych przemyśleń na temat współczesnej mody. Prezentowane kimona nie są nowymi strojami, najstarsze z nich powstały na początku XX w., a wiele przez całe dziesięciolecie spoczywało nieużywanych w szafach darczyńców. Mimo to świeżość i piękność barw oszałamiają, wydaje się wręcz, że stroje te dopiero przed chwilą opuściły warsztat tkacki. Tymczasem przeważająca większość zachodnich ubrań, w które dziś zaopatrujemy się w sklepach odzieżowych, niszczy się po zaledwie kilku latach, a w skrajnych wypadkach po miesiącach noszenia. To, że wykonane starodawnymi metodami japońskie kimona wykazują tak wielką odporność na upływ czasu, iż mogą być przekazywane i noszone z pokolenia na pokolenie, jasno świadczy o wyższości tradycyjnego rzemiosła nad współczesnym nam zjawiskiem, które historycy ubioru, tacy jak np. Bernadette Banner, nazywają kpiąco fast fashion. Niestety, 90 proc. z nas jest na nią skazanych, zarówno z powodu wysokich kosztów szytych ręcznie ubrań, jak i niewielkiej oraz wciąż kurczącej się liczby znawców tajników krawieckiego fachu, będących w stanie tworzyć stroje, które niczym japońskie kimona łączyłyby w sobie zarówno piękno, jak i rozciągającą się na dekady trwałość.

Jeśli zatem będą państwo w najbliższym czasie w Krakowie, koniecznie niech odwiedzą państwo Mangghę i zajrzą do Galerii Europa – Daleki Wschód, by zapoznać się z tym egzotycznym, a zarazem urzekającym elementem kultury japońskiej, którym jest kimono. Tylko ostrzegam, że gdy raz ujrzą państwo stojące obok siebie arcydzieła krawieckie podarowane krakowskiemu muzeum przez darczyńców z odległej Japonii, to to zakochają się państwo w nich bez pamięci.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę „Kimono. Nieprzebrane inspiracje” oglądać można w Galerii Europa – Daleki Wschód krakowskiego Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha do 10 kwietnia 2023 r.



Fundacja rodzinna

– krok w kierunku wielopokoleniowych firm rodzinnych

Firmy rodzinne są filarem polskiej gospodarki. Po kilkudziesięciu latach od transformacji ustrojowej i ekonomicznej polscy przedsiębiorcy muszą myśleć o sukcesji i zapewnieniu swoim firmom możliwości rozwoju przez kolejne dziesięciolecia

Budowa silnych firm wymaga czasu. Często zakłada ją konieczność przeprowadzania procesu sukcesji i podziału firmy. Fundacja rodzinna to szansa na kontynuację przez dzieci i wnuki dorobku firm, zbudowanego przez ich rodziców i dziadków – mówi Waldemar Buda, minister rozwoju i technologii.

Sukces w biznesie zależy nie tylko od dobrego pomysłu, strategii sprzedaży czy pracowników. Utrzymanie wysokiej pozycji rynkowej oraz dalszy rozwój zależą także od odpowiedniej struktury organizacyjnej i niwelowania ryzyk zagospodarowanych, np. negatywnego wpływu konfliktów rodzinnych na prowadzenie firmy.

Każdy z nas słyszał o przypadkach, w których dobrze prosperujący biznes podzielono albo doprowadzono na skraj bankructwa po przejściu na emeryturę albo po śmierci jego założyciela. Tylko 8,1 proc. następców polskich przedsiębiorców deklaruje chęć poprowadzenia firmy stworzonej przez rodziców¹. Ten problem jest aktualny także w innych krajach. W Czechach 90 proc. firm to firmy prowadzone w pierwszym pokoleniu, 9 proc. w drugim i 1 proc. w trzecim; w Hiszpanii prawie 54 proc. w pierwszym, 37 proc. w drugim i 9 proc. w trzecim; w Wielkiej Brytanii natomiast 86 proc. w pierwszym, 8,5 proc. w drugim i 3 proc. w trzecim². Jest nawet angielskie przysłowie: „There's no-

but three generations between a clog and clog”, którego sens w wolnym tłumaczeniu sprowadza się do tego, że „ojciec buduje, syn utrzymuje, wnuczek rujnuje”. Nawet jeśli bazuje ono na pewnym stereotypie, to oddaje istotę problemów sukcesyjnych.

Odpowiedzią na nie ma być fundacja rodzinna. Ochroni ona majątek firmowy i rodzinny przed rozdrobieniem, będzie nim profesjonalnie zarządzać oraz zapewni środki utrzymania fundatorowi i jego bliskim, nawet gdy nie będą oni zaangażowani w działalność gospodarczą. Nie wszyscy członkowie rodziny chcą albo posiadają umiejętności, aby pracować w firmie. Czasem także rodzina jest na tyle liczna, że wspólne decydowanie może być bardzo trudne.

„Zaletą fundacji rodzinnej jest możliwość zapewnienia ciągłości działalności firmy, bez konieczności angażowania w jej prowadzenie członków rodziny. Jest to szczególnie ważne, gdy dzieci wybierają inną ścieżkę kariery niż prowadzenie działalności gospodarczej. Podobne rozwiązania funkcjonują w innych krajach europejskich, np. w Austrii, Niemczech, krajach skandynawskich czy Beneluxu” – informuje minister.

Aby powołać fundację rodzinną, właściciel firmy musi sporządzić przed notariuszem akt założycielski i statut fundacji rodzinnej, przenieść do niej udziały w firmie lub inny majątek, wskazać, komu

mają być wypłacane zyski (beneficjenci), oraz zgłosić fundację rodzinną do sądowego rejestru.

Kto może zostać fundatorem (założycielem fundacji rodzinnej)? Fundatorem będzie mogła zostać tylko osoba fizyczna, która posiada pełną zdolność do czynności prawnych. Fundację rodzinną będzie mogło utworzyć także kilku fundatorów, z wyjątkiem fundacji rodzinnej tworzonej w testamentie. Ze względu na obowiązujące zasady sporządzania testamentów fundacja rodzinna ustanawiana w ten sposób będzie mogła mieć tylko jednego fundatora.

Beneficjentami fundacji rodzinnej mogą być osoby fizyczne (najczęściej członkowie najbliższej rodziny fundatora) i organizacje pozarządowe prowadzące działalność pożytku publicznego. Z dochodów i majątku fundacji rodzinnej można będzie finansować np. koszty utrzymania, kształcenia lub leczenia członków rodziny lub cele statutowe organizacji pozarządowej, związane np. ze wsparciem uzdolnionych dzieci i młodzieży.

Co ważne, w kwestii rozliczeń z fiskusem opisywane nowe rozwiązania prawne uwzględniają związki rodzinne beneficjentów z fundatorem i są neutralne podatkowo. Przeniesienie firmy i innego majątku do fundacji rodzinnej nie będzie opodatkowane. Fundacja rodzinna będzie płaciła zryczałtowany 15-procentowy CIT od środków przekazywanych fundatorowi i beneficjentom. Fundator i beneficjenci będący najbliższą rodziną fundatora będą podlegać zwolnieniu z PIT (małżonek, wstępny, zstępny, rodzeństwo, pasierb, ojczym lub macocha). Pozostałe osoby fizyczne zapłacą dodatkowe 15 proc. PIT. Organizacje pozarządowe, jako podatnicy CIT, będą co do zasady korzystać z obowiązującego już zwolnienia z tytułu działalności pożytku publicznego.

W projekcie zamieszczono także zmiany w prawie do zachowku, takie jak zasady odpowiedzialności fundacji rodzinnej za zapłatę zachowku po fundatorze oraz zasady zmiany terminu płatności, rozłożenia na raty lub obniżenia zachowku. To szczególnie ważne dla zachowania trwałości przedsiębiorstw, które wchodzą w skład spadku.

Projekt ustawy trafił do Sejmu. Przepisy szacunkowo mają wejść w życie w pierwszej połowie 2023 r.

Chcesz wiedzieć więcej, wejdź na: <https://www.gov.pl/web/rozwoj-technologie/fundacja-rodzinna>.

¹ Wynik badania Instytutu Biznesu Rodzinnego w 2017 r. Rok wcześniej wskaźnik ten wyniósł 6,3 proc. <http://www.ibrpolka.pl/aktualnosci/przyszlosc-firm-rodzinnych-sukcesorzy-przed-trudna-decyzja-o-przejeciu-firmy-rodzicow/>
² https://www.sufabu.eu/wp-content/uploads/2021/08/SUFABU_I01_FINAL_SUMMARY_REPORT_EN.pdf



Kadr z animacji „Scrooge. Opowieść wigilijna”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To już nie wysyp premier, to prawdziwy nalot dywanowy – na sezon świąteczny sam tylko Netflix przygotował kilkadziesiąt premier filmów z Bożym Narodzeniem w tle. Jak świat streamingu długi i szeroki, pada śnieg, pod ustrojonymi drzewkami piętrzą się prezenty, domy i uliczne latarnie obwieszone zostały odpowiednimi dekoracjami, jedni znajdują pod choinką wspomnienia, inni miłość, a inni po prostu okazję do zabawy. Czy ilość przechodzi w jakość? Niekoniecznie, ale jest co przeglądać/oglądać (niepotrzebne skreślić). Skoro już chwila o Netflixie – to zdecydowanie w tym roku stawia on na świąteczną konfekcję, romantyczne komedie lub miłosne wyciskacze łez, od „Niezapomnianych świąt” z Lindsay Lohan jako dotkniętą amnezją bogaczką do „Dziennika Noela” napisanego przez specja od melodramatów Richarda Paula Evansa.

KOLEJNA WERSJA „OPOWIEŚCI WIGILIJNEJ”

Święta są nieważne bez kolejnej filmowej wariacji na temat słynnej „Opowieści wigilijnej” Karola Dickensa, więc i w tym roku filmowcy próbują. Z różnym zresztą skutkiem: wspomniany Netflix proponuje np. animację „Scrooge. Opowieść

Święta na żądanie



Piotr Gociek

Próżno szukać wśród świątecznych nowości filmów o Bożym Narodzeniu. Jednak przypominają nam, że rodzina jest ważna i że warto mieć otwarte serce

wigilijna”, którą oparto na motywach musicalowego filmu z roku 1970 Ronalda Neame’a (bogacza bez serca grał w nim Albert Finney). Do współczesnej wersji zaimportowano część oryginalnych piosenek, głosy podkładają m.in. Luke Evans (Scrooge), Olivia Colman (Duch Dawnych Świąt) i Jonathan Pryce (Jacob Marley).

Kto ciekaw, niech włączy więc sobie wersję oryginalną z napisami.

Dużo większą oryginalnością wykazała się ekipa odpowiedzialna za świąteczny hit Apple TV+, czyli film „Świąteczny duch” („Spirited”) Seana Andersa, znanego głównie z komedii („Rodzina od zaraz”, „Co wy wiecie o swoich dziadkach?”),

„Tata kontra tata”). To także musical, ale oparty na sprytnym pomysle: A gdyby tak istniał cały pozaziemski departament odpowiedzialny za reedukację typów bez serca i miłości do Bożego Narodzenia? Praca jest tytaniczna, gdyż, jak wiadomo, takich ludzi na świecie nie brakuje, nic więc dziwnego, że zatrudniony do tego zadania duet znany z Dickensowskiego oryginału jest już mocno zmęczony (któż by nie był po niemal 200 latach roboty?). A są to Scrooge (to znaczy już jego lepsza wersja), grany przez Willa Ferrella, oraz Jacob Marley (Patrick Page).

Na celowniku departamentu znajdzie się uosobienie współczesnego zła, czyli PR-u, mistrz w obracaniu kota ogonem Clint Briggs – Ryan Reynolds. Nic więc dziwnego, że już po pojawieniu się pierwszego zwiastuna „Świątecznego ducha” publika była podekscytowana – Ferrell i Reynolds w jednej komedii to wiadomość, obok której trudno przejść obojętnie. Reynolds jest dziś jednym z najpopularniejszych aktorów w filmach lekkich, łatwych i przyjemnych, a Will Ferrell ma w dorobku świąteczną klasykę, którą stała się jego absurdalna komedia „Elf” (2003). Czasy się zmieniają, jeszcze kilkanaście lat temu produkcja z taką obsadą (i z niezłym budżetem – 75 mln dol.) byłaby grudniowym hitem kinowym, dziś to premiera jednego z wielu serwisów streamingowych.

„Świąteczny duch” nie dorównuje „Elfowi”, a wiara w umiejętności wokalne Ferrella i Reynoldsa okazała się bez wątpienia u twórców filmu przesadzona. Film jest za długi, numery wokalo-taneczne nie porywają. Gdyby był to godzinny telewizyjny „christmas special”, byłbym brawo bez zastrzeżeń. W wersji dwugodzinnej rzecz jest nieco nużąca, ale i tak będę bronił tej produkcji, głównie za względu na humor i naturalność, które wnoszą na ekran obaj szarżujący gwiazdorzycy. Nie udało mi się (to niemożliwe) obejrzeć wszystkich przedświątecznych premier tego roku, ale jeśli miałbym wskazać swoją jak dotąd ulubioną, to byłby to właśnie ten film. Bo słowo „dobroduszny” bardzo do niego pasuje.

Świąteczne telewizyjne „christmas specials” święciły triumfy w amerykańskiej telewizji lat 70. XX w. Było to jeszcze przed nadejściem ery kaset VHS i domowej rozrywki wideo, które przyczyniły się później do wielkiego rozkwitu fenomenu „christmas movies”. W latach 70.



Kadr z filmu „Strażnicy Galaktyki: Coraz bliżej świąt”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

takim przedsięwzięciem ekstra, specjalnym prezentem dla publiki, która miała do wyboru tylko kino lub telewizor, były godzinne programy emitowane na święta, wykorzystujące popularność już istniejących filmów, seriali czy sitcomów. Nawet „Gwiezdne wojny” doczekały się takiej dokrętki: w 1978 r. telewizja CBS pokazała „Star Wars Holiday Special”. W programie, prócz bohaterów znanych z filmu (naonczas tylko jednego, bo sequele i prequely sagi jeszcze nie istniały), pojawiła się m.in. rodzina Chewbakkii.

RECYKLING KLASYKI

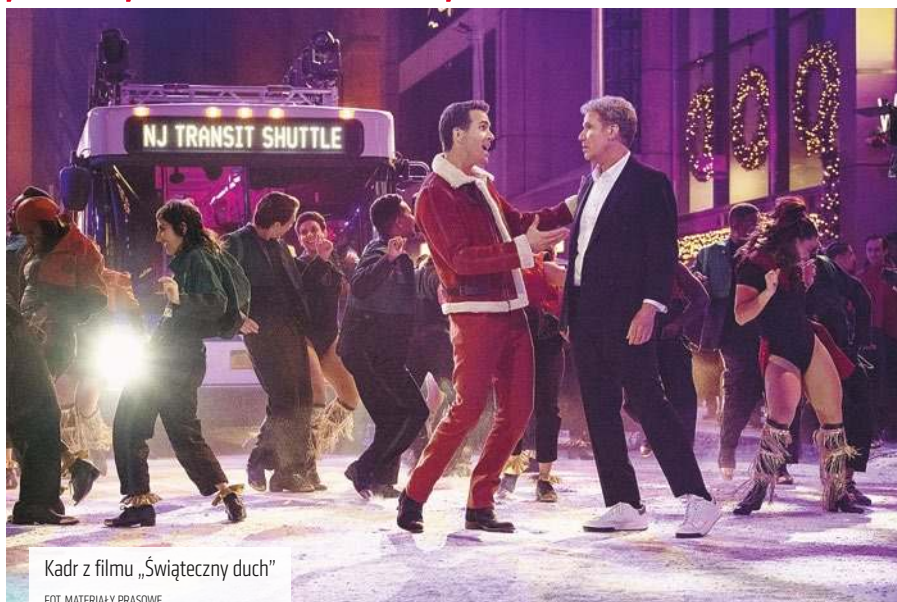
Wspominam o tym nie bez powodu – gdy spojrzymy na przedświąteczne nowości serwisu Disney+ (do koncernu należy dziś marka „Gwiezdnych wojen”), to znajdziemy tam udany „christmas special” osadzony w kinowym i telewizyjnym uniwersum Marvela. Film „Strażnicy Galaktyki: Coraz bliżej świąt” („The Guardians of the Galaxy Holiday Special”) wyreżyserowany został przez Jamesa Gunna, twórcę kinowych „Strażników Galaktyki”. Jest zabawnie, uroczo i słodko, piszę to bez szydery, bo eksperyment przypadł mi do gustu. Jak się okazuje, nawet na odległych planetach (i steampunkowych stacjach kosmicznych) znajdują się zainteresowani ziemskim obyczajem znanym jako „Christmas”. Przyjaciele Petera Quilla (Chris Pratt) wyruszają na Ziemię, by znaleźć dla niego odpowiedni prezent. Wiedzą bowiem, że tęskni za domem, a po drugie, gdy był dzieckiem, jego święta bywały niespecjalnie szczęśliwe. Co przywiozą ze sobą Drax

i Mantis? Nie tyle co, ile kogo: słynnego ziemskiego bohatera, o którym słyszeli z ust Petera (obecnie Star-Lorda) liczne opowieści. Bohaterem tym jest Kevin Bacon.

Lekka błazenada, na którą utyskują fani Marvela, bo niczego nowego do uniwersum nie wnosi, jest moim zdaniem jedną z najsympatyczniejszych tegorocznych propozycji na czas świąt; uśmiechałem się równie często, jak podczas oglądania „Świątecznego ducha”.

Disney+ to także miejsce, gdzie znaleźć można wielkie zasoby disneyowskiej klasyki, która to klasyka na potrzeby serwisu streamingowego bywa coraz częściej recyklingowana. Nie inaczej stało się z przebojową świąteczną franczyzą „Święty Mikołaj” („The Santa Clause”). W latach 1994–2006 trzy filmy z tego cyklu zarobiły niemal pół miliarda dolarów, teraz Tim Allen jako Święty Mikołaj powraca w sześciocyfrowym serialu. Epizody są krótkie, razem składają się na trzygodzinną całość, mogłyby to więc być z powodzeniem hit kinowy (po lekkim skróceniu), ale skoro żyjemy w epoce streamingu, to całość pozostaje na małym ekranie.

Lata płyną, rodzina z bieguna północnego ma już dosyć ciężkiej pracy w roli świątecznych symboli, dzieci podрастаją, pani Mikołajowa (uroczna Elizabeth Mitchell) też chciałaby znów wcisnąć się w dzinsy, zamiast paradować w staromodnych kostiumach à la babunia. Jest wyjście z kłopotów – Święty Mikołaj może przejść na emeryturę, jeśli tylko znajdzie właściwego następcę.



Kadr z filmu „Świąteczny duch”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ Tu pojawia się pechowy inwestor branży e-commerce, który chciałby rzucić wyzwanie Amazonowi, grany przez Kala Penna.

Niewiele w serialowym „Śniętym Mikołaju” oryginalności, ale jest za to dużo ciepła i jest to jedna z nielicznych rodzinnych produkcji tego roku, o których można z czystym sumieniem powiedzieć, że jest bezpieczna. Są niezłe dialogi, komedia charakterów ładnie niesiona jest przez aktorów obdarzonych naturalną vis comica. Timowi Allenowi przybywa lat, ale nie ubywa charyzmy. Reszta – czyli lamentowanie nad tym, że na świącie ubywa świątecznego ducha i że komercjalizacja zabija święta – gdzieś już wcześniej widzieliśmy. Zabawny jest wątek zawodowo-równościowy: po dekadach pełnienia roli kwiątka do kożucha Mikołaja to pani Mikołajowa zamienia się w przebojową kobietę sukcesu, a były Mikołaj, znów jako cywil Scott Calvin, musi wdrożyć się do życia kury domowej (koguta domowego?).

PREZENT POD CHOINKĘ

W HBO Max najciekawszą jak dotąd przedświąteczną premierą jest film „Świąteczny prezent pod choinkę” („A Christmas Story Christmas”) w reżyserii Claya Kaytisa. To najnowsza odsłona długiej serii rodzinnych opowieści wywiedzionych z opowiadań obyczajowo-satyrycznych amerykańskiego humorysty Jeana Parkera Shepherd Jr. (1921–1999). W Polsce cykl o rodzinie Parkerów nigdy nie był specjalnie znany, w Stanach Zjednoczonych to jedna z serii otoczonych prawdziwym kultem i łączących pokolenia. Tylko część z dziesięciu filmów kinowych i telewizyjnych



Kadr z filmu „Świąteczny prezent pod choinkę”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

związanych jest ze świętami, ale te właśnie amerykańska publika polubiła najbardziej, poczynając od filmu „Prezent pod choinkę” („A Christmas Story”) z roku 1983. Jego akcja toczyła się (tak jak opowiadał Shepherd) w latach 40. XX stulecia.

Najnowszy film serii przenosi nas do lat 70., małego bohatera sprzed lat są już dorośli, mają własne rodziny, własne dzieci i własne kłopoty. Ralphie Parker (Peter Billingsley) żyje w Chicago z żoną i dwojgiem dzieci, wolny czas poświęca na pisanie Wielkiej Amerykańskiej Powieści, ale kolejni wydawcy odrzucają maszynopis. Zbliża się Gwiazdka 1973 r., czas zacząć ostatnie przygotowania, ale nieoczekiwana wiadomość z rodzinnego Hohman w stanie Indiana wywraca wszystko do góry nogami: zmarł ojciec Ralphiego. Rodzina wsiada więc do rozsypanych samochodu i rusza w drogę, by zmierzyć się z żałobą, ze smutnymi świętami i z dawnymi przyjaciółmi, wciąż mieszkającymi w Hohman.

Żeby w pełni docenić wszystkie smaczki słodko-gorzkiej komedii „Świąteczny prezent pod choinkę”, trzeba być dobrze obeznanym z poprzednimi filmami serii, ale i bez tej wiedzy rzecz warta jest obejrzenia. Brak tu wygłupów, efektów specjalnych i wciskanej na siłę „magii świąt”, jest za to sporo celnych obserwacji życiowych, są sympatyczni bohaterowie, którzy ciągle mają pod górkę – jak to w życiu. Zatem: nie jest to typowy hit christmasowy, ale udana opowieść obyczajowa z Bożym Narodzeniem w tle.

Sporą powściągliwością wykazał się serwis Amazon Prime, w którym jak dotąd świątecznych nowości niewiele i raczej niskobudżetowe. Ale przypomnijmy, że też model biznesowy tego przedsięwzięcia jest inny – tutaj rozgłos zyskuje się własnymi nielicznymi superprodukcjami, ale prawdziwe pieniądze zarabia na gigantycznej bibliotece filmów z lat poprzednich, bo przecież w Amazonie kupić można – lub obejrzeć on-line za opłatą – niemal każdy ulubiony świąteczny tytuł. Z kolei Canal+, ulubiona stacja polskich japiszonów, czy jak kto woli – młodych wykształconych z dużych ośrodków, sezonu świątecznego nie zauważa, ograniczając się do kryminałów i telewizyjnych premier rozmaitych filmów znanych już z kina.

Kto szuka zapomnianej klasyki nie tyle świątecznej, ile religijnej, zajrzeć może do serwisu Katoflix.pl, gdzie w ofercie znajdują się m.in. takie filmy jak opowieść o życiu Jezusa „Dzień triumfu” (1954), „Czwarty król” (1985) czy świetna adaptacja „Opowieści wigilijnej” Dickensa w postaci filmu Clive’a Donnera z 1984 r. z George’em C. Scottem w roli Scrooge’a. Ja z wielkim sentymentem przypominę sobie w czasie świąt „Dzwony Najświętszej Marii Panny” („The Bells of St. Mary’s”, 1945), krzepiącą opowieść, w której główne role zagrali Bing Crosby i Ingrid Bergman (osiem nominacji do Oscara).

Ważna uwaga na koniec: mój subiektywny przegląd siłą rzeczy nie uwzględnia tytułów, których premiery streamingowi giganci szykują dopiero na drugą połowę grudnia. Podpowiadałem więc, co już znaleźć można w rozmaitych źródłach domowej rozrywki. Wesołych, błogosławionych świąt Bożego Narodzenia! I żeby oglądane filmy czyniły bogatszymi także nas – a nie tylko tych, którzy je dostarczają. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski, Piotr Lisiewicz i Tomasz Sakiewicz**



 **RepublikaTV**  **@RepublikaTV**  **Telewizja Republika**  **@RepublikaTV**

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Tata umiera



★★★★★

REŻ. ROBERT
DOWNEY JR.
„SR.”
USA 2022

wyst. Robert
Downey Jr., Robert
Downey Sr., Alan
Arkin

Błazenada dwóch narcyzów, vanity project, historia sztuczna, a przez to nieznosna – to wrażenie nie odstępowało mnie przez pierwsze pół godziny dokumentu „Sr.”, który Robert Downey Jr. nakręcił o swoim ojcu, Robercie seniorze. Potem robi się ciekawiej, bo zamiast mało interesujących dla polskiego widza kawałków o tym, jak wielkim artystą był skandalista i legenda kina Robert senior, dostajemy porcję ciekawych i niepokojących informacji o życiu małego aktora. Debiutował u taty, grając zwierzątko oraz trupa, w wieku ośmiu lat dostał pierwszego skręta z marihuaną, razem poszli do kina na „Wielkie żarcie”, a potem ojciec rozwalił małżeństwo, wchodząc w 15-letni trip narkotykowy napędzany m.in. kokainą.

Bardzo ważne jest tu to, czego nie widzimy – a skądinąd wiemy przecież, że Downey junior stracił sporą część życia i kariery, walcząc z uzależnieniami (dziś jest abstynentem sięgającym jedynie po kawę). Pytanie: „Tato, czy wiesz jak bardzo spieprzyłeś mi życie?” jednak nie pada. Czy obaj są już po takim wyznaniu? Z filmu to jasno nie wynika. Za to młody Downey mówi w pewnym momencie do swojego terapeuty, że w ostatnich chwilach życia ojca nie chce „mówić niewłaściwych rzeczy”. Ojciec bowiem umiera – prace nad filmem trwały trzy lata, pod koniec tego okresu choroba Parkinsona ostatecznie pokonała głównego bohatera. Dopiero pod koniec opowieści zaczynamy rozumieć, skąd taka, a nie inna jej forma: młody Downey zachęca tatę, by był współtwórcą

N

filmu i sam coś przy tej okazji zmontował. I odkrywamy, że nie próżność, lecz miłość dyktowała ten wybór, że był to wysiłek syna, by przedłużyć życie ojca, w każdym razie przedłużyć czas jego aktywności.

Czy Downey Jr. jako już dorosły przeszedł przez piekło uzależnienia, bo jego rodzice okazali się dużymi, nieodpowiedzialnymi dziećmi? Nie mam wątpliwości, że tak. Czy jego ojciec to jakaś wybitna postać amerykańskiej kultury? Nie mam wątpliwości, że nie. Ale odejście rodzica zawsze jest tragedią; tylko trochę osłabia ją tu ton zadumy w duchu „pokolenie przychodzi po pokoleniu” i sadzanie wnuka przy łóżku umierającego. „Sr.” to dziwny przypadek półprawdy: widzimy, czujemy, że Downey Jr. gra, że obaj zawsze świadomi są obecności kamery i dopasowują pod nią swoje zachowanie. A może po prostu opowieść o życiu i śmierci tych, którzy żyją z udawania, też musi być w udawana? ©©



NOWE SERIALE: „WILLOW”

Klasyka fantasy z 1988 r. doczekała się odcinkowej kontynuacji. Na pozór wszystko się zgadza: powracają bohaterowie sprzed lat, na czele z mikrym czarodziejem Willowem o wielkim sercu. Są humor i budżet, żal, że już bez walczącego z rakiem Vala Kilmera (grał obwiesia Madmortigana w filmie Rona Howarda i

George'a Lucasa). Entuzjazm jednak szybko opada, gdy odkrywamy, że do tej bajki Disney+ wprowadził lesbijską księżniczkę romansującą z rycerzynią (nie wiem, czy to właściwa forma, ale próbuję). Publice to chyba nie przeszkadza, bo już zamówiono drugi sezon. ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Willow”, USA 2022



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „W cieniu gwiazd” („Behind Every Star”), Korea Południowa 2022
- sezon 1 „Pacjent” („The Patient”), USA 2022
- reż. Anthony Fuqua „Wyzwolenie” („Emancipation”) 
- reż. Mike Mills „C'mon C'mon”, USA 2021 

Budzikom śmierć!

KINO

Kino moralnego niepokoju po francusku. Jakiś czas temu gościliśmy na ekranach Binoche w zbożnym celu udającą sprzątaczkę, teraz przyszła pora na tydzień z życia pokojówki.

Julie, samotna matka dwojga małych dzieci, tyra w pięciogwiazdkowym hotelu. Doba jest dla niej zdecydowanie za krótka.

Zrywa się o świcie, gdyż dojazd do Paryża zawsze był wyzwaniem, a od czasu, gdy (pod)miejską komunikację paraliżują strajki, zamienił się w drogę krzyżową. Były zalega z alimentami, sąsiadka ma już dość roli baby-sitter. Julie stara się o lepszą pracę, choć wciąż poniżej kwalifikacji. Jest wyjątkowo zaradna i odporna nerwowo, lecz scenarzysta sadysta

nie ma dla niej krzty litości. Biedaczka przegrywa jedną bitwę po drugiej, deklasacja nadchodzi wielkimi krokami. Oj, nie tak wyobrażały sobie równouprawnienie sufrażystki sprzed lat stu.

Film reklamowany jako „thriller społeczny” rzeczywiście ma gorączkowe, iście amerykańskie tempo. Przez chwilę gotowi jesteśmy nawet

uwierzyć, że gdzieś między Clichy-la-Garenne i Malesherbes znajdują się bramy piekła. „Społeczność” tej fabuły jest natomiast nader dyskretna. Wygląda na to, że francuski prekariat nie ma czasu na debaty o grzechach współczesnego kapitalizmu lub podpalanie samochodów. On tylko chce, przynajmniej raz w tygodniu, dobrze się wyspać. ©©

Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. ERIC GAVEL
„NA PEŁNY
ETAT” („À PLEIN
TEMPS”)
FRANCJA 2021

wyst. Laure Calamy,
Anne Suarez,
Geneviève Mnich



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZAPACH KOBIETY

KINO

Tytuł brzmi groźnie, lecz „Pięć diabłów” to tylko nazwa ośrodka sportowego, a młodziutka bohaterka i psychopata z „Pachnidła” mają tylko jedną wspólną cechę: niesamowicie czułe powonienie. Vicki, z racji fryzury nazywana przez rówieśników „szczotką klozetową”, co bardziej intrygujące zapachy trzyma w słoikach i często z nimi eksperymentuje. Skutkiem są wizje, a raczej podróże w czasie. Léa Mysius to artystka wyrafinowana, więc jej film pięci również inne zmysły. Muzyka cichnie rzadko, jest też na czym oko zawiesić (kto bawił w Delfinacie, wie, o co chodzi). Ale jak to często bywa, treść jest mniej atrakcyjna od opakowania. Gdyby nie pierwiastek magiczny, mielibyśmy do czynienia z (pre)historią małżeńskiego kryzysu tudzież banalnym melodramatem opowiedzianym przez dzieciaka zazdrosnego o uczucia matki. Reszta to fabularny stutek. Dla konstrukcji filmu nieistotny, lecz jakże dekoracyjny.



wyst. Sally Dramé, Adèle Exarchopoulos,
Swala Emati

★★★★★
REŻ. LÉA MYSIUS
„PIĘĆ DIABŁÓW”
 („LES CINQ
DIABLES”)
FRANCJA 2022

UROK FATAMORGANY

N

Od cudownego dziecka do żywej legendy. T.E. Lawrence, dywersant z dyplomem Oksfordu, był fascynującą postacią. Nieuleczalnego romantyka uczynił zeń jednak dopiero film, który trafił do kin 60 lat temu. Wyceniony na siedem Oscarów, w rankingach układanych przez krytyków zwykle figuruje w ścisłej czołówce. Trochę nadgryzł go zęb czasu, gdyż „Lawrence z Arabii” to dzieło z cyklu „człowiek kontra świat”. A wiadomo, jak się kończą takie konfrontacje. Na domiar złego w świecie zdobywcy Akaby nie ma kobiet. Aseksualność głównego bohatera (potwierdzona historycznie) jest dziś nie do przyjęcia, bardziej nawet niż jego idealizm. Szczęśliwie muzyczny temat, skomponowany przez Maurice’a Jarre’a, wciąż robi wrażenie, podobnie jak monumentalne, pustynne krajobrazy. Brytyjska superprodukcja to łabędzi śpiew orientalizmu, zauroczenia Zachodu islamskimi rycerzami na wielbłądach. ©© **recenzuje Wiesław Chełmiński**



wyst. Peter O'Toole, Anthony Quinn,
Omar Sharif

★★★★★
REŻ. DAVID LEAN
„LAWRENCE
OF ARABIA”
WIELKA
BRYTANIA 1962

GRA TYGODNIA: „GOD OF WAR RAGNARÖK”

Bezpośrednia kontynuacja historii opowiedzianej graczom w 2018 r. to podobnie jak „GoW” sprzed czterech lat gra nieprzeciętna. Już podtytuł sugeruje, że nasi bohaterowie – ojciec i syn, Kratos i Atreus – otrą się o najważniejsze wydarzenia i postaci nordyckiej mitologii. Ragnarök to

w dużym skrócie walka bogów i olbrzymów, która doprowadzi do zagłady. Ale pod tą warstwą, podobnie jak w „GoW” z 2018 r., jest i opowieść o relacjach, ojcostwie, dojrzewaniu... Grywalność, przyjemność z walki, odkrywania sekretów i rozwiązywania zagadek znów jest



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

na bardzo wysokim poziomie. Gra roku? Dla mnie chyba jednak nie – to był naprawdę bardzo dobry rok. Ale blisko, blisko... ©© **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** akcja, TPP
• **Platforma:** PSS, PS4
• **Producent; wydawca PL:** Sony Int. Ent., Sony Int. Ent. Polska

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W piekle Donbasu

Od zajęcia przez Rosjan Krymu, Doniecka i Ługańska minęło osiem lat. Osiem dla Donbasu straconych lat. Ta część książki Jakuba Maciejewskiego, która opowiada o tym, jak żyje się tam obecnie, uświadamia m.in. to, że przez cały ten czas nic do nas stamtąd nie docierało. Teraz nie pojmujemy tego, co się tam dzieje. I przychodzi nam rozpoznawać tamtą rzeczywistość w zupełnie innych warunkach, tak jak to uczynił autor „Wojny. Reportażu z Ukrainy”, który na objętej wojną Ukrainie spędził 140 dni, w tym 33 dni na terenach przyfrontowych.

A co to znaczy w praktyce? W dzień jest strasznie, ale może jeszcze gorzej w nocy, teoretycznie mającej przynieść wytchnienie. Co robić, gdy „leżysz bezczynnie pod ziemią, gdy nad tobą szaleje rosyjskie piekło, latają pociski, uderzają w grunt, wyrrywają w nim dziury i sypią dookoła ziemię i odłamki. Jesteś małym robakiem w glebie, który w obliczu potwora ciężkiej artylerii imperium może tylko czekać. Trafią czy nie trafią? Obudzisz się rano czy znikniesz w następnej sekundzie?”. I wtedy się modlisz: „Na froncie nie ma ateistów. Lynsey Addario, dziennikarka »The New York Timesa«, która także zbierała materiały na wschodniej Ukrainie, rzuciła półserio w rozmowie ze mną: »Ja jestem ateistką, póki nie znajdę się na froncie«. Dłużej wytrzymał jeden z ukraińskich pułkowników, który przez lata uznawał się za zatwardziałego niewierzącego, dopóki jego doświadczony kompan nie nastąpił na minę kilka metrów przed nim. W obliczu tak drastycznej śmierci przyjaciela, którego krwawe szczątki lądują ci na ramieniu, na mundurze i na hełmie, nikt nie uniknie pytań o głębszy sens i o wolę Bożą. »Dlaczego ja przeżyłem? Czy mój druh, z którym byłem na czterech



FOT. ALBERT ZANOWA / PAP

wojnach, został tylko rozbryzganą miazgą mięsa i kości?«”.

Zwracamy się więc do Boga, czujnie przypatrując się świątynom. Przynajmniej niektórym. Dla majora „Czarnego”, dowódcy jednego z oddziałów ukraińskich, przewodnika autora po Donbasie, wszyscy mieszkańcy Kramatorska, Bachmutu, Słowiańska czy Lisiczańska są „separami”, „zwolennikami Rosji, gotowymi na zmianę paszportu, gdy wejdą tu żołnierze Putina”. Wyczekując ich, wspominają Związek Sowiecki, oglądają moskiewską telewizję, a o wojnie, która niszczy ich domy i zabija przyjaciół, mówią, tak jak w Rosji, „specoperacja”. „To wszystko »separy«, normalni ludzie wyjechali stąd” – cierpliwie tłumaczy „Czarny” dziennikarzowi z Polski. Ale też czy ten „Czarny”, z ukraińskim obywatelstwem i z ormiańskimi korzeniami, podróżami na Zachód i licznymi szkoleniami z żołnierzami NATO, jest takim cicerone, który rzeczywiście rozumie zawiłości piekła Donbasu? A jednak z dnia na dzień coraz bardziej przekonuje przybyśza z Polski do swoich racji. I to on pokazuje reporterowi cerkiew i prawosławny klasztor żeński w Adamiwce, dokąd podjeżdżają tajemnicze furgonetki, a w habitach przechadzają się mężczyźni przybyli tam jak najbardziej po

cywilnemu. Czyżby wspierali oni rosyjską inwazję? „Oni nie wspierają – słyszy Jakub Maciejewski wyjaśnienie niepozostawiające cienia wątpliwości – oni są częścią tej inwazji. Magazynują broń, dają nocleg dywersantom i zdobywają dla nich informacje wywiadowcze”. Jakby na przeciwnej szali tej samej wagi znajduje się protestancki zbor w Kramatorsku, centrum pomocy humanitarnej i ośrodek ewakuacyjnej logistyki. A mnie przypomina się to, co wyczytałem kiedyś u Wańkowicza, który we „Wrześniu żagwiącym” pisał, jak to na tydzień przed 1 września 1939 r. „wykryto osiemdziesiąt rewolwerów automatycznych pod stopniami ołtarza kościoła ewangelickiego w Siemianowicach. Umieścił je tam kościelny za wiedzą pastora”. Niestety, podporządkowana moskiewskiemu patriarchatowi Cerkiew robi teraz to samo. I jeszcze więcej.

Z kolei w Bachmucie jakaś Walentina Pietrowna opowiada reporterowi o krzywdach dziejących się uchodźcom z Donbasu na zachodniej Ukrainie: nie dają im pracy, śpią w szkołach, na materacach – wlicza kolejne niesprawiedliwości, które spotykają jej ziomków. Czy jednak nie lepiej znieść tułaczkę po obcych miejscach niż narażać się na ostrzał rosyjskiej artylerii, na uderzenie rakiet, która zamieni twój dom w kupę gruzów? „A to niech zdechnę” – konkluduje zwolenniczka „ruskiego miru”.

Autor „Wojny. Reportażu z Ukrainy” pisze też o dekoninkach kryjących się w Użhorodzie, o pospolitych złodziejach, cwaniakach i łapówkarzach. I to jest wielki walor jego książki opowiadającej o kraju naszych wschodnich sąsiadów, takim, jaki jest i jakim się stał w dniach wojny, która przebudziła naród ukraiński, wykreowała bohaterów jak również pozwoliła oddzielić ziarno od plew. ©©



★★★★★
**JAKUB
MACIEJEWSKI**
**„WOJNA.
REPORTAŻ
Z UKRAINY”**
**BIĄŁY KRUK,
KRAKÓW 2022**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Psy i faszyści

Umykały nam te wiadomości, gdy migracyjny kryzys wywołany przez Łukaszenkę na polskiej granicy osiągnął apogeum. Zbyt wiele działa się w polskiej infosferze, przepełnionej opiniami dyktantów, użytecznych idiotów Mińska (i Kremla) i zwykłych agentów. To, jak w chwili zagrożenia polskiej granicy zachowały się mainstreamowe media oraz lewicowa opozycja, trudno nazwać inaczej, jak otwarciem drugiego, wewnętrznego frontu przeciw Polsce. Któż by tam zwracał uwagę na to, co dzieje się w białoruskich mediach, kiedy każdego dnia trzeba było walczyć z kłamstwem na temat działań polskiego rządu, wygłaszanym jak nie w TVN czy w „Wyborczej”, to na forum Parlamentu Europejskiego.

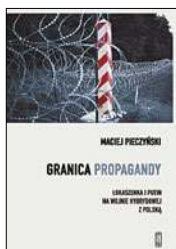
Maciej Pieczyński uwagę zwracał, skrupulatnie notował, dokładnie analizował. Nie bez powodu rekomenduje jego prace prof. Andrzej Nowak, zauważając, że jeśli chodzi o rzetelność i drobiazgowość dokumentacji wojny informacyjnej przeciw naszemu krajowi, to Pieczyńskiemu nie dorówna nikt.

„Granica propagandy. Łukaszenka i Putin na wojnie hybrydowej z Polską” to książka bezcenna; zarówno porządkuje wiedzę, jak i obnaża złowrogi proceder. „Nie ma pewności,

czy białoruski dyktator był pomysłodawcą operacji czy też jedynie wykonawcą planu opracowanego na Kremlu” – zauważa autor, dalej udowadniając, że ważniejsza jest żelazna konsekwencja, z jaką Mińsk i Moskwa wykorzystwały sztucznie wywołaną falę uchodźców szturmujących polską granicę do własnych celów.

Narracja sojuszniczych stolic nie zawsze była zbieżna, o tym opowiada jeden z najciekawszych rozdziałów książki („Ogon macha psem”), bo Rosja prowadzi w stosunku do Białorusi własną skomplikowaną grę. Ale tak czy inaczej budowano w umysłach obywateli Rosji i Ukrainy rzeczywistość alternatywną: Polską rządu „faszystowski reżim Dudy”, za fale migracji odpowiedzialne są USA, które przed laty zaatakowały Irak (oraz Polska, ich wojenny sojusznik), całość zaś działań Zachodu określa się mianem „demokratycznego kolonializmu”. Białe jest czarne, czarne jest białe, ostatnie kolonialne

mocarstwo świata stroi się w szatki ofiary kolonializmu; najokrutniejsza dyktatura Europy opowiada o swej krzywdzie i poczuciu nieustanego zagrożenia ze strony „polskich czołgów”. I to działa. Dlaczego działa w Rosji i na Białorusi – wyjaśnia Pieczyński. Dlaczego działa też w Polsce – cóż, taką przebudli nas opozycja. ©©



★★★★★
MACIEJ
PIECZYŃSKI
„GRANICA
PROPAGANDY”
PIW

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Życie doczesne i wieczne Kornela buntownika”. Obszerna biografia (plus zdjęcia) twórcy Solidarności Walczącej, postaci niezwykle, więc skazanej w III RP na niebyty. Rymanowski opowiada barwnie, nie omijając kontrowersji.



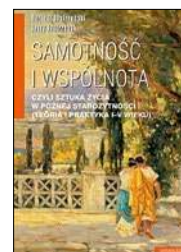
BOGDAN
RYMANOWSKI
„DOPAŚĆ
MORAWIECKIEGO”
ZYSK I S-KA

Zamek polskich królów w obiektywie znakomitego fotografa. Jeśli komuś udało się uchwycić genius loci wawelskiego wzgórza, to właśnie Bujakowi. Na zdjęciach dużo więcej, niż pokazuje się wycieczkom. Wstęp: dr Piotr Rabiej.



ADAM BUJAK
„WAWEL.
SKARBIEC WIARY
I POLSKOŚCI”
BIAŁY KRUK

Podtytuł: „Sztuka życia w późnej starożytności (teoria i praktyka I–V wieku)”. A skoro życia, to poszukiwania Boga. I poświęcenie się tym poszukiwaniom w stopniu dziś niewyobrażalnym. Fascynująca synteza historii, filozofii i wiary.



BARTOSZ
JASTRZĘBSKI,
JERZY
JASTRZĘBSKI
„SAMOTNOŚĆ
I WSPÓLNOTA”
UNIVERSITAS

Nie tylko o piłce (choć większość czytelników zna autora jako eksperta od futbolu). Pierwszy tom cyklu obmyślnego opowieści o najważniejszych w stolicy miejscach związanych ze sportem na przestrzeni minionych 100 lat.



STEFAN
SZCZEPŁEK
„WARSZAWA
IDZIE NA MECZ”
SKARPA
WARSZAWSKA

KOMIKS TYGODNIA:

„LADY SPITFIRE”
Zwykle dostarczały maszyny na linię frontu, latając w ramach ATA (Air Transport Auxiliary). Były wśród nich i Polki. Ostatnia „spitfire woman”, Eleanor Wadsworth, zmarła w wieku 103 lat na początku 2021 r. Twórcy serii komiksowej „Lady Spitfire” (cztery tomy w polskim wydaniu zbiorczym) bohaterką uczynili uciekającą do



LATOUR, MAZA,
SCHELLE
„LADY SPITFIRE”
SCREAM COMICS
2022

Anglii latem 1940 r. Francuzkę Laure Chevalier. Córka asa myśliwskiego z czasów pierwszej wojny światowej wplątana zostaje także w intrygę szpiegowską. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Szopkarskie piękności

W pierwszą niedzielę grudnia po raz 80. ogłoszono wyniki konkursu na najpiękniejszą szopkę krakowską. W jubileuszowym dla plebiscytu roku jurorzy oceniali ponad 140 szopek w kilku kategoriach. Werdykt wydano, najpiękniejsze wyróżniono, choć piękne są oczywiście wszystkie. Tak jak tradycja

konkursu i tradycja krakowskiego szopkarstwa w ogóle, która jest pierwszym wpisem z Polski na liście reprezentatywnej niematerialnego dziedzictwa ludzkości UNESCO. Trwa pokonkursowa wystawa szopek.

Krakowski zwyczaj „chodzenia” z szopką od domu do domu narodził się w XIX w. W międzywojniu zaczął jednak zanikać, co niepokoiło m.in. Jerzego Dobrzyckiego, ówczesnego magistrackiego kierownika działu propagandy. Wymyślił on, że konkurs szopek może podtrzymać piękną lokalną tradycję. Jak widać – nie pomylił się. Pierwszy konkurs zorganizowano w 1937 r., druga wojna światowa naturalnie przerwała tę tradycję, ale powrócono do niej po pokonaniu Niemców. ©©

GDZIE? Kraków, Pałac Krzysztofory
KIEDY? do 26 lutego 2023 r.



FOT. AGATA WNIUK / DOKRACOW.PL



FOT. W. DOBRZYCKI

ZMAGANIA ŚWIATŁA I MROKU

Mrok. Obecny i w twórczości, i w tragicznie przerwany życiu Henryka Morela. Wszechstronny twórca rzeźbiarskich form, który przecierał nowe szlaki. Twórca, jak mówił rzeźbiarz i performer Grzegorz Kowalski, „pierwszej rzeźby wykorzystującej destrukcję”, która była „wyrazem nie tylko jego reakcji na rzeczywistość, bo on tę destrukcję nosił w sobie. To był właściwie obraz destrukcji cywilizacji, jego rzeźba miała coś z przestrogi, była swoistym memento do współczesności”. Na wystawie w Kordegardzie także m.in. rysunki i prace tuszem. ©©

GDZIE? Warszawa, Kordegarda
KIEDY? do 8 stycznia 2023 r.



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

ONA to czuje

Po czterech latach przerwy Agnieszka Chylińska powraca do swoich rockowo-bluesowych korzeni. „Po latach muzycznych eksperymentów wracam do siebie, wracam do Was wciąż ta sama, choć jak zawsze nigdy taka sama...”.

A mieliśmy już Chylińską w wersji grunge'owej, metalowej, tanecznej czy poprockowej. I od razu przyznaję, że to „nowe-stare” oblicze wokalistki bardzo mnie przekonuje. Bez kombinowania, bez natrętnej elektroniki, za to mocnym głosem. Agnieszka śpiewa o tym, co ją boli. W kilku wyrażnie autobiograficznych tekstach rozlicza się z przeszłością. Są piosenki o miłosnych rozstaniach i powrotach. Po prostu życie, ale opisane z pasją.



FOT. TOP MANAGEMENT / ADAM PŁOCINSKI

Za produkcję odpowiedzialny jest gitarzysta Maciej Mąka, który ze smakiem zadbał o vintage'owe brzmienia. Gitarowe solówki i przestrzenne rozbudowane aranżacje nawiązują do najlepszych wzorów klasyki rocka. Jednocześnie jest to album szalenie różnorodny pod względem stylistycznym, i przez to słucha się go wyśmienicie.

Najlepsza płyta wokalistki? Dla mnie tak. ©©



★★★★★
AGNIESZKA CHYLIŃSKA
„NEVER ENDING SORRY”
SONY



★★★★★
COLLAGE
„OVER AND OUT”
MYSTIC

Po ćwierci wieku przerwy grupa znów przenosi nas do progresywnych lat 70. i z piętnastem odtwarza skamielinę zwaną Genesis. Utwór tytułowy trwa blisko 22 minuty, gitara łąka długimi solówkami, wokalista należycie cierpi, a klawisze budują magię.



★★★★★
MIKROMUSIC
„MIKROWSZCZYZNA”
MIKRO MANAGEMENT

Na EP-ce wrocławskiego tria są trzy polskie pieśni ludowe (m.in. „Pierwsza godzina”) oraz ukraińska „Letila zozula”. W tej ostatniej obok Natalii Grosik śpiewają Dana Vynnytska i Gordiy Starukh. Współczesne aranżacje Mikromusic dały nowe życie tym pięknym melodiom. ©©

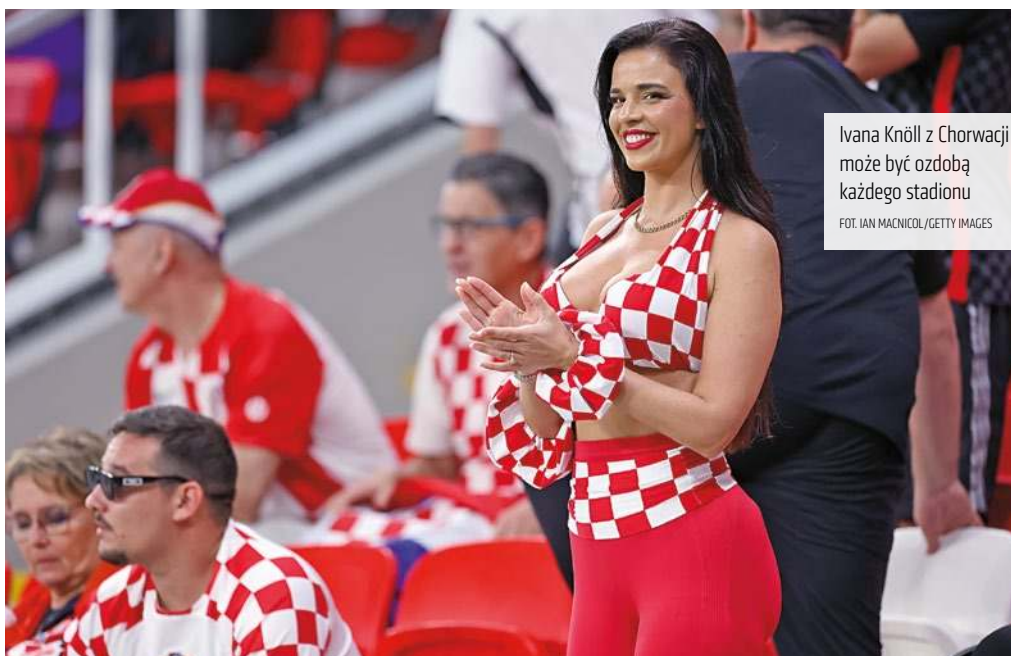


Krzysztof Masłoń

Powiedzieć, że cała moja rodzina i wszyscy znajomi żyją mistrzostwami w Katarze, byłoby przesadą. Żona ma np. pretensje o zawieszenie na czas rozgrywek emisji pasjonujących perypetii bohaterów „Klanu” i nie przyjmuje do wiadomości, że mundial jest raz na cztery lata, a najdłuższy w historii Telewizji Polskiej tasiemiec ciągnie się od ćwierć wieku i końca nie widać. Ona wie swoje, i już. Pytam kobietę, czy naprawdę aż tak ją interesują losy rodziny Lubiczów i ich licznych przyległości wraz z Czesią Kot-Kurzwaską, że o Brajanie Cebuli nie wspomnę, a ona, że i owszem: bardziej ją oni rajcują niż Glik i Milik. No ludzie!!!

A przecież nie brakuje pań żywo interesujących się futbolem. Taka Ivana Knöll z Chorwacji może być ozdobą każdego stadionu, a w Katarze, w stroju w barwach narodowych z białą-czerwoną szachownicą prezentuje się wręcz zjawiskowo. A że przyrodzinek skąpy, to nic dziwnego: w Ad-Dausze 28 stopni, a to nie to samo co 8 w Zagrzebiu czy 2 w Warszawie. To co, miała Ivanka futro przyodziać?

Z aż tak szerokim odzwękem, jak wdzięki chorwackiej fanki piłki nożnej, nie spotkało się bohaterstwo niemieckiej minister(ki) spraw wewnętrznych Nancy Faeser, która na meczu Niemiec z Japonią pojawiła się z opaską z napisem „One Love”, taką samą, w której wszechwładna FIFA nie pozwoliła zagrać niemieckiemu bramkarzowi Neuerowi. To znaczy – tłumaczyłem żonie – wyjść na boisko to by wyszedł, ale dostałby od sędziego żółtą kartkę. – A dlaczego nie czerwoną? – dopytywała się. Tego to nie wiem,



Ivana Knöll z Chorwacji może być ozdobą każdego stadionu

FOT. IAN MACNICOL/GETTY IMAGES

Zakatarzenie

w każdym razie piłkarskie władze się tłumaczyły, że na mistrzostwach obowiązuje piłkarzy zakaz manifestowania swoich przekonań i poglądów politycznych, a kapitanowie drużyn mogą nosić stosowne regulaminowe kapitańskie opaski albo żadne. Tak czy inaczej Niemcy z Japonią przegrały 1:2, w efekcie z turnieju odpadły – ku niekłamanej radości chyba wszystkich polskich kibiców – a na dodatek ich kadra straciła jednego z ważniejszych sponsorów, bo firma Rewe ze swoimi licznymi supermarketami postanowiła nie finansować futbolowej reprezentacji Bundesrepublik Deutschland, skoro ta nie potrafi należycie zadbać o równe prawa dla dyskryminowanych społeczności LGBT+.

Czyż to wszystko nie jest ciekawe? – retorycznie pytałem połowicę, a ta furt jak nie Brajan, to Dżesika, kwestię prześladowania homoseksualistów w Katarze kwitując stwierdzeniem, że nasi żadnych opasek nie nosili, nasz człowiek nawet zaka-

blował francuskiego kopacza, który na szyi miał również zakazany złoty łańcuszek, a jednak zaliczyli z Francją wtopę, choć Lewandowski strzelał te karne i strzelał... I jeszcze kąśliwie dodała, że dziwi się inteligentnym, podobno, osobnikom, którzy przed telewizorem, wpatrując się w 22 facetów biegających za piłką w tę i z powrotem, spędzili już 90 godzin, a przed nami jeszcze półfinały i mecze o medale. Z 10 godzin bym doliczył – sprzecyżowałem, bo sędziowie przedłużają spotkania, jak nigdy przedtem. Zaraz też odesłałem swoją ślubną do drugiego pokoju (czytaj: telewizora), bo już miałem dość tych prowadzonych donikąd dyskusji, ale nie minęło czasu wiele, a już wróciła, narzekając, że w TVN celebrują tokański finał „Master Chefa”, a ona włoskiej kuchni ma potąd – tu uczyniła wymowny gest w okolicach szyi, w Polsacie zaś Ewa Wachowicz gotuje gołąbki z karpia, co już jest całkowicie nie do przyjęcia. Nie minęło

czasu wiele, a znów zaczęła narzekać, że jedna komercyjna stacja transmituje skakanie na nartach, jakby w dobie mundialu kogokolwiek to interesowało, a druga świętuje jubileusz 30-lecia z udziałem niezmiennających się od tychże 30 lat gwiazd. Jak zaczęła je wyliczać, to łza mi się w oku zakręciła, bo to i T.Love, i Lady Pank, i Doda z Piaskiem, i Maryla Rodowicz...

Perfidnie zaproponowałem malkontentce przełączenie się na TVN 24, Polsat News lub TVP Info, ale zbyła milczeniem propozycję i chyba się obraziła. A co tam, przynajmniej w spokoju przeanalizuję obejrzanych pięć tuzinów meczów, przeliczę ich trwanie z godzin na minuty, pozostając pod wrażeniem spostrzeżenia złotoustego Dariusza Szpakowskiego, który zauważył: „Ta minuta nie będzie zbyt długa. To tylko 60 sekund”.

I w tym momencie żona przemaszerowała przez salon, głośno recytując Brzechwę: „Złapał Katar Katarzynę...” ©

Centroprawicowa mistyka?



Wincenty Łaszewski FOT. PRODRICTO.COM.PL



Tomasz Rowiński

„Duchowa misja Polski” wydaje się ciekawym przykładem próby potraktowania polskiego losu na wzór losu starożytnego Izraela

Można usłyszeć, jeśli się przyłoży ucho w odpowiednim miejscu, że jedną z najważniejszych duchowych księzek dla środowiska rządzącego obozu centroprawicowego jest wydany przez Frondę w roku 2019 tom Wincentego Łaszewskiego „Duchowa misja Polski”. Trudno zweryfikować, jak szerokie jest rzeczywiste oddziaływanie tej książki, ponieważ mamy do czynienia z informacją powtarzaną raczej w kuluarach niż przed kamerami stacji telewizyjnych. Trzeba jednak powiedzieć, że od pierwszych stron tej książki czytelnik, choć pobieżnie zorientowany w metafizyce PiS, będzie wiedział, dlaczego jest to pozycja, która może służyć za religijne uzasadnienie nie tylko metanarracji politycznych obozu Jarosława Kaczyńskiego, lecz także pewnych konkretnych jego działań.

Podobne wrażenia czytelnik mógł mieć, gdy zasiadał do lektury tekstów Jarosława

Marka Rymkiewicza chętnie sięgającego po obrazy wyobraźni romantycznej, która przecież ukształtowała ideowo nowoczesną Polskę. Mickiewiczowska wizja dwóch narodów – patriotów i zdrajców – na które podzielili się Polacy, była zupełnie bezpośrednio wykorzystywana w publicystyce politycznej. Szczególnie dawało się to zauważyć w latach 2010–2015, ale także nieco mniej intensywnie wcześniej i później. Słynny wiersz Rymkiewicza „Do Jarosława Kaczyńskiego” był zdecydowanie najsobotniejszym politycznym użyciem mickiewiczowskiej „romantycznej teologii” do polskich rozgrywek, jednocześnie służył jako matryca metafizycznego, a nie tylko politycznego oddzielania „naszych” od „nie-naszych”. Dwie Polski – „ta o której wiedzieli prorocy / I ta którą w objęcia bierze car północy / Dwie Polski – jedna chce się podobać na świecie / I ta druga – ta którą wiozą na lawecie” – pisał Jarosław Marek Rymkiewicz. Jest w tych słowach coś więcej niż tylko zakreślenie granicy politycznej niezgody, są w tych słowach zdefiniowane esencjalizacja polskiego „dobra” i „zła”, światłości i ciemność, przyjaciół i wrogów.

ROMANTYCZNY DUCH

Łaszewski idzie nieco inną ścieżką, zdecydowanie religijną, ale kolejne akapity jego książki również przepełnione są jak u Rymkiewicza romantycznym

duchem. „Na bezbożnym szlaku położyła się Polska. Nie jest święta, nie jest wierna, nie jest bez winy. Ale... naród wie o tym. Ale... bije się w piersi i błaga Boga o przebaczenie. Wciąż w niego wierzy i Mu ufa. Jak potrafi...”. „Dlatego zlecono Polsce misję. Wielu uważa, że ta misja nie może się udać”.

„Duchowa misja Polski” bez wątpienia wpisuje się także w tradycję polskiego mesjanizmu w takim jego rozumieniu, które służy usprawiedliwianiu zarówno konieczności znoszenia osobistego cierpienia, jak i niepowodzeń politycznych. Wydaje się, że to jeden z ważniejszych aspektów programu, który Łaszewski wkłada do swojej książki. Rezonuje on wyraźnie z obecną w logice politycznej PiS perspektywą „państwa stanu wyjątkowego”. Oczywiście książka Franciszka Ryszki pod takim właśnie tytułem jest opisem systemu polityczno-prawnego III Rzeszy, nie zmienia to jednak faktu, że mamy w tym przypadku do czynienia z koncepcją szerszą, którą można powiązać choćby z politycznym de-cyzjonizmem Carla Schmitta. Koncepcja ta przeżywała w ostatnich dekadach swoisty renesans.

Łaszewski nadaje wyjątkowemu, niezrozumiałemu dla świata sposobowi istnienia i działania Polski oraz Polaków opatrnościowe znaczenie i uzasadnienie. Zwycięstwo „dokona się [...] wbrew logice tego świata, jeśli trzeba – wbrew faktom

tego świata, nawet wbrew władzy, jaką nad tym światem coraz pełniej sprawuje ciemność. Nie pomoże tu żadna polityka, żadna propaganda, żaden pieniądz, żadne kłamstwo, żaden spisek. Droga wiedzie ku zwycięstwu dobra. Cóż z tego, że kochający zło kierują nas w inną stronę. Nie przemogą. Tak zapewnia Niebo” – czytamy na stronach „Duchowej misji Polski”. A jednocześnie autorowi „żał tych biedaków... Tyle wśród nich dzieci polskiego narodu. Tyłu zdradców, których na koniec sam szatan zdradzi...”. Dwa narody przenoszące na najwyższy poziom sądu Bożego nad światem.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że polityczno-etyczny dualizm, który, jak może się zdawać, został ożywiony przez Rymkiewicza i PiS, a w nowszej odsłonie powtórzony przez Łaszewskiego, ma starsze korzenie. Nie trzeba sięgać aż do Adama Mickiewicza, by go wychwycić. Pisał o tym kiedyś dr Paweł Grad w eseju „Solidarność» nie jest tradycją”. Autor ten zauważał, że polityczna formacja polskich elit politycznych z pokolenia Kaczyńskiego czy nawet Tuska polegała na urabianiu i przyjmowaniu przekonania, że siły opozycyjne wobec ich własnych stanowisk trzeba traktować nie jako „opozycję”, ale jako „wrogów” czy po prostu zło. Oznaczałoby to, mówiąc metaforycznie, że w Polsce zwykle w przeciwniku politycznym widzi się jeśli nie „cara północy”, to przynajmniej Jaruzelskiego. Przynajmniej wstępny rozdział „Duchowej misji Polski” wzmacnia tę logikę. Można wnioskować, że choć Łaszewski odwołuje się bezpośrednio do teologii katolickiej i katolickich autorów, jego uwagi rezonują dzięki zupełnie innym pokładom polskich odruchów politycznych. Te zaś chętnie skrywają się za chrześcijańską retoryką i są przez nią wzmacniane.

USPRAWIEDLIWIENIE SŁABOŚCI

Mesjanistyczna nuta zwykle ujawnia się jako usprawiedliwienie słabości, która ostatecznie okazuje się zwycięską. Nie inaczej jest w książce Łaszewskiego. W końcu nic nie wskazywało, że Chrystus okaże się tym, który pokona śmierć; jego zwycięstwo dokonało się dzięki zamyśłom Opatrzności. Nieznane one były ludzkości, ale jednocześnie odstawiali je w dziejach prorocy. Romantyczna polityka chętnie metaforyzowała tak pojętą słabość Chrystusa. Dlatego i dziś „wielu uważa, że ta misja [którą ma Polska – przyp. T.R.] nie może się udać. Dlatego

nasza Ojczyzna jest tak atakowana, kuszona, niszczone. Najlepiej, gdyby ten przedmiot prorocत्व i nadziei na nowy, lepszy świat przestał istnieć. Jeśli go nie będzie, nie będzie też szansy na wypełnienie się proroczej obietnicy”.

Zarówno ten cytat, jak i poprzednie bardzo łatwo mogą zostać partykularnie zinstrumentalizowane w narracjach partyjnych. Łatwo się okazuje, że atakowana i niezrozumiana centroprawica, będąca ostatecznie całą Polską – nie można bowiem do Polaków zaliczać „zdrajców” z opozycji, jak mówił Rymkiewicz – okazuje się „resztą”, na wzór reszty Izraela. „Choćby tylko »reszta« pozostała wierna, już to wystarczy, by Polska szła bezpiecznie naprzód, toczyła się przez dzieje świata ku dniom Paruzji, trwała w chmurze Bożej Opatrzności – jednak niedostępna dla nieprzyjaciół Boga, nieprzyjaciół Niewiasty, nieprzyjaciół Polski – Jej Królestwa” – pisze Łaszewski.

Dalsze części książki, będące rodzajem syntezy „nauczania o Polsce”, które znaleźć można w pismach różnych wizjonerów, poetów czy pisarzy duchowych, zdają się mniej nasycone tego rodzaju teologią polityczną. Jednocześnie jest oczywiste, że charakter programowy w książkach mają zwykle początkowe akapity. Pozytywnym jest to, że Łaszewski nie stara się tworzyć przed czytelnikiem sensacyjnej wizji, np. w sprawie przyszłości Polski, które nieraz towarzyszą książkom o prorocत्वach. „Duchowa misja Polski”, choć dla obojętnego czy wrogo do religii nastawionego czytelnika będzie i tak „religijanka”, wydaje się ciekawym przykładem próby potraktowania polskiego losu na wzór losu starożytnego Izraela. I Polacy bowiem mają tu swoje szczególne powołanie, mają lub mieli swoich proroków, którzy nie tyle są przepowiadaczami przyszłości, ile na wzór proroków Izraela nauczycielami. Uczą – owszem – moralności, ale przede wszystkim dają wgląd w zrozumienie sensu dziejów. Prorokami polskości są u Łaszewskiego zarówno autorzy polscy (np. kard. August Hlond, bł. kard. Stefan Wyszyński, św. Faustyna Kowalska), jak i obcy (ks. Luciano Guerra czy sługa Boży Guido Mancinelli), dawniejsi (św. Małachiasz) i współcześni, postacie znane dość powszechnie (o. Andrzej Klimusz-

ko) i w szerszym odbiorze zapomniane (bł. ks. Bronisław Markiewicz, Zofia Nosko, Teresa Neumann). Wszyscy oni jednak przekonują, że w polskie narodowe i państwowe doświadczenie wpisane jest „rozpoznawanie Boga”, jak pisał kiedyś dr Paweł Milcarek.

Jak traktować książkę Łaszewskiego? Z pewnością nie jest to traktat polityczny, który miałby tworzyć jawne uzasadnienie dla działań jednej partii. Raczej jest tak, że PiS i jego intelektualści od lat zręcznie posługują się symboliką, która ukształtowała duszę polską, i chętnie włączają pewne książki i autorów w krąg własnych narracji politycznych. Czy domniemana popularność tekstu Łaszewskiego w środowiskach PiS jest jego instrumentalizacją? Powiedziałbym nieco przewrotnie: każde ugrupowanie polityczne jest w naszym kraju wezwane do tego, by budować państwo sprawiedliwe, rządzone godnie, w którym szanuje się Boga i człowieka, czyli po prostu państwo katolickie. Warto zadać inne pytanie. Co trwałego po takiej lekturze zostaje w duszach i umysłach ludzi centroprawicy, poza uczuciowym patriotyczno-religijnym wzmożeniem?

Jeśli chodzi o ocenę samej książki bez doraźnego kontekstu politycznego, to można bez wątpliwości postawić jej zarzut zbyt wysokiego podkreślenia zaangażowania dewocyjnego w odniesieniu do spraw doczesnych i politycznych. Jednak tekst Wincentego Łaszewskiego nie jest aż tak bardzo, jak mogłoby się zdawać, przesycony polityką, która pojawia się raczej w postaci ogólnych postulatów. W sposób pozytywny można „Duchową misję Polski” rozumieć jako we-

zwanie – przeprowadzone właśnie w stylu proroków izraelskich – do zachowania tego elementu polskiej świadomości, który podpowiada nam, że nie wszystko w dziejach jest w ludzkich rękach. Oraz że istnieje związek pomiędzy mores i pietas oraz dobrostanem życia narodowego – ta bardzo konkretna prawda fizyki społecznej jest dziś stanowczo kwestionowana.

Zarzut główny wobec książki mógłby brzmieć następująco i znajomo – Polacy zbyt często na Opatrzność starali się i starają zrzucić sprawę, o które powinni zatroszczyć się sami. Czy zarzut ten jest prawdziwy? Tu wiele zależy od dyspozycji czytającego.



WINCENTY ŁASZEWSKI
„DUCHOWA MISJA
POLSKI”
FRONDA 2019

Jak Polska ma funkcjonować w Europie



Jan Parys

Kiedy zastanawiamy się, co zrobić, by Polska była graczem w Europie, trzeba zacząć od rachunku sumienia

Parę lat temu śp. Jarosław Marek Rymkiewicz powiedział, że polskość to straszna siła, która nas sobie wybiera i nami rządzi, której nie potrafimy się oprzeć. Miał pewnie na myśli siłę naszej kultury i siłę naszej tradycji republikańskiej. Rzecz jasna, nie wystarczy się poddać sile polskości i czekać, aż ona dalej nas poprowadzi. Na pewno Rymkiewicz nie myślał o tym, by Polacy zaprzestali jakiegokolwiek działania, lecz by nie tracili swej tożsamości oraz by w swym postępowaniu dbali o Polskę i jej polskość.

Pragnę zauważyć, że dla Polski, która leży tu, gdzie leży, i ma takich sąsiadów, jakich ma, polityka zagraniczna to przede wszystkim sprawy bezpieczeństwa. Oczywiście potrzebujemy w MSZ prawników od prawa międzynarodowego i specjalistów od handlu zagranicznego, ale najważniejsze jest dla naszego państwa bezpieczeństwo międzynarodowe. Mało jest w Polsce osób, które mają w tym zakresie wiedzę i doświadczenie. Od chwili wejścia do NATO staliśmy się krajem frontowym sojuszu. Z tego wynikają pewne zadania dla MSZ i dla MON. Okres od 22 lutego tego roku to czas, który o tym przypomina dobitnie, bo graniczymy z dwiema walczącymi stronami. Niestety, nie widzę, by ktoś wyciągał wnioski z nowej sytuacji dla składu, struktury i kierunku pracy naszej dyplomacji. Zastanówmy się, co trzeba zrobić, by nasz kraj miał ważną pozycję w Europie?

PO PIERWSZE

Potrzeba diagnozy sytuacji międzynarodowej i sytuacji naszego państwa. To znaczy, trzeba zdefiniować nie tylko nasze cele, lecz także interesy kilku dużych państw w Europie, bo one wpływają na naszą sytuację. Analizy interesów – bo nie można tego ograniczać do streszczania wypowiedzi dyplomatów. Trzeba sobie jasno uświadomić, że relacje z naszym krajem, np. Rosji, Niemiec czy Francji, nie wynikają z lepszego czy gorszego stanu relacji bilateralnych. Jest zupełnie inaczej. Na przykład polityka Niemiec wobec Polski jest funkcją relacji, które Niemcy budują z Rosją i USA. Jednym słowem – trzeba dostrzegać to, że nasze stosunki z różnymi krajami są wynikiem skomplikowanej gry kilku państw, bo różne kraje odmiennie widzą nasze miejsce w Europie.

Nie poprawimy naszych bilateralnych stosunków z Niemcami, jeżeli nie uzgod-



nimy wcześniej poglądów na rolę Polski i rolę Niemiec w Europie. To, że dziś te stosunki są wyzerowane, a właściwie mamy do czynienia z wojną polityczną, prawną i finansową, to efekt braku rozmów i porozumienia w sprawach ogólnych co do pozycji naszych państw w Europie. Niemcy chcą być hegemonem, a my chcemy zachować suwerenność. Czyli dyplomacja w przypadku naszego państwa nie jest zbiorem relacji bilateralnych.

PO DRUGIE

Prowadząc politykę zagraniczną, często zderzamy nasze interesy z interesami krajów silniejszych. Aby sprostać takiej sytuacji, trzeba budować sojusze. Nie damy rady przeciwstawić się imperialnym planom Niemiec wobec Polski samodzielnie. Trzeba szukać sojuszników. Teraz, po kilku miesiącach wojny w Europie, jest to łatwiejsze niż kiedyś. Każdy widzi bowiem, że siła UE polega głównie na gadaniu, na hipokryzji i na szantażu finansowym. UE ani żaden kraj europejski nikomu bezpieczeństwa wobec Rosji nie zapewni. A dla nas bezpieczeństwo jest najważniejsze, jest ważniejsze niż np. bieżące korzyści handlowe.

Inne kraje leżące daleko od Rosji mogą mieć inne priorytety, ale Polska ma ten jeden priorytet: utrzymać suwerenność wobec sąsiadów. Aby poradzić sobie np. z presją Berlina, trzeba wzmacniać kooperację z USA we wszystkich aspektach. Nasz sojusz z USA nie może być jednowymiarowy, tj. ograniczać się do kwestii militarnych.

PO TRZECIE

Trzeba zdać sobie sprawę, że skoro mamy ambicje, by być ważnym graczem, to w politykę zagraniczną trzeba inwestować. Nie idzie tylko o budżet MSZ, lecz także o tzw. zagraniczną politykę gospodarczą, bez której nie ma wpływów politycznych na świecie. To, że dziś Polskę stać na zachowania asertywne wobec różnych obcych nacisków, jest możliwe dzięki temu, że wzmocniła się nasza gospodarka. W skrajnej sytuacji szantażu ze strony przeciwników politycznych stać nas dziś nawet na ponoszenie strat politycznych i gospodarczych. Trzeba pamiętać, że celem niektórych państw jest uzależnienie Polski. W tej sytuacji utrzymanie niezależności wymaga nie tylko asertywności, lecz także gotowości do ponoszenia strat politycznych i gospodarczych. Te straty to są koszty podobne

Nasza pozycja urosła wskutek wojny na Ukrainie. To prawda.

Uważam jednak, że nie umiemy wykorzystać tego czasu

do inwestycji długookresowych ważnych dla przyszłych pokoleń.

PO CZWARTE

Zgadzam się z osobami, które wskazują, że naturalnym zapleczem dla naszej dyplomacji są kraje Trójmorza. To nasz atut, ale warto zapytać, co my w tej sprawie zrobiliśmy dotychczas. Na razie dominują gadanie i deklaracje. Nawet jeżeli zbudujemy kilka rurociągów i linii energetycznych, czyli zbudujemy potrzebną infrastrukturę, to nie stworzymy w ten sposób pozycji Trójmorza w Europie na miarę naszych ambicji. Polska potrzebuje Trójmorza. Trójmorze potrzebuje silnej Polski. Trójmorze będzie się liczyć z nami, a przez to my jako gracz w Europie pod pewnym warunkiem. W każdym kraju Trójmorza muszą być duże polskie inwestycje. Polityka zagraniczna to także łańcuchy dostaw dla naszego przemysłu. Same uśmiechy prezydenta i oświadczenia premiera nie wystarczą. Mając potencjał średniego państwa europejskiego, nie zawojujemy gospodarczo świata, ale umocnienie naszych wpływów w regionie jest realne.

Powstaje pytanie: Co zrobiło MSZ, co zrobiło Ministerstwo Finansów, co zrobił resort gospodarki i rozwoju, by wspierać polskich inwestorów w państwach Trójmorza? Żaden z tych ministrów nie zrobił czegokolwiek konkretnego w tej sprawie. Bo łatwo o Trójmorzu mówić, ale mało kto chce i potrafi coś konkretnego zrobić, by Polska w nim zaistniała na poważnie. A przypominę, że minęło siedem lat, które de facto zmarnowano.

Wiadomo, że istnieją sprawdzone na świecie narzędzia wspierania przedsiębiorców inwestujących za granicą. Dlaczego rząd ich nie wykorzystuje na terenie Trójmorza? Nasz kraj jest wręcz wypierany gospodarczo z niektórych państw Trójmorza. Ile razy każdy z tych ministrów spotkał się z krajowymi inwestorami, by ich zapytać, jak im pomóc w zagranicznych inwestycjach? Jak często nasi ambasadorowie spotykają się z polskimi inwestorami w państwach,

w których urzędują? Odpowiedź jest krótka: żaden minister z nimi się nie spotkał, a powinni to robić kilka razy w roku.

Minęły właśnie lata, kiedy kapitał był tani, można było łatwo zaciągać kredyty i finansować nasze inwestycje za granicą. Ta okazja przepadła przez lenistwo naszych polityków.

Zatem kiedy zastanawiamy się, co zrobić, by Polska była graczem w Europie, trzeba zacząć od rachunku sumienia, bo niektórzy robią wiele swym lenistwem, by Polska ważnym graczem międzynarodowym nie była ani w Europie, ani nawet w Trójmorzu.

PODSUMOWANIE

Dziś wiele osób mówi o tym, jak nasza pozycja urosła wskutek wojny na Ukrainie. To prawda. Uważam jednak, że nie umiemy wykorzystać tego czasu. Jeżeli Ukraina wygra i będzie jakiś pokój, to stracimy dotychczasową ważną pozycję, którą zapewnią nam trwająca wojna. Jeżeli Ukraina przegra, to będziemy mieli armię rosyjską na granicy z Podkarpaciem. Zatem dziś nie powinniśmy tracić czasu i zadowalać się uśmiechami, podziękowaniami, poklepywaniem po ramieniu itp.

Zastanówmy się, kiedy wiosną 2022 r. politycy amerykańscy odbywali pielgrzymki do Polski, co uzyskaliśmy poza uśmiechami i wspólnymi zdjęciami? O ile wiem – nic. Nawet podczas szczytu NATO w czerwcu tego roku, chociaż odbył się on parę miesięcy po tym, jak Rosja rozpoczęła wojnę w Europie.

To teraz przypominę, że w 2016 r. nasza dyplomacja nie tylko odmroziła budowę tarczy antyrakietowej, lecz także uzyskała stacjonowanie ponad 5 tys. żołnierzy amerykańskich w Polsce – a przecież wtedy, jak wiemy, żadnej wojny nie było. To jak wygląda skuteczność naszych dyplomatów dziś, kiedy trwa wojna?

Żaden szef polskiego MSZ nie miał tak luksusowej sytuacji jak obecny, bo ten dysponuje wyjątkowymi trzema atutami, których nie miał nigdy żaden polski rząd. W 2022 r. nasz kraj zgodził się na wielką bazę amerykańską pod Rzeszowem. Rząd składa też wielkie zamówienia w USA na broń i na reaktory atomowe. Powstaje pytanie: Czy dzięki tym decyzjom, które są korzystne dla USA, udało się uzyskać coś, na czym nam zależy, bo dyplomacja to organizowanie korzyści dla własnego kraju? O te korzyści łatwiej zabiegać, kiedy ma się argumenty, takie trzy wspomniane atuty.



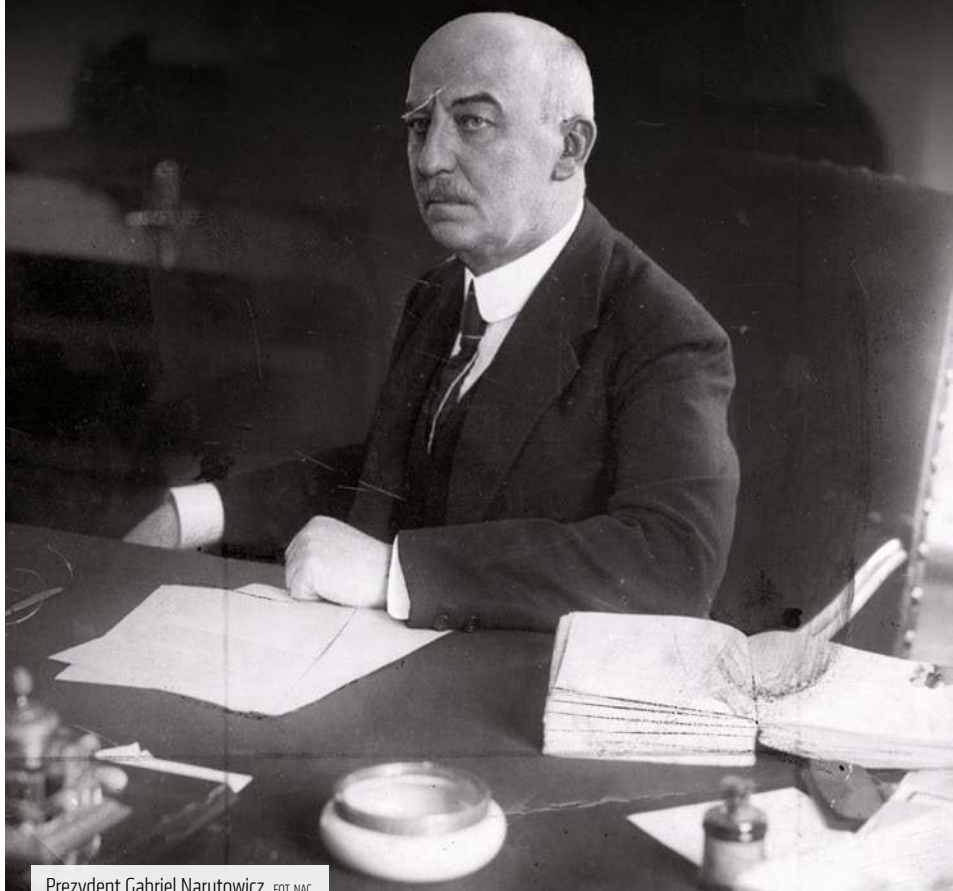
Rafał A. Ziemkiewicz

Przez sto lat nie upadł błędny mit – że za zamordowaniem prezydenta RP stała prawica. Tymczasem zabił go obłąkany człowiek

Śmierć pierwszego prezydenta RP z rąk obłąkanego malarza mimo upływu stu lat wciąż kładzie się cieniem na polskiej polityce. Nie ze względu na tragizm tej śmierci; samo zdarzenie, acz poruszające, nie było na tle dziejów powszechnych niczym wyjątkowym, z rąk zamachowców zginęło kilku prezydentów USA, car rosyjski i cesarzowa Austro-Węgier, nie licząc dziesiątek mniej znaczących władców. Niekiedy skutki tych zamachów były bardzo doniosłe, aż do wywołania wojny światowej włącznie. Ale nigdy, nigdzie nie zdołano na trumnie zamordowanego zbudować tak skutecznej maszyny politycznej nienawiści, która odwróciła nastroje społeczne i trwale odsunęła od władzy formację wcześniej dominującą, jak udało się to lewicy w Polsce.

Emocje, agregowane za pomocą arcydzieł politycznej propagandy, którymi były wiersz Tuwima czy kłamliwe od początku do końca przemówienia Józefa Piłsudskiego, całkowicie wyparły ze świadomości społecznej fakty – i tak pozostaje do dziś. Mit „nienawiści, która zabija”, a którą oczywiście zawsze reprezentują „oni”, odżywa, kiedy tylko na podorędziu znajdzie się jakaś trumna do okładania nią wrogiego polskiego plemienia. PiS próbował się odwoływać do niego po tragedii w Smoleńsku i śmierci Lecha Kaczyńskiego; Platforma, wobec posiadanej przewagi propagandowej nieco skuteczniej, wykorzystała do analogicznej politycznej kampanii mord na Pawle Adamowiczu. Wszystko to wynika z wbitego głęboko w polskie mózgi mitu, jakoby pierwszy prezydent RP, Gabriel Narutowicz, zamordowany został w ramach doprowadzonej do szaleństwa politycznej walki, przez zamachowca naśląganego nań przez polityków prawicy czy wręcz – jak wbrew oczywistym faktom śledztwa i procesu kłamał Piłsudski, z właściwym sobie brakiem skrupułów w brutalnym niszczeniu przeciwników – przez wy-

Mit Narutowicza: hucpa stulecia



Prezydent Gabriel Narutowicz FOT. NAC

słannika spisku w tym celu zawiązanego i koordynowanego przez liderów endecji.

MORDERSTWO I KŁAMSTWO

Jak było w istocie? Eligiusz Niewiadomski, zdaniem najwybitniejszego psychiatry owych czasów Maurycego Ursteina (jego poświęcona sprawie broszura z roku 1923, zamilczana w historiografii, jest jednym z odosobnionych głosów rozsądku), był niewątpliwie człowiekiem chorym psychicznie. Fakt, że sąd nie zarządził badań psychiatrycznych, których wynik był zdaniem profesora z góry oczywisty, nazwał Urstein wręcz „mordem sądowym”. Sąd działał jednak pod presją polityki. Ani lewicy, prężącej do wykorzystania śmierci Narutowicza, ani prawicy, próbującej wskazywać okoliczności łagodzące winę mordercy, nie zależało na tym, by Niewiadomski został, jak nakazywałoby cywilizowane prawo, umieszczony

w domu dla obłąkanych. Unieważniłoby to jego czyn i uniemożliwiło skonsumowanie tragedii w gorącej walce o władzę i o „rząd dusz” nad społeczeństwem.

Co do tego, że śmierć Narutowicza uznano za szansę na zmianę układu sił, nie ma wątpliwości: zachowały się relacje uczestników ówczesnych narad, na których Ignacy Daszyński klarował gorącogłowym zwolennikom zemsty i zamordowania w ramach niej politycznych przywódców prawicy, że zemsta wyrównałaby tylko rachunek, podczas gdy obciążenie „piętnem odrażającej zbrodni” endecji zohydzi ją w oczach społeczeństwa i skompromituje na długie lata. Tak się w istocie stało. W pięciu turach głosowania, które wyłoniło prezydenta, hrabiemu Zamojskiemu, kandydatowi prawicy, brakowało do zwycięstwa tylko czterech głosów. Partia Daszyńskiego zaś na 444 mandaty ówczesnego Sejmu

zdobyła tylko nieco ponad 40. Jednak następne wybory były już dla narodowców klęską. Przypisany narodowcom mord był też propagandowym uzasadnieniem późniejszego o cztery lata zamachu Piłsudskiego i do dziś używany jest przez jego biografów do usprawiedliwiania procesu brzeskiego, Berez i innych nikczemności Marszałka.

W istocie, wbrew kłamstwom ówczesnych polityków i dzisiejszych historyków, Niewiadomskiego z endecją nie łączyło praktycznie nic. Przed laty otarł się o jej strukturę, ale – jak wielu patriotów – zerwał współpracę ze „zdrajcami narodowej sprawy” po ogłoszeniu przez Dmowskiego sławnej politycznej analizy, w której ojciec polskiego nacjonalizmu tłumaczył, że aby znaleźć się w przyszłej wojnie w zwycięskim obozie z Anglią i Francją, musimy zawrzeć taktyczny sojusz z ich aliantem, Rosją, licząc na zjednoczenie trzech zaborów w ramach Rosji. W następnych latach namiętny, mistyczny patriotyzm zbliżył Niewiadomskiego do piłsudczyków, gdzie był nawet protegowany do służby w sztabie jednego z legionowych pułków przez samego Kazimierza Sosnkowskiego, najbliższego współpracownika Komendanta.

Patriotyzm oderwany od realiów politycznych, rozumiany jako swego rodzaju religia zbudowana na ubóstwieniu narodu, sprawił, że odzyskanie niepodległości w roku 1918 głęboko Niewiadomskiego (jak wielu podobnych mu romantyków) rozczarowało. Zamiast wyśnionego raju odzyskanego zobaczył „odrażające kupiectwo”, przyziemność, swary i polityczne wojny. W szalonym umyśle zrodziła się myśl, że odzyskanie granic nie wystarczy, jeśli nie dojdzie do „odrodzenia narodu”, to zaś wymaga ofiary. Najwyższej ofiary – z siebie samego. Niewiadomski postanowił ją złożyć podwójnie, jako ofiarę nie tylko życia, lecz także swego honoru oraz dobrego imienia. Aby ściągnąć na siebie nienawiść, potępienie i skazanie na szubienicę, postanowił publicznie, ostentacyjnie zamordować Naczelnika odrodzonego państwa, a następnie zażądać dla siebie kary śmierci. Plan nie powiódł się tylko w jednym punkcie: misja Piłsudskiego skończyła się, zanim Niewiadomski zdołał znaleźć okazję do zamachu, dlatego celem ataku stał się nowo wybrany prezydent. Przy czym dla Niewiadomskiego nie było istotne, kto nim został – gdyby endecja wykazała w historycznych głosowaniach więcej



„IKC” z informacją o procesie i wyroku w sprawie Eligiusza Niewiadomskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

elastyczności, Niewiadomski strzelałby do Zamojskiego albo kogokolwiek innego.

SĄDOWA MOWA SZALEŃCA

Wszystko to wykladał szaleniec najzupełniej otwarcie, w swym trwającym prawie cały dzień wystąpieniu podczas procesu – zapis tej przemowy, która sama w sobie wystarcza do uznania go za wariata bez dalszych badań, zachował się, można go przeczytać, ale nikt się tym nie trudził. Zamiast tego wpisano Niewiadomskiego w polityczny spór, którego obie strony były mu równie wstrętne, i – ponieważ odmówił przyjęcia obrońcy z urzędu i sam żądał dla siebie kary śmierci – skazano go i poddano egzekucji w ekspresowym tempie. Na śmierć przyszedł w bieli, z czerwoną różą w rękę, dopełniając zaplanowanego teatrum „ofiary za naród”, które na wielu zresztą zadziało – mimo oficjalnego potępienia miał przez wiele lat swych wyznawców, celebrujących rocznicę jego „czynu” i „ofiary”.

Karol Zawodziński, zasłużony piłsudczyk i pisarz uhonorowany Wawrzynem przedwojennej Polskiej Akademii Literatury, pisał w roku 1947 dla londyńskich „Wiadomości” redagowanych przez Mieczysława Grydzewskiego: „Wielki kryzys sprzed 25 lat był wyzyskiwany przez żydożerców, ale przeżyty znacznie szerzej przez ludzi, którzy czynem i całym życiem twierdzili, że z nimi ani ich stronnictwem nie mieli nic wspólnego. W swojej istocie był to: 1) wstrząs narodu przebudzonego do rzeczywistości, który skonstatował, że realna Polska nie ma nic wspólnego z marzeniami pokoleń od 150 lat; 2) odruch dumy narodowej, żelaznej tym, że wybór na reprezentacyjne stanowisko odbył się wbrew większości

polskich głosów, więc o najważniejszych sprawach decyduje nie ten naród, który wziął na siebie odpowiedzialność za losy tego zakątka ziemi; 3) jedyny właściwie ruch konserwatywny, antyrewolucyjny, przeciw rewolucji 1918–1922, choć nienoszącej tej nazwy, znacznie większej i głębszej niż obecna. Wszystko to zostało wyrażone z wielkim patosem, pomnożonym przez sytuację podsądnego, oczekującego i domagającego się śmierci w swojej mowie. Ale u wielu, bardzo wielu czytających te słowa jako wspaniałą lirykę obywatelską, patriotyczną antysemityzm nie odgrywał żadnej roli”. Sam redaktor naczelny wtórował mu w tym samym numerze, stwierdzając, że „sprawa Narutowicza nie była tak prosta”, i jako przykład rozterek budzonych przez nią przywoływał „demonstracyjne milczenie” o niej Stefana Żeromskiego.

Z cytowanej tu trzeźwej oceny człowieka jak najdalejzego od stronnictw obwinianych o „zamordowanie Narutowicza” wart szczególnego podkreślenia jest element antysemityzmu. Jeśli nawet Zawodziński przesadził, twierdząc, że nie odegrał on żadnej roli, to na pewno ma rację, że nie odegrał roli decydującej. Niewiadomski nienawidził Żydów, ale – jak wielu ludzi swych czasów – nienawidził ich tak samo, jak Rosjan i Niemców – nie z przyczyn rasowych, ale jako „wewnętrznych zaborców”, naród wysługujący się okupantom, wrogi polskiemu wolnościowemu aspiracjom. Podkreślanie związków ofiary z żydostwem było więc w jego ustach ciężkim zarzutem i obelgą. Jednak wycinane dziś chętnie z obłąkańczej przemowy mordercy frazy w rodzaju „prezydent wybrany żydowskimi głosami, za żydowskie pieniądze” nie były bynajmniej własnością żadnej ze stron politycznego sporu i żadna grupa społeczna ani stronnictwo nie były w całym międzywojniu od takiego myślenia wolne.

Wydawałoby się, że sto lat to wystarczy, aby emocje owych czasów odsunąć na bok i przyjrzeć się historii takiej, jaką była, „sine ira et studio”. Ale polityczna siła okrzyku „mordercy” i przyklejania przeciwnikom „kainowego piętna” okazała się zbyt silna, by zbrodnia sprzed stulecia doczekała się obiektywnego opisu; tak że nie znając jeszcze rocznicowych komentarzy, które się w tym tygodniu w różnych miejscach ukazały, można być z góry pewnym, jak będą brzmieć i jakie polityczne wskazania będą zawierać.



Wojciech Golonka

Każdy z nas ma poniekąd jedną wielką cyfrową kartotekę. Dla kogo? Po co?

Przywykliśmy do tego, że „nas szpiegują”. Znaczy się: że gromadzą o nas informacje, kilobajt po kilobajcie, minuta po minucie, rejestrują każdy drobny ruch w Internecie tudzież parę słów wyszeptanych przez komórkę czy nawet tylko w pobliżu włączonej komórki, która choć pozornie uśpiona, jednak stale czuwa... A że całe nasze życie jest w jakiś sposób powiązane ze światem cyfrowym, każdy z nas ma poniekąd jedną wielką cyfrową kartotekę. Dla kogo? Po co? Nasze cyfrowe odbicie jest cenną informacją pod wieloma względami, wystarczająco cenną, aby ją gromadzić w zawrotnych ilościach przy niemałych kosztach zapisu danych w rozproszonych serwerach, bez litości dla planety, bo przecież te wszystkie pola pamięci cyfrowej nie są obojętne, gdy idzie o ślad węglowy, a postępującej cyfryzacji świata, chcąc nie chcąc, towarzyszy właściwie mu zanieczyszczenie. A zatem informacja cenniejsza od samej ekologii...

I choć raz po raz pojawiają się Snowdeny i inne Assange'e, którzy wyjawiają mechanizmy, owszem, po ludzku zrozumiałe, jednak bynajmniej przyjemne, ukazując skalę i brak skrupułów w inwigilacji naszego „cyfrowego ja”, to w głębi duszy mamy nadzieję, że te giga, tera, peta, exa, zetta, yottabajty danych – a może i więcej? – nie zostaną przeciw nam złośliwie wykorzystane. Poza nachalnymi reklamami, dziwnie trafnie dostosowanymi, jeśli nie do naszych potrzeb, to przynajmniej do haseł, które pojawiają się np. w naszych rozmowach, ponieważ algorytmy sztucznej inteligencji, która to wszystko trawi i mieli, nigdy nie śpią, a danych do obróbki przekazujemy im wystarczająco dużo. Innego zdania i bardziej nieufni są jednak mieszkańcy pewnego kraju położonego w Palestynie i mają, zdaje się, ku temu swe uzasadnione powody.

JEDNOSTKA ASÓW IT

Otóż ostatnio ukazało się przedstawienie o dość sensacyjnym tonie



Eksszpiedzy Izraela

zestawienie portalu MintPressNews na temat wysokiego odsetka – czy aż tak zaskakującego? – byłych członków elitarniej cyberwywiadowczej jednostki Cahalu, którzy po zasłużonej służbie w siłach zbrojnych Izraela robią zawrotną karierę u gigantów branży IT, to jest u tych, którzy już wiedzą o nas wszystko, a chcieliby wiedzieć jeszcze więcej. I na tym zarabiać, i, być może, nas również do pewnego stopnia formatować. Wspomniany portal to wojujący organ prasowy sprawy palestyńskiej, nie tyle więc z góry stronnicy, ile bojowo ukierunkowany, a zatem, siłą rzeczy dość silnie oddziaływujący na swych regularnych czytelników, ale pozostawiający obojętny świat spoza swej galaktyki, jak to bywa w przypadku niszowych mediów, których istnienie często ignorujemy. Ale nad raportem MintPressNews pochylał się o wiele bardziej rozpoznawalny i cieszący się poważaniem amerykański portal Life Site News, powielając główne fakty wspomnianej analizy i stawiając pytania, oprócz wątku możliwej masowej inwigilacji, także o kwestie kontroli informacji tudzież kontrolowanej dezinformacji w sieci, w której mieliby brać udział właśnie giganci IT. Przyjrzyjmy się jednak najpierw faktom, które zostały naświetlone, trzeba przyznać z pewną uzasadnioną dozą sensacji.

8200 to elitarna jednostka izraelskiego wywiadu wojskowego, zatrudniająca

według szacunków aż 80 proc. pracowników tegoż wywiadu – na rok 2016 miało to być ok. 7,5 tys. osób; a przede wszystkim dostarczająca przeszło 90 proc. informacji wytwarzanej przez całą agencję wywiadowczą. Założona w 1952 r., onegdaj wyspecjalizowana w łamaniu szyfrów, zajmuje się ona dziś zbieraniem właściwych dla swych celów informacji – i tych powszechnie dostępnych, i tych szyfrowanych, przechwytyjąc transmisje satelitów, podsłuchując morskie kable podwodne, nie wspominając o bardziej klasycznych podsłuchach i formach elektronicznej inwigilacji. Choć natury wojskowej, to „ósemka dwusetka” jest często i słusznie porównywana, także pod względem swych możliwości, do amerykańskiej cywilnej Agencji Bezpieczeństwa Krajowego (NSA), założonej zresztą w tym samym roku, dla której to pracował, przypomnijmy, Edward Snowden. To najprawdopodobniej 8200 może się pochwalić niewidzialnym złośliwym oprogramowaniem, które spenetrowało irański program jądrowy i uszkadzało wirówki, rozregulowując ich funkcjonowanie; to także ona zhakowała według „New York Timesa” hakerów z firmy Kaspersky wykradających tajne dane USA.

A zatem jednostka asów z informatyki – i rzeczywiście „ósemka dwusetka” ma tę specyfikę, że rekrutuje najzdolniejszych matematycznie i informatycznie



W GAFA

FOT. ANDRZEJ STYCKI

absolwentów izraelskich liceów, a następnie, co jest wyjątkowe w ramach Cahalu, ich służbę wojskową zalicza się im na poczet studiów – w przeciwieństwie do innych poborowych członkowie 8200 po trzech latach służby zasadniczej mają za sobą studia z najwyższej półki, mogące rywalizować z najlepszymi uczelniami na świecie w swej właściwej domenie. Nie dziwi zatem, że absolwenci tej nietypowej „uczelni” dają o sobie znać jako założyciele błyskotliwych start-upów, a także są chętnie zatrudniani przez gigantów z branży IT, mogących należycie wycenić i docenić ich potencjał zawodowy. Pod tym względem raport MintPressNews, który przeszedł profile LinkedIn pracowników GAFA powiązane z jednostką 8200, nie był pierwszy – już w 2007 r. „Forbes” opisywał zawrotne kariery wychowanków izraelskiego wywiadu.

NIC ZA DARMO

Jak to jednak wśród szpiegów bywa, działania jednostki budziły uzasadnioną krytykę, nawet wewnątrz samej agencji. W 2014 r. 43 oficerów i żołnierzy rezerwy z 8200 opublikowało list otwarty na łamach największej izraelskiej gazety, w której odmawiało dalszego udziału w niemoralnej i destrukcyjnej inwigilacji narodu palestyńskiego. Choć ich stanowisko niekoniecznie odzwierciedlało przekonania tysięcy absolwentów jednostki,

to odbiło się ono szerokim echem na świecie. Jeden z anonimowych sygnatariuszy opowiadał, że jednostka zbiera m.in. informacje służące do szantażowania wybranych Palestyńczyków, takie jak orientacja seksualna czy choroby wymagające dostępu do specyficznego leczenia, po to, aby z szantażowanych uczynić konfidentów izraelskiego wywiadu. Oprócz świadomości regularnych postronnych ofiar w ramach najróżniejszych akcji likwidowania wrogów Izraela i ich sprzętu, które nie byłyby możliwe bez oczu i uszu armii, którymi są żołnierze 8200, apelujący wskazywali, że ich praca w rzeczywistości służyła bezprawnej i niemoralnej okupacji sąsiedniego narodu.

Nie chodzi nam jednak o okrajanie Palestyny przez Izrael, co nie znaczy, że ten temat nie jest godny należytej uwagi, a o rzecz następującą: Czy masowe zasilanie przez wychowanków z „ósemki dwusetki” kluczowych firm z branży IT jest powodem do obaw? Trudno przecież zabronić młodym ludziom, aby zaliczywszy pobyt w wojsku, realizowali się zawodowo, tym bardziej że bardzo możliwe, iż i tak obraliby podobną ścieżkę kariery, nie będąc wcześniej w wywiadzie.

Z drugiej strony trzeba pamiętać, że to właśnie ci młodzi izraelscy bogowie IT stworzyli osławionego już aferami Pegasusa, za którego pomocą śledzono bezprawnie każdy ruch w telefonach komórkowych dziesiątek tysięcy polityków i dziennikarzy na świecie. To ich umysły zasilają zatem koncerty, którym już dawno znudziło się samo zbieranie wiadomości o nas i banalne zarabianie na reklamach. Nawiasem mówiąc, nie ma nic za darmo – jeśli serwisy społecznościowe, przeglądarki, systemy operacyjne i aplikacje są za darmo w użytkowaniu, a mimo to posiadające je firmy należą do najbogatszych na świecie, to znaczy, że są one jedną wielką platformą sprzedaży – m.in. sprzedaży informacji o nas. Ale firmy spod znaku GAFA roszczą sobie dziś znacznie większe prawo, mianowicie prawo do formatowania dyskursu publicznego, ba, nawet naukowego, jeśli zważymy, ilu ekspertom nieznani światu fact-checkerzy zamknęli usta w czasie epidemii wirusa celebryty. Byli ludzie wywiadu wojskowego Izraela – i czy na pewno byli: pytanie o odsetek tych ludzi wciąż aktywnych wywiadowczo nie jest bezpodstawne – to zatem także możliwe potężne zaplecze do wywierania wpły-

wu, kontrolowania informacji i narracji dla specyficznych celów, w tym celów politycznych konkretnego państwa, i to nie tylko w kwestii żydowsko-palestyńskiej.

POWODY INDOLENCJI

Nie zamierzam jednak bynajmniej rozrywać po faryzejsku szat tylko dlatego, że młody człowiek, który być może zbierał onegdaj kwity na potencjalnych konfidentów Izraela, ma dziś od ręki dostęp do osobistych informacji i wrażliwych danych praktycznie jakiejkolwiek osoby korzystającej z usług w sieci. Owszem, kwestia możliwości zatrudniania byłych pracowników jakiegokolwiek wywiadu w sektorze biznesowym, a tym bardziej w kluczowych spółkach z branży IT o rozmiarze i wpływach GAFA, powinna zostać w jakiś rozsądny sposób uregulowana, choć nie mam złudzeń, że nikomu do tego się nie pali. Ale jest coś, co każde państwo w pełni suwerenne (czyli po prostu suwerenne) wciąż może zrobić, mianowicie narzucić tego typu spółkom własne reguły gry, nie tolerując bezkarnego w praktyce monopolisty, który nie złożył należytego hołdu lennego rodzimym obyczajom i ustawodawstwu.

Dla przykładu: dosłownie kilka dni temu w Irlandii Komisja Ochrony Danych nałożyła na właściciela Facebooka, tj. firmę Meta, rekordową karę 265 mln euro za wyciek danych 533 mln użytkowników. Otóż nie widzę woli do podobnego podmiotowego traktowania użytkowników GAFA w Polsce, by przypomnieć jakie skasowanie konta Konfederacji przez Facebooka czy wygnanie na wieczną banicję popularnej prawicowej telewizji internetowej wRealu24 przez platformę YouTube (w obu przypadkach są jednak szanse, że godziwość zostanie przywrócona przez polskie sądy).

Pytanie, czy podobna indolencja wynika właśnie z braku pełnej suwerenności, z kompleksu elit politycznych wobec możnych tego świata czy w końcu – czemu nie? – z soczystych kwitków, które pewnego dnia jakiś zdolny szpieg pokroju the beściaków z „ósemki dwusetki” wyszperał naszym decydentom w ramach składania oferty „nie do odrzucenia”. Pewnego dnia PiS odda władzę, usłyszymy wówczas głośne, gdyż opłacalne wyborczo jermiady pod adresem potentatów IT i ich miękkiego, ale realnego cyfrowego Wielkiego Brata. Działać należało wczoraj, najpóźniej dzisiaj – jutro będzie za późno.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wstęp do najnowszej

Nieprzyjaciele nasi, gdy mówią: pokój, pokój, pokój, tam się najbardziej upadku bójmy. Na zabicie było dobrze karmić, ale dobrą strawę śmiercią przytłaczają. [...] Nie dajmyż sobie tym czartom ust zamykać: póki woda do gęby nie dojdzie, nadzieja jest wypłynienia: ale gdy usta napęlni, musimy na dno. Póki kto wołać na złodzieja może, łacno się pomocy dowoła. Najszkodliwiej, gdy za gardło uchwycisz, dławisz, jako chytry wilk owcom czyni, aby z wołania ratunek nie przychodził.

ks. Piotr Skarga, „Kazania na niedziele i święta”, Kraków 1595



Andrzej Nowak

Wojna z dziedzictwem toczy się nie tylko za naszą wschodnią granicą. Jej areną jest również nasz dom, Polska, Europa, cała cywilizacja, która już cywilizacją być nie chce

Wojna i dziedzictwo: najnowsza historia. Co to znaczy? O co tu chodzi? Wojnę, niestety, zaczynamy sobie wyobrażać na nowo nie jako metaforę, ale bardzo konkretnie. Toczy się tuż obok – w starym, można powiedzieć, stylu: z nalotami, czołgami, tysiącami zabitych, spaloną ziemią, strachem i cierpieniem milionów. Imperium najeżdża na sąsiedni kraj.

Choćbyśmy udawali, że tak nie jest – nas ta wojna także dotyczy. I nie powinniśmy zapominać, że możemy być następni...

A dziedzictwo? To coś bliskiego pojęcia ojczyzny. Łukasz Górnicki w XVI w. tak właśnie ją definiował w swoim „Dwo-rzaninie”: „To, co gruntu komu ociec jego zostawił”. Oczywiście dziedzictwo to nie tylko ziemia ani spadek w materialnej formie, choć tych aspektów lekceważyć naturalnie nie wolno. Dziedzictwo (podobnie jak ojczyzna) to również niematerialne, ale jakże ważne elementy tego, co otrzymujemy po przodkach i kontynuujemy, albo też – możemy zmarnować,

wyrzec się tego. To na przykład język, całe bogactwo jego wyrazu, literatury, która powiększała to bogactwo przez wieki, aż – w naszym przypadku – do „Pana Tadeusza” czy do „Łąki” Leśmiana. To również dziedzictwo cywilizacyjne. Można się o jego granice czy najistotniejsze zasady spierać, ale trudno powiedzieć, że go nie ma: że nie ma znaczenia to, co pokolenia dostały w spadku po tradycji grecko-rzymskiej i po tradycji Biblii, a zwłaszcza chrześcijaństwa. Każda wspólnota historyczna dokłada coś od siebie i tworzy partykularne dziedzictwo duchowe, złączone z cywilizacyjnym

Czołg zniszczony w wojnie
na Ukrainie FOT. ADOBE STOCK

historii

i ogólnoludzkim. Żołnierze rosyjskiego imperium niszczą teraz dziedzictwo kulturalne Ukrainy – to jest także bardzo ważna część wojny, którą prowadzą.

Wojna z dziedzictwem toczy się jednak nie tylko za naszą wschodnią granicą. Jej areną jest również nasz dom, Polska, Europa, cała cywilizacja, która już cywilizacją być nie chce. W XVIII w. rozgorzała u nas ta wojna pod hasłem cywilizowania peryferyjnych niedouków z Ciemnogrodu. Tak było w czasie oświecenia, kiedy Wolter – francuski mistrz intelektualistów – usprawiedliwiał, a nawet sławił „cywilizatorskie” wysiłki Katarzyny II i Fryderyka II, wspólnie niosących na bagnietach swoich żołnierzy postęp do „ciemnej” Polski.

PRAWO DO NIEPODLEGŁOŚCI

Od razu też wtedy – trzeba to przypomnieć, kiedy mówimy o naszym dziedzictwie – myśl polska udzieliła jakże mądrej odpowiedzi na tę ideologię. Ksiądz Wincenty Skrzetuski, w swym

niezwykle wówczas popularnym dziele, wydanym w roku 1773 w Warszawie, „Mowy o główniejszych materyach politycznych”, akceptował oświeceniowe zasady pomocy wzajemnej w podnoszeniu poziomu nauk i ogólnej cywilizacji. Odrzucił wszakże występujący łącznie z ową zasadą (nie tylko w XVIII, lecz także w XIX, a nawet jeszcze w XXI w.) nowy sposób usprawiedliwienia imperialnej ekspansji i podporządkowania jednych państw (jako „dzikich”) przez inne („cywilizowane”). Pisał: „Żaden Naród nie ma prawa przymuszać drugich do przyjęcia tego, co ku ich doskonaleniu chce czynić. Byłoby to albowiem gwałt czynić przyrodzonej wolności. Aby przyniewalać kogo do przyjęcia łaski, potrzeba mieć nad nim Zwierzchność; Narody zaś są zupełnie wolne i niepodlegające nikomu. Nauka przeciwna otworzyłaby bramę wszystkim zaślepienia szalonego wściekłościom, y niewyliczonym nienasyconey chciwości pozorom. [...] Jest więc dla Narodów powinność, aby się przykładały

do doskonałości innych, ale mocy przyniewalania nie mają y mieć nie mogą. Podbijanie dzikich Narodów dla onych polerowania, jest pozór równie niesprawiedliwy iak śmieszny”. Każdy naród ma zatem prawo do niepodległości.

W drugiej połowie XVIII w. profesorem szkół Komisji Edukacji Narodowej bronili tego samego prawa przeciw uroszczeniom oświeceniowej racjonalizacji imperialnego panowania i nadzoru. Była ona stosowana, jak wiemy, nie tylko przy podbojach (rosyjskich, francuskich, holenderskich czy brytyjskich) w Azji, Afryce czy w Ameryce. Była także obecna w próbach uzasadniania przez Katarzynę II i Fryderyka II i ich zachodnich służalców ograniczenia suwerenności Rzeczypospolitej – jako „ciemnej dziury” na mapie europejskiego postępu, która ze względu na swój „katolicki fanatyzm” i „przyrodzoną anarchię” musi być poskromiona, a nawet okrojona przez światłych sąsiadów. „Anarchia” (czyli wolność, a także uporczywe trzymanie się zasady niepodległości od potężniejszych i „lepiej wiedzących” sąsiadów) oraz „katolicki fanatyzm” (czyli wierność tradycji duchowej Polski i Europy) – to do dziś najważniejsze elementy naszego dziedzictwa, które są wytykane i piętnowane w wojnie kulturowej, niszczącej polską wspólnotę i europejską różnorodność.

Owa wojna trwała przez cały wiek XIX, kiedy imperialnym sąsiadom udało się Polskę usunąć z mapy, ale zmagali się nadal z jej duchowym dziedzictwem, z polską siłą kulturową, której nie mogli złamać. Nazwę tym zmaganiom zaborców nadał kanclerz Otto von Bismarck w swej kampanii przeciwko polskości i katolicyzmowi jako głównym wrogom odnowionej przez niego Rzeszy: to „kulturkampf”. Taka „walka o kulturę” była prowadzona nie tylko pod pruskim zaborem, lecz także w rosyjskim, a właściwie wszędzie tam, gdzie udało się stworzyć wrażenie, że istnieje nieprzezwyciężona alternatywa: albo polskość (dziedzictwo), albo modernizacja (postęp, czyli wyzwolenie od łańcuchów „starej tradycji”). Opisał to zjawisko doskonale jeden z tych pisarzy, którzy starali się właśnie tę rzekomą alternatywę przezwyciężyć: Bolesław Prus. Autor „Lalki” precyzyjnie analizuje, co się działo, kiedy Polski na mapie nie było, a zaborcy i „modernizatorzy” prowadzili razem swój kulturkampf: „Obok walki z religią katolicką

■ biurokracja toczyła jeszcze zacieklejszy bój z narodowością i patriotyzmem polskim. Nasi szanowni cywilizatorowie zbyt mało posiadali wykształcenia, ażeby zrozumieć, iż jakkolwiek patriotyzm jest lepszy od politycznego nihilizmu. [...] Patriotyzm jest specjalną formą uczuć społecznych, które ludzi spajają ze sobą, każą im zapomnieć o własnym egoizmie, czasem popychają do poświęceń, a w każdym wypadku nieco hamują dzikość i okrucieństwo człowieka, nieco wynoszą go ponad ciasny zakres jego osobistych interesów. [...] Takie to uczucie tępiło u nas za pomocą drwin z historii albo jej fałszowania i za pomocą wreszcie maszyny cenzuralnej” (B. Prus, „Kronika Tygodniowa”, 3 marca 1906 r.).

W tej książce nie wracam jednak do historii XVIII czy XIX w. Nie piszę również o dziejach komunistycznej przemo- cy, która pod wspólnym hasłem „modernizacji”, przezwyciężania „zacofanego” dziedzictwa i „emancypacji” połączyła w XX stuleciu potęgę CzK, NKWD, KGB,

Solidarności, historię najnowszą oznacza czas wyjścia z imperialno-partyjnego systemu ZSRS-PRL-PZPR. Nie tyle częściowo wolne wybory po „okrągłym stole” w Polsce, 4 czerwca 1989 r., ile formalne rozwiązanie ZSRS w grudniu 1991 r. jest tu cezurą najważniejszą. Zbiega się ona ze sformowaniem w Polsce rządu Jana Olszewskiego po pierwszych od czasu II Rzeczypospolitej w pełni wolnych wyborach parlamentarnych. W mojej osobistej historii łączy się ten moment z objęciem zaszczytnej funkcji redaktora naczelnego dwumiesięcznika „Arka” (ukazującej się w podziemiu od roku 1983 pod redakcją Jana Polkowskiego, a już „naziemnie” od 1989 r. pod redakcją Ryszarda Legutki).

To był gorący czas debaty nad tempem i zakresem wychodzenia z sowieckiej strefy dominacji, a także okres „wojny na górze” i sporu o dekomunizację i lustrację. Przeplatały się one z nie mniej gorącym sporem o znaczenie (lub bezsens) polskiego dziedzictwa politycznego

śmy raczej zrzucić co prędzej z naszych barków to niebezpieczne brzemie- nie podległości i znaleźć wreszcie ukojenie w nowym wspaniałym świecie po końcu Historii, pod opieką starszych i mądrzejszych od nas patronów tego świata?

Sięgam do numeru 39.–40. „Arki” z wiosny 1992 r., by przypomnieć pytania, które wtedy stawialiśmy, i zarazem uświadomić sobie, jak blisko są one naszych współczesnych dyskusji i problemów z końca roku 2022. Pytaliśmy wtedy Zbigniewa Brzezińskiego o jego ocenę sytuacji za naszą wschodnią granicą. Odpowiedź (z 29 kwietnia 1992 r.) uderzała w sedno: „Niepodległa Ukraina oznacza faktycznie koniec imperialnego statusu Rosji. Ten status Rosja posiadała od rozejmu w Andruszowie (1667) – zmiana, jakiej jesteśmy świadkami, ma istotnie wielki wymiar historyczny i geopolityczne znaczenie”. Były doradca prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego dodawał do swej trafnej diagnozy nowe „realistyczne” rady: nie powinniśmy opowiadać się ani po stronie Ukrainy, ani Rosji, ani też liczyć na swoje siły czy poparcie Ameryki. W Europie trzeba praktycznie podporządkować się Niemcom.

Na przeciwnym biegunie opinii znajdowała się śmiała wizja, którą w tym samym numerze „Arki” rysował Jacek Bartyzel, odpowiadając również na pytanie o szansę, jakie ewentualnie przed polską polityką wschodnią otwiera rozpad ZSRS. Nawiązywał wprost do wielkiego dziedzictwa jagiellońskiego. Konserwatywny filozof pisał w 1992 r. tak: „Cesarstwo Bałto-Ugro-Słowiańskie ze stolicą w mieście leżącym na skrzyżowaniu historii – we Lwowie – to pomysł na pewno nie gorszy od zgłajchszaltowanej i kosmopolitycznej Europy biurokratów z Brukseli i ze Strasburga, a z pewnością o wiele lepszy sposób takiego »rozmycia linii granicznych«, które nie zatraci niczego, co ztraconym być nie powinno. [...] Pamiętajmy: nie my, to inni”. Dodał jednak trzeźwo Jacek Bartyzel, że „musimy najpierw mieć kanonierki”, czyli zbudować realną siłę militarną, która pozwoli bronić takiej śmiałej konstrukcji przed jej wrogami...

W tym samym numerze inny mistrz konserwatyzmu, profesor London School of Economics Kenneth Minogue, przestrzegał przed „widmem federalnej Europy”. Nie było jeszcze wówczas Unii Europejskiej, komisarzy Timmermansa,

Czy po wyjściu z cienia imperium stać nas na niepodległość? Czy też powinniśmy zrzucić to niebezpieczne brzemie- nie i znaleźć ukojenie pod opieką starszych i mądrzejszych od nas patronów tego świata?

UB i SB (kto nie zna tych skrótów, niech sprawdzi w Wikipedii...) z pracą wspierających ją intelektualistów. Tu chcę jedynie przypomnieć, że bój, w którym uczestniczymy świadomie, albo jesteśmy tylko jego nieświadomymi ofiarami, toczy się od dawna.

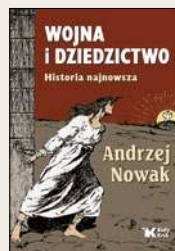
Do dwóch tytułowych pojęć – „wojna” i „dziedzictwo” – dodaję w tym tomie ograniczenie chronologiczne: „historia najnowsza”. To nie jest oczywiście precyzyjne ograniczenie, bo dla każdego historia najnowsza może zaczynać się w innym punkcie – to zależy od czasu i miejsca urodzenia. Dla kogoś urodzonego w roku 2000 w Paryżu historia najnowsza może się zaczynać od serii gwałtownych protestów ulicznych („żółtych kamizelek”) albo od spalenia katedry Notre Dame w kwietniu 2019 r. Dla młodych Ukraińców – choć na pewno nie tylko dla nich – historia najnowsza zaczyna się od ostrej cezury zbrojnej napaści rosyjskiej 24 lutego 2022 r.

Dla mojego pokolenia, rocznik 1960, dwudziestolatków w czasie „wybuchu”

i kulturowego w zachodnim świecie, do którego jak najślusniej chcieliśmy znowu dołączyć. Znowu stawały naprzeciw siebie dziedzictwo (nazywane wtedy przez część polityków i intelektualistów po prostu „polskim piekłem” albo – łagodniej – „nienormalnością”) i modernizacja, znajdująca swój wzór i normę w jednoczącej się Europie.

CZY IMPERIUM NAPRAWDĘ SIĘ SKOŃCZYŁO?

Czy imperium – od 1991 r. znowu oficjalnie nazywające się Rosją – już się naprawdę skończyło? Czy puści tak łatwo nas i swoje wewnętrzne peryferie (republiki ZSRS)? To pierwsze pytanie (geo)polityczne, które się nasuwało wtedy. Mnie przynajmniej, bo akurat sprawy rosyjskiego imperializmu badałem już wtedy od pewnego czasu zawodowo jako historyk. Czy Polska ma tutaj, w swoim położeniu, jakąś szansę samodzielnej roli do odegrania, jakąś misję może nawet? Czy po wyjściu z cienia imperium stać nas na niepodległość? Czy też powinni-



ANDRZEJ NOWAK
„HISTORIA
I DZIEDZICTWO.
HISTORIA
NAJNOWSZA”
BIAŁY KRUK 2022

Jourovej ani von der Leyen, ale uważne spojrzenie filozofa polityki dopatrywało się już tendencji, które dziś dostrzegamy łatwiej, choć równie bezradnie. Niech państwo pozwolą, że zacytuję obszerniejszy fragment tekstu Minogue’a z „Arki” sprzed trzydziestu lat, byśmy przekonali się raz jeszcze, jak ta historia jest rzeczywiście aktualna: „Próby stworzenia zjednoczonej Europy wiążą się z dobrze znanym paradoksem. Najważniejszym zadaniem jest przecież zniesienie przeszkód w handlu, ceł, wielu zarządzeń, praktyk ograniczających konkurencję, rutynowo działających karteli, być może, w pewnych wypadkach także różnic w oznaczeniach, miarach, opisach etc. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że jest to praca jednorazowa. Każda instytucja, która otrzyma tego typu zadania, powinna zostać rozwiązana wraz z ich wykonaniem. Ale wiadomo, że biurokracie nie zwykły same siebie rozwiązywać. [...] Kto rozbroi rozbrajającego? Podstawowy problem polega na tym, czy pozwoli się ludziom dbać o swe własne sprawy, usuwając liczne przeszkody, które niszczyły europejską współpracę, czy też owa współpraca będzie za nich w przyszłości organizowana. [...] Peter Mandelson [brytyjski polityk, w młodości członek Ligi Młodych Komunistów, a w późniejszych latach minister w rządach labourzystów oraz komisarz Unii Europejskiej ds. handlu – przyp. A.N.] powiedział: »Europa... to sposób na wprowadzenie socjalizmu tylnymi drzwiami«. [...] Nie jest łatwa dyskusja z ludźmi, którzy oddali się jednej idei, tym bardziej jeśli jest to idea wielka. Tonu historycznego debacie nadaje teoria »rowerowa«: jeśli integracja nie będzie posuwać się naprzód – to wszystko upadnie”.

W tym samym numerze „Arki” Jeane Kirkpatrick, nominowana przez Ronalda Reagana ambasador USA przy ONZ, reagując na moje pytania o sytuację kulturową w jej ojczyźnie, o stosunek amerykańskich elit intelektualnych do własnego dziedzictwa, wypowiedziała słowa również kuszące, by je przywołać dziś, w tomie opowiadającym naszą najnowszą historię: „W świecie kontrykultury rozgrywa się ciągle czarno-biały spektakl, moralitet, na którego przebieg ekonomiczne i polityczne fiasco kapitalizmu nie ma wielkiego wpływu, liczy się tylko wieczny bunt przeciw kapitalizmowi, przeciw Ameryce przeciętnych Amerykanów”. Wtórował swej koleżance inny ambasador

nominowany przez Reagana (do Komisji Praw Człowieka przy ONZ), a przede wszystkim wielki obrońca wolności Michael Novak. Przestrzegając: „Źródła lewicowej postawy nie wyczerpały się – mimo erozji samego socjalizmu – tworzą je bowiem wspólnie orientacja utopijna oraz klasowa arogancja intelektualistów. Zawsze będą oni pragnąć i bronić systemu, w którym będą mogli zarządzać i kontrolować go w pełni, powołując się na swoje »lepsze kwalifikacje«. Zawsze będą uznawać (niezależnie od tego, jak wiele nagromadzi się dowodów fałszywości tego ich przekonania), że lepiej potrafią kierować sprawami publicznymi i organizować je niż tzw. zwykli ludzie. Ich stała, głęboka nieufność wobec zwykłych ludzi, wobec ich zdrowego rozsądku, wobec ich jednostkowych decyzji oznacza ostatecznie fundamentalną nieufność wobec wolności”.

Novak, Kirkpatrick, a także inni uczestnicy ankiety „Arki” z lutego 1992 r. zgodnie stwierdzali, że koniec tzw. zimnej wojny, upadek ZSRS, nie oznacza bynajmniej zamknięcia zmagania o kulturę, o wolność, o dziedzictwo. Żadnego liberalnego happy endu, żadnego końca Historii nie ma i nie będzie – w dającej się przewidzieć przyszłości. Czeka nas nadal twarda walka. Niezależnie od tego, czy ktoś podziela poglądy przedstawione przez tych autorów, trudno uniknąć wniosku, że ta walka rzeczywiście trwa nadal, a nawet się nasila.

DZIEDZICTWO ZATRUTE

W Polsce po 1989 r. jej temperaturę podnosił jeszcze jeden element sporu o dziedzictwo – zatrute, postkomunistyczne. W 39.–40. numerze „Arki”, który tu wybrałem jako swoisty przewodnik po tematach, które wciąż animują nasze spory, pojawiło się na ostatniej stronie „Oświadczenie” redakcji. Datowane 8 czerwca 1992 r., było odpowiedzią na przeprowadzoną trzy dni wcześniej na nocnej sesji Sejmu operację obalenia rządu Jana Olszewskiego po próbie wykonania ustawy lustracyjnej. Nasze stanowisko wyglądało tak: „[...] Dziś prowadzona jest gigantyczna akcja propagandowa zniesławiania inicjatorów i wykonawców ustawy sejmowej o ujawnieniu byłych współpracowników UB i SB. Możemy przeciwstawić jej tylko nasze pełne

poparcie dla idei odślonienia prawdy, którą – wbrew demagogii jej przeciwników – da się ustalić. Domagamy się konsekwentnego wykonania uchwały lustracyjnej oraz podania do wiadomości publicznej nazwisk i wszelkich okoliczności związanych z tą sprawą. Elementarne zasady bezpieczeństwa państwa i reguły życia publicznego wymagają, aby agenci odeszli z zajmowanych stanowisk. Ża-

damy również objęcia procesem lustracji byłych agentów Informacji Wojskowej (organizacji nie mniej zbrodniczej niż UB i SB). Ponadto oczekujemy podania do publicznej wiadomości nazwisk agentów ze środowisk ponoszących szczególną odpowiedzialność za kształtowanie świadomości społeczeństwa: dziennikarzy i nauczycieli – zwłaszcza akademickich. Dla każdego obywatela domagamy się prawa wglądu do jego osobistej teczeki w archiwach komunistycznej bezpieki. Zgodnie z podstawowym nakazem państwa prawa uważamy wreszcie, że sprawcy niszczenia dokumentacji działalności UB, SB i PZPR nie mogą pozostać bezkarni”.

Dlaczego przypominam tutaj tekst tego „Oświadczenia”? Otóż wydaje mi się, że odegrało ono pewną rolę w historii najnowszej wojny o dziedzictwo. Ujawniło mianowicie, że ona się toczy, że się nie skończyła bezapelacyjnym zwycięstwem tych, którzy ogłosili koniec Historii i swoje ostateczne panowanie nad umysłami w „tym kraju”. Do naszego apelu dołączyło się bowiem błyskawicznie kilkuset wybitnych przedstawicieli środowisk akademickich i kulturalnych. Wśród nich Zbigniew Herbert, Jarosław Marek Rymkiewicz, Marek Nowakowski, Przemysław Gintrowski, Leszek Elektorowicz, Stefania Woytowicz, Jakub Karpiński, Jerzy Łoś, Maria Rzepińska, Jerzy Michalski... Okazało się nagle, jak to ujął jeden z publicystów wszechwładnie panującej wtedy nad umysłami gazety, że „polska czaszka została rozłupana”. Jednak nie wszyscy myślą tak samo. Jednak podział w Polsce i w Europie nie wygląda tak, że po jednej stronie są szlachetni i mądrzy zwolennicy modernizacji i emancypacji od „złej przeszłości”, a po drugiej tylko ludzie „starsi, niewykształceni, mieszkający na wsi”, jak to podkreślano wówczas (i dziś właściwie) z charakterystyczną pogardą.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Bolek Bimberek”

Komunistyczne formacje – Gwardia i Armia Ludowa – nie miały prawdziwych bohaterów. Ale po otrzymaniu władzy przez PPR z rąk Stalina nic nie stało na przeszkodzie, aby ich produkować na masową skalę. Jednym z nich stał się niejaki Bolesław Drabik, zwany potocznie „Bolkim Bimberkiem” (bo pił więcej niż Sowietci), osławiony mordami podczas okupacji. Samozwańczy „porucznik GL” (stopień ten zalegalizowała mu później „władza ludowa”) żył ze swą bandą z pospolitego rozboju. Gwałcili kobiety, nawet własnym „sanitarkom” nie przepuszczał: „Osiejówna przysłała do Sztabu i oskarżyła Drabika o dokonanie na niej gwałtu. [...] Jak można było wierzyć kobiecie, a innym nie dać wiary”. Kobiecie wiary nie dali. Z pisemnych powojennych opowieści jego podwładnych wiemy, czym się osławił: „Drabik polecił Kotlarkowi, Koli Armiaszcze, Wańce Białorusowi i mnie krewnego mleczarza utopić w kadzi mleka, co z przyjemnością uczyniliśmy. Nad realizacją rozkazu czuwał Drabik i trzymał głowę mleczarza w zsiadłym mleku”.

Za takie wyczyny po wojnie, gdyby nastała wolna Polska, stanąłby przed wymiarem sprawiedliwości. A miał ich na koncie bardzo wiele: „Majątek spaliliśmy. Zabraliśmy dość dużo świń, wszystkie krowy i konie, a Drabik z »Kurycą« zabił dziedzica”. Ale nastała Polska komunistyczna – po wejściu Sowietów na Podlasie „Bimberek” (już w stopniu... kapitana) został komendan-

tem powiatowym MO w Siedlcach. Nie zaprzestał morderczego procederu, przeciwnie. Porwał i zastrzelił zasłużonego partyzanta NSZ-AK ppor. Stefana Kossobudzkiego „Sęka”, który miał na koncie wiele wspianych akcji bojowych, w tym m.in. uwolnienie oficerów Komendy Okręgu NSZ-AK Podlasie z więzienia w Siedlcach (12 marca 1944 r.).

„Bimberek” przypisywał sobie wiele akcji partyzantskich i dywersyjnych (w tym wysadzanie pociągów!), które nigdy nie miały miejsca. Po latach chyba już sam uwierzył w takie opowieści, bo mianował się... „Komendantem Dywizji Kolejowej GL-AL”. Utrzymując tę fikcję, produkował komunistycznych kombatanów w ZBoWiD i rozbudowywał szeregi swej wojennej bandy.

„Bimberek” szybko został przez komunistów objęty ochroną (było kilka zamachów na niego, ale je przeżył). Ostatecznie został skierowany do Marynarki Wojennej w Gdyni, gdzie został... wyższym oficerem Informacji Wojskowej (jako komandor podporucznik, czyli major). Bez wykształcenia, bez odbycia normalnej służby wojskowej był przykładem niezwykłego awansu społecznego. „Nie matura, lecz chęć szczerą...”.

Za swe krwawe wyczyny otrzymał najwyższe odznaczenia: Virtuti Militari i Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyż Walecznych, Krzyż Grunwaldu i Krzyż Partyzancki. Zmarł w 1971 r. i został pochowany w Alei Zasłużonych (!) na cmentarzu Witomińskim w Gdyni. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początek legendarnego kabaretu

Początkowo Piwnica pod Baranami miała być klubem dyskusyjnym z wyszynkiem. Ale jej bywalcom szybko przestała wystarczać taka formuła, a w zamian ujawniły się różnice zdań na temat kierunków działalności. Zdarzyło się nawet, że usunięto z Piwnicy Piotra Skrzyneckiego, który chciał stworzyć kabaret. Miał on jednak swoich zwolenników i ciągle „coś motał, tworzył własne koterie, planował, zmieniał plany, przeszkadzał i był przeciw”. W efekcie „dla świętego spokoju przyjęto go z powrotem”.

15 grudnia 1956 r. odbyła się premiera programu kabaretowego, na co bardzo nalegał Skrzynecki. Scenę z drewnianych skrzynek zbił Wiesław Dymny i łącznie pojawiło się na niej dziewięć osób, w tym późniejsze legendy Piwnicy, jak Barbara Nawratowicz czy Krzysztof Litwin. Konferansjerem został późniejszy scenograf, Krzysztof Żrałek, natomiast Skrzynecki musiał się zadowolić rolą obserwatora.

Publiczność składała się wyłącznie ze znajomych, a program był zadziwiającym pomieszaniem abstrakcyjnego humoru, utworów Gałczyńskiego, tekstów prasowych i francuskich piosenek. Poczesne miejsce zajmował esej Leszka Kołakowskiego „Czym jest socjalizm”, który ze względu na zastrzeżenia cenzury nie został opublikowany. Wyrecytowano go w formie

litanii i na wszystkich zrobił ogromne wrażenie. Wieczór zakończył się w stylu paryskiego kabaretu, konferansjer zaczął rzucać krzesłami w publiczność, która z krzykiem rzuciła się do ucieczki.

Następnego dnia Skrzynecki ostro skrytykował twórców i wykonawców. Uznał program za haniebny, a dyskusja przy stoliku w jednej z krakowskich kawiarni zakończyła się stłuczeniem szklanego blatu. Nie wszyscy jednak widzowie mieli podobnie negatywne odczucia i np. Sławomir Mrozek sprawiał wrażenie zafascynowanego, a już wówczas należał do osób o wyjątkowo wybrednych gustach.

Oczarowany był również szef „Przekroju”, Marian Eile, który poświęcił Piwnicy rozkładówkę pisma i zaczął konsekwentnie promować młodych zapaleńców. Do chóru zachwytów przyłączył się także „najbardziej wybredny krytyk w Polsce”, Ludwik Flaszen.

„Ciasno tu i tłoczno – pisał w lutym 1957 r. – że skoroś raz usiadł, nie wstaniesz do końca przedstawienia. Siadasz w płaszczu, bo zimno tu jak na dworze (okno piwniczki nie ma szyb), potem od tłoku robi się u góry gorąco i tylko nogi piekielnie marzną od posadzki”. Flaszen uznał jednak, że dzięki ascetycznym warunkom można skupić się na odbiorze programu, gdyż wygoda rozprasza, a nawet usypia... ©©

FATALNY UPADEK PUTINA?

Kanał „General SWR” na internetowym komunikatorze Telegram ujawnił przykry incydent, który miał się przydarzyć prezydentowi Federacji Rosyjskiej. Władimir Putin miał się przewrócić na schodach i upaść na kość ogonową, co doprowadzić miało do „mimowolnej defekacji”. Tę wiadomość opublikowało wiele światowych mediów. Biuro prasowe prezydenta Putina napisało w tej sprawie do „Newsweeka” i stwierdziło, że to „całkowita nieprawda”. Przypomnij tu chyba można prezydenta Andrzeja Dudę, który w marcu, podczas konferencji NATO, w odpowiedzi na groźby Rosji pod adresem Polski powiedział do Putina: „Jest takie powiedzenie w Polsce, brzydkie zresztą: »Nie strasz, nie strasz...«”.



FOT. REUTERS/RU

LOKAL ODMÓWIŁ CHRZEŚCIJANOM

Metzger Bar and Butchery – restauracja w Richmond (USA) – anulował rezerwację na prywatną imprezę, którą zaplanowała tam chrześcijańska konserwatywna organizacja. Właściele lokalu uznali, że nie mogą obsługiwać ludzi, którzy sprzeciwiają się

małżeństwom homoseksualnym i prawu do aborcji, ponieważ wielu pracowników restauracji „jest członkami społeczności LGBT”. Zdaniem właścicieli personel „czułby się niekomfortowo”.

JAJKAMI W KRÓLA

Brytyjski król Karol III nie ma łatwo. Podczas wizyty w Luton został obrzucany jajkami przez 20-let-

niego studenta (został zatrzymany przez policję). To już drugi taki atak. Kilka tygodni wcześniej król i jego małżonka zostali obrzuceni jajkami podczas wizyty w Yorku. Napastnik – aktywista proekologicznej organizacji troszczącej się o zmiany klimatu – skandował wówczas: „Ten kraj został zbudowany na krwi niewolników”.

ZAMIESZKI Z RADOŚCI

Drużyna Maroka zwyciężyła sensacyjnie na mundialu z Hiszpanią i po raz pierwszy w historii awansowała do ćwierćfinałów mistrzostw. Marokańczycy w wielu miejscach na świecie fetowali to zwycięstwo na ulicach. W Belgii i w Holandii świętowanie awansu przerodziło się w zamieszki i starcia z policją. W Rotterdamie aresztowano 35 osób.

WIĘZIENIE ZA SEKS

Indonezja zaostriżyła prawo. Przyjęty w tym kraju nowy kodeks karny zakazuje seksu pozamałżeńskiego. Za współzycie przed ślubem grozi teraz tam kara roku pozbawienia wolności. I oczywiście dotyczyć będzie to również turystów, którzy udają się do tego kraju. Oprócz kary za seks wprowadzono też karę więzienia za dokonanie aktu apostazji. © Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ile kolan ma pies?

Zagadnienie dotyczące anatomii czworonoga było jednym z pytań, na które odpowiedzi Polacy najczęściej szukali w tym roku za pomocą wyszukiwarki Google. Jeszcze bardziej od liczby kolan u psa Polaków interesowało: „Ile lat ma Putin?”. Trzecie miejsce zajęło zaś pytanie: „Ile czasu trwa izolacja?”. W kategorii „Ile kosztuje?” pytanie „Ile kosztuje test na COVID w aptece?” znalazło się zaś na drugim miejscu.

Rosjanie i ich przywódca swoje piętno odcisnęli również na wynikach wyszukiwania przez Polaków. Wśród najpopularniejszych pytań zadawanych w wyszukiwarce

były choćby takie jak: „Ile kosztuje rubel?”, „Ile kosztuje hrywna?”, „Ile Rosja ma żołnierzy?” oraz... „Ile kosztuje czołg?”, a także „Co to jest SWIFT?”, „Co to jest NATO?” czy „Co to jest sankcja?”.

Wśród wyszukiwanych postaci na pierwszym miejscu w tym roku znalazł się Władimir Putin, a na trzecim prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. Ten ostatni, ogłoszony w ubiegłym tygodniu Człowiekiem Roku 2022 magazynu „Time”, musiał jednak nad Wisłą ustąpić w rankingu... Rafałali.

Szybko rosnąca inflacja w połączeniu z majstrowaniem przez rządzących przy systemie

podatkowym sprawiła, że w wyszukiwarce Google nad Wisłą w roku 2022 dominowały także pytania o to ile kosztuje... baryłka ropy, cukier, tona węgla oraz paliwo. Polacy dociekali też, „Co to jest dodatek osłonowy?”, „Co to jest ulga dla klasy średniej?” czy „Co to jest PIT-2?”. Polacy dociekali też wysokości zarobków kontrolerów lotów.

Globalnie najczęściej szukane było słowo „Wordle” (czyli słownej gry, która stała się hitem Internetu). Na drugim miejscu znalazła się fraza „Indie vs. Anglia”, a na trzecim Ukraina, o którą internauci pytali częściej niż o królową Elżbietę II czy Puchar Świata. Signum temporis... ©



Jeśli dziś środa, to jesteśmy w Rzeszy

W wielkiej akcji niemieckiej policji dokonano przeszukań w 150 miejscach związanych z rzekomymi spiskowcami
FOT. CARSTEN KOALL/GETTY IMAGES



Jan Bogatko z Berlina

Jeśli wierzyć ministrowi sprawiedliwości w Berlinie, Marco Buschmannowi, to niemiecka policja udaremniła obalenie rządu Republiki Federalnej z Olafem Scholzem na czele i powołanie do życia rządu Rzeszy Niemieckiej z księciem Henrykiem XIII Reussem

Operacja przeciwko antyrządowym spiskowcom w Niemczech miała miejsce, jak zwykle, o świcie, w środę 7 grudnia 2022 r. Wyspecjalizowane siły policyjne w sile 3 tys. podjęły przeszukania w 150 obiektach (mieszkaniach, domach, zamkach i magazynach) w 11 krajach związkowych Republiki Federalnej, a także za granicą:

w ekskluzywnym ośrodku narciarskim Kitzbühel (pod Innsbruckiem) w Austrii oraz we włoskim mieście Perugia. Spiskowcy, nazywani zbiorczo „Reichsbürger” (Obywatele Rzeszy), mieli jakoby planować szturm na Bundestag (siedziba niemieckiego parlamentu znajduje się właśnie w gmachu Reichstagu w Berlinie), a po jego zdobyciu ogłosić skład nowego rządu. Jest o tym przekonana reporterka stołecznej gazety „Die Welt” Marie Droste. Twierdzi, że spiskowcami przede wszystkim byli żołnierze obeznani z bronią. Wśród nich – obok księcia Henryka XIII Reussa – znajduje się również była posłanka AfD i równie był członek elitarnych sił Bundeswehry KSK (Kommando Spezialkräfte).

KSIAŻĘ W ARESZCIE

Podobno zakrojoną na szeroką skalę antyterrorystyczną operację niemiecka policja przygotowywała od roku. W jej wyniku w środę o świcie zatrzymano 25 osób podejrzanych o udział w spisku lub sprzyjanie jego przeprowadzeniu.

Jedną z zatrzymanych osób, mianowicie księcia Henryka XIII Reussa, aresztowano i osadzono w areszcie tymczasowym. Zatrzymania podejrzanych dokonała w środę rano policja w Badenii-Wirtembergii, Bawarii, w Berlinie, Hesji, Dolnej Saksonii, Saksonii i w Turyngii. Dalsze przeszukania mieszkań i domów miały miejsce w Brandenburgii, Nadrenii-Palatynacie i w Kraju Saary. W Berlinie policja przeszukała mieszkanie byłej posłanki do Bundestagu z ramienia AfD, Birgit Malsack-Winkemann.

Minister sprawiedliwości w Berlinie, Marco Buschmann, uważa, że członkowie owej antyrządowej grupy (spiskowcy) co najmniej od listopada 2021 r. planowali „obalić aktualny system państwowy w Niemczech i zastąpić go własnym, z grubsza opracowanym przez siebie”. W tym celu – utrzymuje minister – „rozważano użycie środków wojskowych i zastosowanie przemocy wobec przedstawicieli państwa” oraz „chciano popełnić zbrodnie”. Jak na zarzucane spiskowcom przestępstwa liczba areszt-

towań (jeden liczący 71 lat książę Reuss) wprowadzie nie oszałamia, lecz mimo to dowództwo operacji antyterrorystycznej mówi o sukcesie.

Niemiecka policja od dłuższego czasu przysłuchiwała się wypowiedziom księcia Reussa. Już w 2019 r. na pewnym forum w Zurychu miał on powiedzieć, że Niemcy nie są niepodległym państwem. Książę Henryk XIII miał wychwalać porządki panujące w udzielnym księstwie jego przodków (przed 1918 r.) i głosić różne teorie spiskowe, na które wolność słowa w Niemczech nie zezwala.

Książęta Reussowie to stary, szanowany i nadal wpływowy (mimo wygaśnięcia dwu starszych linii) ród byłych udzielnych władców w Niemczech. Należą do niego liczne zamki w Niemczech, a także w Austrii. Książę Henryk XIII rezyduje okazjonalnie w niedużym, neogotyckim zamku myśliwskim Waidmannsheil w Salsdorf nad Soławą (Reussowie byli jednymi z pierwszych niemieckich osadników na ziemiach Serbów łużyckich, gdzie znani są już od schyłku XII w.). Niemieckie władze bezpieczeństwa twierdzą, że „Reichsbürger” korzystają z zamku jako miejsca spotkań swojej pajęczyny. To tu planują oni jakoby kolejne operacje strategiczne przeciwko Republice Federalnej. Na co dzień książę Henryk XIII panuje w swym domu w eleganckiej dzielnicy Frankfurtu nad Menem, w Westendzie. Tam też w środę rano zapukano do drzwi i stamtąd wyprowadzono księcia.

ROSYSKI ŁĄCZNIK

Rzecznikiem książęcego domu Reussów jest książę Henryk XIV (trudno jest się połapać, kto jest kim w tej rodzinie, bo w zasadzie wszyscy jej męscy członkowie mają na imię Henryk na cześć cesarza Henryka VI). Dla księcia Henryka XIV Henryk XIII to „zdezorientowany staruszek”. Rzecznik, broniący honoru (i wpływów) książęcego rodu w Niemczech, ubolewa nad faktem, że jego leciwy krewny to enfant terrible, który uległ teoriiom spiskowym. Książę spiskowiec na własne życzenie już 14 lat temu opuścił związek rodzinny – dodał rzecznik. Jako deweloper w finansowej stolicy Niemiec radzi sobie jednak zawodowo mimo to bardzo dobrze. A w czasie wolnym od pracy? To najbardziej interesuje niemieckie siły bezpieczeństwa. Reuss (i towarzysze) – o tym są przekonane organa bezpieczeństwa – „być może chce restytucji Księstwa Reuss” – jak

pisze „Die Welt”. Czy to dla osiągnięcia tego celu książę Henryk XIII, zdaniem prokuratora generalnego Republiki Federalnej jeden z „prowodyrów grupy Reichsbürger”, stara się doprowadzić do podjęcia rozmów w celu zawarcia traktatu pokojowego ze zwycięskimi mocarstwami w drugiej wojnie światowej? Czy w tym celu książę Henryk XIII nawiązał kontakt z przedstawicielami Rosji? Jaką rolę w tej intrydze odgrywa Vitalia B., obywatelka Rosji?

Prokurator generalny nie posiada na razie informacji, jak Rosja reaguje na pomysł negocjacji w sprawie traktatu pokojowego. Ambasada Rosji w Berlinie dementuje natomiast wszelkie informacje o rzekomych kontaktach z grupami „Reichsbürger” w Niemczech. Rosyjskie agencje prasowe podają oświadczenie ambasady Rosji, cytowane przez niemieckie media: „Rosyjskie biura dyplomatyczne i konsularne w Niemczech nie utrzymują żadnych kontaktów z przedstawicielami grup terrorystycznych i innych nielegalnych jednostek”. Dla Rosji środowiska operacja policji to „niemiecka sprawa wewnętrzna. Zdali sobie sami sprawę z tego, że nie może być tu mowy o ingerencji ze strony Rosji”, jak powiedział w środę agencji Interfax rzecznik Kremla, Dmitrij Pieskow. Tym niemniej rosyjski łącznik wydaje się być interesujący. Toczy się wojna i Niemcy – zdaniem wielu – są w niej stroną, bo i zasady tej wojny są inne niż dotąd, a fronty nie są zdefiniowane do końca.

Określenie „Reichsbürger” jest pojęciem zbiorczym dla wszystkich niezadowolonych z polityki prowadzonej przez Niemcy. „Obywatele Rzeszy” to termin heterogeny. Wspólny mianownik, który ich łączy, to niechęć do państwa. Jej nieformalni członkowie uważają Republikę Federalną za „firmę” prowadzoną przez obce mocarstwa, a jej porządek prawny za nielegalny. Urząd Ochrony Konstytucji (wewnętrzny kontrwywiad) rozciąga nad „Obywatelami Rzeszy” nie zawsze dyskretną opiekę już od roku 2016. Policja zalicza dzisiaj do sympatyków tego ruchu ponad 20 tys. osób. Z tego grona ok. tysiąca to prawicowi ekstremiści. Największe obawy budzi obecność w tym ruchu byłych (i nie tylko) żołnierzy Bundeswehry oraz agitaacja sympatyków spiskowców, prowadzona w szeregach niemieckiej policji.

Aczkolwiek wydawać się może, że afera wokół „Obywateli Rzeszy” ma charakter operetkowy, to jednak z uwagi na

panujące w Niemczech nastroje społeczne władzom wcale nie jest do śmiechu. Koalicyjny „trójkolorowy” rząd Olafa Scholza (SPD) jest u władzy w Berlinie od roku i nie może się pochwalić poparciem ze strony społeczeństwa, do tego dochodzi wojna na Ukrainie, a inflacja i rosnące ceny energii robią swoje.

Z badań opinii publicznej przeprowadzonych przez instytut YouGov na zlecenie agencji DPA wynika, że 66 proc. Niemców jest niezadowolonych, a 33 proc. bardzo niezadowolonych z wyników pracy koalicji socjalistów z lewicowymi Zielonymi i FDP. Tylko 3 proc. jest bardzo zadowolonych z rządu w Berlinie! 64 proc. Niemców posłałoby kanclerza Scholza na wcześniejszą emeryturę, czerwony kanclerz ewidentnie przegrywa w porównaniu z „Mutti der Nation”, Angelą Merkel. Nawet wyborcy SPD woleliby dziś Merkel w fotelu kanclerza! W takiej atmosferze nie dziwi, że strach ma wielkie oczy, nawet jeśli 47 proc. Niemców uważa, że rząd Scholza przetrwa do kolejnych wyborów w 2025 r.

A teraz kilka komentarzy czytelników pod informacjami „Die Welt” o nieudanym zamachu stanu w Niemczech. Myślę, że są one bardzo trafne:

Neunauge: „W związku z tą operacją przychodzi mi na myśl: z armat strzelać do wróbli. Ten rząd się teraz jeszcze bardziej ośmiesza”.

Rolf T.: „Media cieszy taki clown w postaci starego szlachcica. O tym mógłby pisać magazyn »Bunte«... To śmieszne, nadawać tej sprawie taką rangę, zamiast troszczyć się o realne problemy wokół Merkel i lewicowej polityki Niemiec”.

J.O.: „Myślę, że musimy nie od dzisiaj uważać na to, co piszemy”.

Alfred M.: „Czy nie należało raczej skierować te 3 tys. policjantów do pilnowania drogi do szkół?”.

Lugana: „Wow, 25 seniorów i 3 tys. policjantów na służbie w obronie demokracji? Najważniejsze są nagłówki we wszystkich mediach, aby odwrócić uwagę od innych tematów...”.

Xymox: „Dotąd byłem naiwny i nie dostrzegłem zagrożenia. A tu faktycznie mogłoby się zdarzyć, że 25 ludzi obaliłoby rząd i rano obudziłbym się w monarchii.... – Dziękuję, że udało się to udaremnić w ostatniej chwili!”

Jeżeli ktoś do tej pory uważał, że Niemcom brak poczucia humoru, to może teraz zrewidować swój pogląd”.



Maciej Pieczyński

Łatwiej jest walczyć z Rosją na Ukrainie niż zdobyć władzę na Białorusi. Łatwiej jest obalić Cichanowską niż Łukaszenkę. Białoruska opozycja jest wewnętrznie skłócona, nieskuteczna i coraz bardziej radykalna

Biało-czerwono-biała rewolucja z 2020 r. zakończyła się porażką. Wielotysięczne pokojowe protesty, brutalnie tłumione przez służby Łukaszenki, nie doprowadziły do zmiany władzy. Najpopularniejszy przeciwnik „Bački”, bankier Wiktar Babaryka, trafił za kraty jeszcze przed wyborami, do których nie miał szans stanąć. Twarzami opozycji w przededniu wyborów stały się trzy kobiety, w tym dwie żony niedoszłych kandydatów (Swiatłana Cichanouska, Wieranika Cepkała) i jedna szefowa sztabu niedosłego kandydata (Maryja Kalesnikawa, współpracowniczka Babaryki). O prezydenturę walczyła Cichanouska, której Łukaszenka, lekceważąc przeciwnika, pozwolił wystartować. Cepkała wraz z mężem wyjechała za granicę jeszcze przed wyborami. Cichanouska szybko została zmuszona (lub dała się zmusić) do emigracji, ogłaszając się jedynym legalnie wybranym prezydentem Białorusi i kontynuując walkę z Łukaszenką na międzynarodowych salonach. Kalesnikawa została w kraju, czynnie brała udział w protestach, aż podzieliła los swojego byłego szefa.

Na samej Białorusi po kilku miesiącach pokojowe protesty całkowicie wygasły. Cichanouska spotykała się z moźnymi zachodniego świata, głosiła wszędzie, gdzie się da, konieczność obalenia Łukaszenkowskiej dyktatury. Wielu białoruskich opozycjonistów wyjechało do Polski czy na Litwę. Wśród nich byli współpracownicy reżimu, tacy jak były minister kultury Pawieł Łatuszka czy Alaksandr Azarau, który nad Wisłą założył stowarzyszenie BYPOL, zrzeszające byłych oficerów białoruskich służb. Powstała Rada Koordynacyjna, w której skład, obok Cichanouskiej czy Łatuszki,

Rewolucja pożera własne dzieci



Akcja solidarności z Białorusią na Rynku Głównym w Krakowie z udziałem Swiatłany Cichanouskiej. FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

weszła m.in. noblistka Swiatłana Aleksijewicz. Jej celem miało być przygotowanie „transferu władzy” na Białorusi. Rzecz jasna – cel jak dotąd nieosiągalny.

SZOK DLA PRZECIWNIKÓW ŁUKASZENKI

Opozycja nie mogła nie zareagować na inwazję Rosji na Ukrainę, wyprowadzoną również z terytorium Białorusi. To był szok dla przeciwników Łukaszenki, którzy nigdy wcześniej nie byli zadeklarowanymi krytykami Putina. Babaryka opowiadał się za współpracą z Rosją. Capkała u progu wyborów prosił w liście otwartym Putina o pomoc dla opozycji. Cichanouska nazywała go „mądrym człowiekiem”. W wywiadzie, który z nią przeprowadziłem dla „Do Rzeczy” niedługo po wyborach, zapewniała,

że wolna Białoruś będzie „i z Europą, i z Rosją”. Sama biało-czerwono-biała rewolucja nie miała charakteru ani pro-, ani antyrosyjskiego. Ale 24 lutego musiał być przełomem. W marcu Cichanouska na forum ONZ zaapelowała o uznanie Białorusi za państwo „tymczasowo okupowane”. Ogłosiła też powstanie Ruchu Antywojennego, który miałby powstrzymać Białorusinów przed wejściem do wojny. Wezwała rodaków do solidarności z Ukraińcami oraz do niszczenia białoruskiej infrastruktury, wykorzystywanej przez armię rosyjską.

W marcu miało dojść do kilku aktów sabotażu na kolei, przy wsparciu popierających opozycję kolejarzy. W miastach rozrzucono ulotki wzywające do biernego oporu w razie wkroczenia armii białoruskiej na Ukrainę. To jednak

pojedyncze akcje, o których wiadomo głównie z przekazu emigracyjnych opozycjonistów. Natomiast bardzo ważnym i konkretnym ruchem było sformowanie na ukraińskim froncie oddziałów ochotniczych złożonych z Białorusinów. Z Rosją walczą m.in. Pułk im. Konstantego Kalinowskiego oraz pułk „Pahonia”.

KTO JEST PRAWDZIWĄ OPOZYCJĄ

W sierpniu, w drugą rocznicę sfalszowanych wyborów, Cichanouska ogłosiła powstanie gabinetu tymczasowego pod swoim kierownictwem. Nie użyła nazwy „rząd”, aby uniknąć skojarzeń z oficjalnymi władzami Łukaszenki. Cele gabinetu to m.in. doprowadzenie do wolnych wyborów na Białorusi oraz wyprowadzenie wojsk rosyjskich z tego kraju. Teki ministerialne objęli m.in. Łatuszka i Azarau. Rzecz jasna jest to gabinet cieni, na razie bez perspektyw. Jego utworzenie Cichanouska zapowiedziała już 24 lutego, w odpowiedzi na inwazję rosyjską, wyprowadzoną również z terytorium Białorusi. Przez wiele miesięcy jednak tej zapowiedzi nie realizowała, co wywoływało zniecierpliwienie i rozdrażnienie działaczy opozycji. Współtwórca pułku „Pahonia” Wadzim Prakopieu w lipcu wezwał Cichanouską do zrzeczenia się części władzy na rzecz „silnego premiera”. Niezadowolenie z powodu opieszałości niedosłej prezydent wyrażał również Łatuszka, który ostatecznie znalazł się w składzie gabinetu.

Najostrzej Cichanouską krytykowali dawni sojusznicy, a obecnie – polityczni konkurenci w walce o to, kto jest prawdziwą antyŁukaszenkowską opozycją. W maju Waleryj Cepkała i jego żona Wieranika założyli w Berlinie Forum Sił Demokratycznych Białorusi. Wprost oskarżyli Cichanouską o nieskuteczność. Wytknęli jej, że przez dwa lata działalności na emigracji nic nie osiągnęła, nie doprowadziła, wbrew zapewnieniom, do uwolnienia więźniów politycznych. Zdaniem Cepkałów Cichanouska za bardzo skupiała się na wizytach zagranicznych, zaniedbując współpracę zarówno z działaczami opozycji, którzy pozostali na Białorusi, jak i z innymi organizacjami emigracyjnymi. Niedosłej prezydent dostało się również za niedostatecznie ostre potępienie agresji rosyjskiej. Akurat ten zarzut w ustach polityka, który swego czasu prosił o pomoc Putina, jest dość dyskusyjny.

W jednym z wywiadów dla opozycyjnego portalu Zerkalo.io Cepkała brutalnie zaatakował Cichanouską. Przejął retorykę Łukaszenki, pogardliwie odsyłając niedosłą prezydent do „smażenia kotletów”. Stwierdził, że nie ma ona zdolności przywódczych. Przede wszystkim zarzucał jej jednak, że swojej działalności nie konsultowała z nim i jego organizacją. Oskarżył Cichanouską o marnotrawienie pieniędzy, a nawet o to, że za dużo wydaje na drogie ubrania. Kilka razy w wywiadzie minął się zresztą z prawdą, co też wytknęli mu dziennikarze. Stwierdził m.in. wbrew faktom, że sztab Cichanouskiej finansuje telewizję Biełsat. Ponadto zapewniał, że gdyby on dostawał tyle pieniędzy co jego polityczna konkurentka, już dawno obaliłby Łukaszenkę.

Białoruski dyktator może się tylko cieszyć, że rewolucja, która miała go obalić, zamiast tego pożera własne dzieci. W lipcu na łamach portalu telewizji Biełsat spory wewnątrz opozycji skomentował niezależny białoruski politolog Alaksandr Klaskouski. Z gorzką ironią konstatował, że „łatwiej obalić Cichanouską niż Łukaszenkę”. Wśród przyczyn rozłamu wymienił niespełnione ambicje oraz rywalizację o środki finansowe. W obu przypadkach zawiść pozostałych opozycjonistów wywołuje Cichanouska. Nie zabiera ich na spotkania z głowami państw. To ona jest w centrum uwagi, to ona otrzymuje największe wsparcie. Spory dodatkowo podsycają Łukaszenkowskie służby. „Jednak najważniejsza jest sytuacja desperacji i bezsilności, kiedy praca nie daje oczekiwanych efektów. Wtedy zamiast jedności często zaczynają się kłótnie” – twierdzi Klaskouski.

Brak widocznych efektów dotychczasowych działań popycha białoruską opozycję do radykalnych środków. Pokojowe protesty w 2020 r. poruszyły sumienie świata, ale mury, które miały runąć (w nawiązaniu do pieśni Kaczmarskiego, której rosyjskojęzyczna i białoruskojęzyczna wersje stały się hymnami rewolucji), nawet nie drgnęły. Dlatego coraz śmielej mówi się o tym, że Łukaszenkę można obalić jedynie siłą. Dotyczy to nie tylko emigracji, lecz także przeciwników dyktatora w kraju, na co wskazał niedawno niezależny socjolog Filip Bikanow. W sondażu przeprowadzonym w 2020 r. aż 75 proc. respondentów opowiadało się za pokojowymi protestami. Wariant siłowy popierało jedynie 4,5 proc. Latem

tego roku przeprowadzono analogiczne badanie. Obalenie Łukaszenki siłą poparło aż 88 proc. badanych. Oczywiście trudno jednoznacznie ocenić wiarygodność sondażu, ale tendencja wydaje się zauważalna. Pokojowe metody walki z dyktaturą zwyczajnie nie zdały egzaminu.

BIAŁORUSKA ARMIA ANDERSA?

Wadzim Prakopieu zaproponował, by na bazie walczących na Ukrainie oddziałów ochotniczych utworzyć coś na kształt białoruskiej armii Andersa. Oczywiście jej celem byłoby wyzwolenie Białorusi spod dyktatury Łukaszenki. Problem polega jednak na tym, że pułki „Pahonia” i im. Kalinowskiego znajdują się obecnie pod ukraińską komendą. Nie stanowią też, delikatnie rzecz ujmując, poważnej siły militarnej, zdolnej zdobyć władzę w Mińsku. A żeby w ogóle takie plany na poważnie snuć, białoruska opozycja musiałaby mieć poparcie Zachodu. Niemal niemożliwe, aby NATO, zmagające się z problemem wojny na Ukrainie, zdecydowało się na otwarcie kolejnego frontu, tym razem przeciwko Łukaszenkowskiej Białorusi. To zresztą byłby dla Putina i Łukaszenki koronny dowód na agresywne, a nie obronne zamiary Zachodu.

Wreszcie niekoniecznie sami Białorusini takich wyzwoliciele przywitiliby z kwiatami. Radykalizuje się grupa przeciwników dyktatora, a to nie całe społeczeństwo. Według ostrożnych szacunków Łukaszenka wciąż cieszy się poparciem na poziomie 30 proc. Na początku roku niezależny ośrodek Chatham House opublikował wyniki badań, z których wynikało, że podobnie wysokie są notowania Babaryki, podczas gdy na Cichanouską gotowych jest zagłosować ledwie 10 proc. pytanym. Dopiero zsumowane poparcie kilku opozycyjnych polityków dawało wówczas przewagę nad Łukaszenką. Nawet jeśli wyniki nie są do końca miarodajne, to nastrojów rewolucyjnych wciąż nie widać. Łukaszenka najpewniej rzeczywiście cieszy się sporym poparciem. A to w dużej mierze dzięki temu, że na razie nie wysłał wojsk na Ukrainę. Nastroje rewolucyjne wygasły już dawno, a te antywojenne są wśród tradycyjniskłonnych do neutralności Białorusinów bardzo silne. Dlatego dopóki Łukaszenka nie tylko obiecuje, że nie wejdzie do wojny, lecz także tę obietnicę spełnia, dopóty wojny domowej z nim raczej nie zaryzykują. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Włoczyk

Amerykańską prawicę rozgrzewa do czerwoności afera wokół cenzury na Twitterze. Ujawnione e-maile pokazują, ile pracownicy tej korporacji zrobili w 2020 r., by chronić wizerunek Joe Bidena

Elon Musk wiedział, jak podgrzać nastroje. Tuż przed ujawnieniem e-maili czołowych pracowników Twittera z okresu kampanii prezydenckiej 2020 r. Musk wypuszczał kolejne tweety zapowiadające sensację. W ostatnim z nich napisał: „To będzie świetne”. I rzeczywiście, amerykańska prawica dostała żelazne dowody, że Twitter w tamtej kampanii zrobił bardzo wiele, by ochronić wizerunek kandydata demokratów.

E-maile pracowników Twittera opublikował dziennikarz Matt Taibbi, który dostał od Muska wgląd do kluczowych wewnętrznych dokumentów firmy. Z korespondencji wyłania się jednoznaczny obraz: najważniejsi pracownicy Twittera uznali, że należy ocenzurować artykuł uderzający w syna Bidena, a pośrednio także w samego prezydenta. Powodem takiego działania miała być rzekoma obawa o ingerencję rosyjskiego wywiadu w amerykański proces wyborczy.

Cenzurze poddany został artykuł tabloidu „The New York Post” z października 2020 r. opisujący kompromitujące Huntera Bidena e-maile, znalezione na jego komputerze, który trafił w ręce FBI. Doszło do tego po tym, gdy właściciel serwisu komputerowego z Delaware, który dostał do naprawy sprzęt, znalazł na nim niepokojące materiały i oddał go w ręce władz. E-maile, które tam odkryto, od dwóch lat emocjonują prawicowe media, natomiast w mainstreamie wywołują jedynie wzruszenie ramion.

W późniejszym wywiadzie z ABC News Hunter przyznał rozbijającą szczerze, że nie wie, czy to był na pewno jego laptop, ale dodał, że „z pewnością” sprzęt ten mógł należeć do niego. Od tego czasu zarówno dziennikarze mediów kojarzonych z prawicą, jak i z lewicą (m.in. „The New York Times”) potwierdzili, że ujawnione e-maile były faktycznie prawdziwe.



W tekście „The New York Post” opisano, jak Hunter Biden, pracując dla ukraińskiego giganta energetycznego Burisma, załatwił jego kierownictwu w 2015 r. wizytę w Waszyngtonie, podczas której doszło do spotkania z ówczesnym wiceprezydentem Joe Bidenem. Rok później Biden – w administracji Obamy odpowiadał on za kontakty z Ukrainą – wymusił na Kijowie odwołanie tamtejszego prokuratora generalnego, który prowadził śledztwo w sprawie podejrzanego interesów Burismy. Sam Biden senior tak to wspominał w rozmowie z „Głosem Ameryki”: „Powiedziałem: Jeżeli w ciągu sześciu godzin wasz prokurator generalny nie zostanie odwołany, nie otrzymacie pieniędzy. I ten suk...syn został odwołany”.

UKRĘCIĆ ŁEB

Kierownictwo Twittera postanowiło blokować rozsyłanie linku do tekstu „The

New York Post”. Z ujawnionych e-maili jasno wynika, że szefostwo firmy doskonale zdawało sobie sprawę z tego, w jak złym świetle sprawa ta stawia kandydata demokratów. Zresztą Jack Dorsey, poprzednik Elona Muska w fotelu prezesa Twittera, sam ocenił, że jego firma popełniła wówczas wielki błąd i nigdy nie powinno dojść do cenzurowania tekstu „The New York Post”.

„E-maile Twittera są niezwykle ważne, ponieważ potwierdzają to, co zawsze podejrzewaliśmy: management Twittera pracował ręką w rękę z demokratami, by przed wyborami ukręcić łeb sprawie Huntera Bidena – komentował na gorąco znany konserwatywny publicysta Ben Shapiro. – Nie mieli żadnego powodu, by cenzurować ten artykuł. Jak już wiemy, nie była to żadna »rosyjska dezinformacja«”.

Ujawnienie korespondencji pracowników Twittera doprowadziło też do



FOT. SUPA IMAGES/LICHTROCKET/GETTY IMAGES

wrzenia na szczytach Partii Republikańskiej. Donald Trump, który miesiąc temu zapowiedział, że będzie się ubiegał o kolejne cztery lata w Białym Domu, ogłosił w mediach społecznościowych, że e-maile odnalezione przez nowego właściciela Twittera stanowią koronny dowód na to, że wybory w 2020 r. były ustawione. W związku z tym, jak uznał Trump, należy „pozwolić na wypowiedzenie wszelkich zasad, regulacji i praw, nawet tych zawartych w konstytucji”. Tym samym Trump stwierdził, że należy bezzwłocznie przywrócić go na urząd prezydenta USA, ponieważ Biden miał zdobyć władzę w sposób bezprawny. Słowa byłego prezydenta zmroziły nie tylko sympatyków Partii Demokratycznej. Również wśród republikanów widać było obawę przed radykalizacją Trumpa. Dla zdecydowanej większości Amerykanów konstytucja pozostaje swego

rodzaju świętością i otwarte wzywanie do złamania jej, by Trump mógł wrócić dziś do Białego Domu, było dla wielu sympatyków prawicy krokiem za daleko. Republikańscy kongresmeni ogłosili już jednak, że cenzurą na Twitterze zajmą się w Izbie Reprezentantów w kolejnej kadencji, gdy będą tam mieli większość.

Wzięcie pod lupę e-maili ujawnionych przez Muska będzie częścią większego dochodzenia republikańskich kongresmenów, które dotyczyć ma kontaktów Bidenów z biznesmenami m.in. na Ukrainie oraz w Chinach.

„W 118. Kongresie ta komisja będzie badała stan relacji Joe Bidena z zagranicznymi partnerami jego rodziny, a także to, czy prezydent nie działał przypadkiem pod wpływem zagranicznych pieniędzy” – ogłosił po ostatnich wyborach do Kongresu James Comer, republikański kongresmen z Kentucky,

który zasiada w Komisji Izby Reprezentantów ds. Nadzoru.

Wszystko wskazuje więc na to, że czekają nas kolejne sensacyjne doniesienia w sprawie biznesów Huntera Bidena oraz jego ojca.

ZAGINIONE LAPTOPY

Hunter, pracując dla Burismy, zarabiał rocznie milion dolarów. I jak sam szczerze przyznał w rozmowie z dziennikarką ABC News, jego nazwisko, a nie kwalifikacje, było kluczowe dla zdobycia posady w firmie należącej do oligarchy Mykoły Żółczewskiego, który pełnił ministerialne funkcje w czasach prezydentury Wiktora Janukowycza i znany był z bliskich powiązań z Rosją.

Materiały z laptopów Huntera Bidena (drugi został przez niego zgubiony podczas hucznego imprezowania) od trzech lat przynoszą coraz to nowe, kompromitujące informacje na temat syna prezydenta USA. Już nie tylko wiadomo, że zarabiał on ogromne pieniądze dzięki posiadaniu stałego dostępu do ucha taty wiceprezydenta, lecz także ujawniono w ten sposób jego zabawy z prostytutkami i zamiłowanie do eksperymentów z różnymi wysokowymi substancjami. Trudno się więc dziwić, że ambasada USA w Kijowie przestrzegała Białą Dom przed pozwoleniem Hunterowi na rozpoczęcie „kariery” na Ukrainie. Te głosy rozsądku zostały jednak kompletnie zignorowane w Waszyngtonie.

Nie tylko biznesy syna na Ukrainie stanowią dla obecnego głównego lokatora Białego Domu coraz większy problem. Jak ujawnił w 2017 r. „The New York Post”, Hunter Biden miał otrzymywać rocznie 10 mln dol. od jednego z chińskich miliarderów w zamian za usługi lobbystyczne. Chodziło o przedstawianie jego ludzi odpowiednio ważnym amerykańskim urzędnikom. W chińskim wątku pojawia się również Biden senior. W 2013 r. ówczesny wiceprezydent USA pojechał z oficjalną wizytą do Pekinu. Na pokładzie samolotu znalazł się Hunter, dla którego ta wycieczka okazała się niezwykle opłacalna. Syn zastępcy Baracka Obamy poznał wówczas bankiera Jonathan Li, który dwa tygodnie później załatwił mu pracę w radzie nadzorczej kierowanej przez siebie spółki. Możemy być pewni, że od stycznia republikańska większość w Izbie Reprezentantów przeświekli również ten wątek.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jak otruć własny naród?



Maria Kądzilska

Sos sojowy z ludzkich włosów, farbowane sztuczne mięso, makaron z arsenikiem czy śmiertelne mleko dla dzieci – to tylko przykładowe oszustwa spożywcze, z którymi w ostatnim czasie musiało się mierzyć chińskie społeczeństwo

Chińska kuchnia cieszy się popularnością na całym świecie. Smażony makaron z kurczakiem, kaczka po pekińsku czy pierogi wonton można zjeść już niemal wszędzie: od San Francisco przez Madryt, Londyn, Berlin, do Warszawy, a nawet Nowego Sącza. Jedzenie w chińskiej kulturze odgrywa rolę centralną. Pytanie „Jak się masz?” jest często zamieniane na „Czy już jadłeś?”. Wspólne biesiadowanie przy okrągłych stołach suto zastawionych potrawami stanowi sposób spędzania wolnego czasu. Jednak naturalne składniki w tradycyjnych daniach w wyniku umasowienia są zastępowane sztucznymi odpowiednikami. Chińczycy zakochani w pieniądzu chcą mieć wszystko szybko i tanio, czego efektem stają się skandale żywieniowe, które nie przyszyłyby nam do głowy w najmroczniejszej fantastyce.

TRUJĄCE MLEKO

Do dziś kilkadziesiąt tysięcy nastoletnich Chińczyków cierpi na poważne

problemy z nerkami. Wszystko w wyniku przekrętu z września 2008 r., kiedy grupa Sanlu, jeden z głównych dostawców mleka w Państwie Środka, wypuściła na rynek skażone produkty dla dzieci. Firma celowo dodała melaminę do dziecięcego mleka w celu podniesienia w nim ilości białka po tym, jak w 2004 r. kilkadziesiąt dzieci zmarło z niedożywienia w wyniku zbyt ubogiej w składniki odżywcze formuły produktu. Spożycie melaminy spowodowało u niemowląt rozwój kamieni nerkowych, które nieleczono powodowały niewydolność nerek i w efekcie śmierć. Ponad 290 tys. niemowląt zostało otrutych, z czego ponad 51 tys. hospitalizowanych, a co najmniej sześć osób zmarło. U wielu z tych dzieci melamina spowodowała trwałe uszkodzenie nerek. W efekcie chiński rząd wprowadził nowe obostrzenia i procedury w celu zwiększenia bezpieczeństwa produktów mlecznych. Zapadły również surowe wyroki, w tym dożywocie i kary śmierci, jednak skandali żywieniowych

nie tylko nie ubyło, lecz także jest ich znacznie więcej.

Chińczycy są jednym z największych konsumentów sosu sojowego. Nic dziwnego zatem, że producenci usiłowali na nim oszczędzać. W 2004 r. przez niemal wszystkie chińskie stacje telewizyjne przewinął się materiał na temat sosu sojowego wytwarzanego z ludzkich włosów. Śledztwo dziennikarskie wykazało, że tanie sosy były produkowane przy użyciu procesu chemicznej ekstrakcji aminokwasów, podobnego do sztucznie hydrolizowanych sosów sojowych, a następnie po cichu eksportowane do innych krajów. Na pytanie, w jaki sposób powstał syrop (lub proszek) aminokwasowy, producent odpowiedział, że został wytworzony z ludzkich włosów. Były one zbierane w salonach, zakładach fryzjerskich, od barberów i w szpitalach w całym kraju. Na domiar złego materiał był niehigieniczny, zmieszany z prezerwatywami, używanymi szpitalnymi płatkami bawełnianymi czy bandażami. Po tym



FOT. AGENCE STOCK

lokalnym sklepom jako mięso z królika. Zresztą mieszkańcy Szanghaju w tym samym roku mogli się spodziewać wielu niespodzianek po tym, jak ministerstwo bezpieczeństwa publicznego wydało oświadczenie prasowe ostrzegające konsumentów przed zakupem baraniny, która może zawierać mięso ze szczurów, lisów i norek. Należy dodać, że tradycyjnym szanghajskim daniem jest hot pot właśnie z blanszowaną baraniną. Nic dziwnego, że coraz popularniejsze stają się jego wersje wegetariańskie.

Wstrząsający dokument autorstwa Steve'a Chao wyemitowany przez telewizję Al-Dżazira ujawnia skalę uprzedmiotowienia chińskiej gastronomii, która powoli staje się jednym wielkim laboratorium chemicznym. Restauracje nie mają skrupułów w zastępowaniu naturalnych produktów chemicznymi odpowiednikami. Tym sposobem mięso do popularnych pierożków uzyskuje się poprzez pomieszenie dwóch proszków z wodą i dodanie do nich oleju smakowego. Przeprowadzone testy laboratoryjne wykazały w mące obecność formaldehydu. Makaron zagniatą się przy pomocy sztucznych rozpułchniaczy zawierających ołów, kadm, arsenik oraz boraks. Ten ostatni stanowi kłutwę chińskiej kuchni. Przez wiele lat był używany jako dodatek do żywności w różnych produktach spożywczych, a także służył do konserwowania. Można go było znaleźć w makaronie instant, ryżu gotowanym na parze, bułeczkach i wielu innych. Służył on do nadania potrawom twardej, gumowej konsystencji oraz jako środek konserwujący. Substancja została oficjalnie zakazana przez chiński rząd po tym, jak okazała się rakotwórcza. Jedna łyżeczka czystego boraksu może zabić dziecko.

PLASTIKOWE JAJKA

Skala oszustw związanych z jedzeniem jest tak duża, że już trudno odróżnić prawdę od fałszu. Regularnie przez chińskie media przetaczają się historie na temat sztucznych jajek. Ludzie też stale ostrzegają się wzajemnie przed podrabianymi jajkami. Nie ma jednak żadnych oficjalnych rządowych komunikatów w tej sprawie ani wyroków sądowych karzących sprawców. Chińczycy, owszem, produkują sztuczne jajka, ale nie masowo i prawdopodobnie nie w celach konsumpcyjnych, a dekoracyjnych. Tym niemniej gazeta z prowincji Henan podała nawet

przepis na sztuczne jajko: „Przygotuj formę, a następnie wymieszaj odpowiednią ilość żywicy, skrobi, koagulantu i pigmentów, aby uzyskać białko jaja. Alginian sodu pozyskiwany z brunatnic nadaje białku pożądaną lepkość. Następnie dodaj sztuczne żółtko, inną mieszanek żywicy i pigmentów. Po uzyskaniu odpowiedniego kształtu połączenie parafiny, proszku gipsowego i węgla wapnia tworzy wiarygodną skorupkę”.

Koszt produkcji fałszywego jajka stanowi połowę wartości jego naturalnego odpowiednika. Z odpowiednim sprzętem i materiałami jedna osoba może wyprodukować 1,5 tys. fałszywych jaj dziennie. W 2012 r. Yi Junpeng, adiunkt ds. inżynierii biologicznej na Uniwersytecie Nauki i Technologii Henan, udzielał porad, jak rozpoznać fałszywe jajka na straganach. Yi ostrzegł przed jajami, które są zbyt idealnie ukształtowane i gładkie. Powiedział, że prawdziwe jajka mają słaby zapach, czego brakuje fałszywym. Po pęknięciu prawdziwego jajka białko i żółtko szybko się ze sobą mieszają, co nie zachodzi w przypadku jajek plastikowych. O ile białko udaje się świetnie podrobić, o tyle żółtko jest zbyt gęste, jakby w połowie ugotowane. Kwestia fałszywych jajek stała się na tyle medialną sprawą, że zaczęto ją wykorzystywać w polityce zagranicznej. Przykładowo: hinduscy internauci regularnie oskarżają chińskie firmy o eksport fałszywych jajek.

Przykładów wykrytych oszustw spożywczych w Chinach jest bez liku. Do już wymienionych trzeba dodać sztuczny miód tworzony z syropu glukozowego i barwników, sól przemysłową sprzedawaną jako sól kuchenna, pierożki na eksport farbowane metamidofossem, które doprowadziły do furii japońskie kontrole spożywcze, czy metanol w napojach alkoholowych. Chińskie firmy próbują oszczędzać na każdym kroku, a robią to kosztem zdrowia i życia własnych mieszkańców. W wyniku raptownego wzrostu gospodarczego pojawiło się wielu hodowców i producentów żywności, którzy wykorzystują brak odpowiednich kontroli państwowych. Chiński rząd stara się z tym walczyć, ale wciąż słabo sobie radzi z problemem. Przeciętny mieszkaniec Państwa Środka nie ufa krajowym produktom i często woli przepłacić, ale kupić importowane. Jest to szansa dla zagranicznych producentów, również tych z Polski. W końcu jeść trzeba, a plastik nawet dla Chińczyków jest ciężko strawny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

skandalu chiński rząd musiał zakazać wytwarzania produktów żywieniowych z ludzkich włosów.

JAK Z WIEPRZOWINY ZROBIĆ WOŁOWINĘ?

Na przełomie ostatniej dekady Chińczycy stali się mistrzami podróbek jedzenia, dlatego podczas podróży po Państwie Środka należy się wystrzegać wielu sztucznych produktów. Jednym z nich jest wołowina wytwarzana z wieprzowiny zmieszanej z parafiną i solą przemysłową w celu nadania jej innego koloru i smaku. Zresztą generalnie jedzenie mięsa w Chinach stanowi rodzaj sportu ekstremalnego. Ogromnym problemem jest nadużywanie antybiotyków i hormonów wzrostu przez chińskich rolników, którzy często w ogóle nie są kontrolowani przez odpowiednie instytucje.

Może zatem lepsze będzie mięso dzikie niż hodowlane? W październiku 2013 r. z rzeźni w Huai'an niedaleko Szanghaju kocie mięso było sprzedane



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Perfidna perfidia Gazety.pl

Nie po raz pierwszy portal Gazeta.pl podał w wątpliwość stan budżetu polskiego państwa, który przecież – znajdując się w tak znakomitych rękach – nie może nie być w świetnej kondycji. Tym razem jednak uczynił to ze szczególną perfidią, kłamliwie słowa o rzekomo fatalnym stanie polskich finansów wkładając w usta samego szefa rządu Mateusza Morawieckiego, który przecież od lat dogląda ich osobiście, czyli właśnie własnoręcznie.

„Premier Morawiecki organizował spotkania z politykami PiS, by ich przekonywać do spodziewanego porozumienia z Komisją Europejską w sprawie Krajowego Planu Odbudowy” – chwaliła się swoimi rzekomymi ustaleniami Gazeta.pl. „W ich czasie obwiniał Zbigniewa Ziobrę o brak miliardów euro na KPO i podkreślał, że bez tych pieniędzy polski budżet w przyszłym roku zacznie się rozlatywać. [...] W Sejmie Morawiecki po prostu przysiadł się do grupek posłów PiS i w czasie tak zaimprovizowanego spotkania mówił o kiepskiej kondycji finansów publicznych i konieczności wyszarpania z UE miliardów euro na KPO. [...] Agenda Morawieckiego jest prosta: finanse państwa są w złym stanie, bez euro na KPO w przyszłym roku nie damy rady, winny jest Ziobro. [...] Szef rządu w czasie tych rozmów przekonuje posłów, że finanse publiczne czeka katastrofa, jeśli nie uda się odblokować pieniędzy na KPO. – Mówił nam, że jest duży problem z pieniędzmi. Mówił

o obawie o płynność budżetu państwa – słyszymy” – i tak dalej, cały artykuł w tym samym stylu.

A przecież premier Morawiecki, który od lat czuwa nad stanem budżetu – i więcej – całych finansów publicznych Polski – sprawił, że i ten budżet, i te finanse są po prostu wzorcowym wzorem dla całego świata. I pozostając synonimem stabilności, przejrzystości, odpowiedzialności, przezorności – z tych oczywistych powodów – z definicji – są całkowicie wolne od jakichkolwiek zagrożeń.

Zresztą sam premier Morawiecki lubi dużo i szczerze mówić o budżecie i finansach Polski. Niedawno, po przyjęciu przez Radę Ministrów projektu budżetu państwa na rok 2023, oznajmił bez ogródek: „Rada Ministrów przyjęła ambitny budżet na trudne czasy. To jest budżet bezpieczeństwa Polski i polskich rodzin”. A w innym wystąpieniu na ten sam temat dodał: „Dzięki uszczelnieniu systemu podatkowego i naprawieniu finansów publicznych będą pieniądze na wszystkie programy społeczne oraz infrastrukturalne”.

W tej sytuacji ktoś tu „niezwykle oszczędnie gospodaruje prawdą”, czyli najzwyczajniej w świecie nie pisze lub nie mówi prawdy. Albo Gazeta.pl – w perfidny sposób kłamliwe słowa wkładając w usta szefa rządu, albo – co przecież jest niemożliwe – szef rządu – mówiąc nieprawdę o bezpiecznym budżecie Polski publicznej lub mówiąc nieprawdę o zagrożonym budżecie Polski posłom PiS. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Dywersja Timmermansa

Większości komentatorów umknęła wizyta rozpromienionego Fransa Timmermansa na Śląsku. Tymczasem apostoł europejskiego Zielonego Ładu przyjechał do tego wyjątkowo ważnego, również wyborczo, regionu trochę na takiej zasadzie, jak jeszcze do niedawna przyjeżdżali w inne miejsca Polski przedstawiciele władzy: z pieniędzmi. Z lokalnego punktu widzenia to niemałe pieniądze: 3,85 mld euro dla pięciu regionów w ramach Funduszu Sprawiedliwej Transformacji ma złagodzić przejście na Zielony Ład. Czyli m.in. odchodzenie od węgla.

Czy Europejczycy potulnie zniosą kosmiczne koszty zielonej transformacji?

Na dwie kwestie warto zwrócić uwagę. Po pierwsze – Komisja Europejska niejako omija polski rząd, pokazując, że ma ofertę dla regionów, która jest niezależna od funduszy blokowanych z powodu sporu politycznego z Warszawą. Zarazem jednak Timmermans, występując na Stadionie Śląskim w Chorzowie, przypominał o wstrzymanych funduszach z KPO i wyraził nadzieję – doprawdy wzruszające – że rząd wykona w końcu odpowiednie działania, co pozwoli

na odblokowanie tamtych pieniędzy.

Po drugie – jeśli idzie o przyszłość energetyki, górnictwa oraz całego Zielonego Ładu, to jesteśmy w punkcie zwrotnym, niezależnie od tego, że sam Timmermans wydaje się ignorować rzeczywistość. Czy Europejczycy potulnie zniosą kosmiczne koszty zielonej transformacji? Czy w długim okresie opłaca nam się rezygnować z węgla? Skąd Polska weźmie pieniądze na sprostanie wymogom „Fit for 55”, które w 2021 r. analitycy Pekao szacowali na ponad 500 mld euro do 2030 r., czyli ponad 2,3 bln zł? Czy mamy spójną strategię, jak w ogóle w tej sytuacji postępować, gdzie możemy jeszcze zahamować klimatyczne szaleństwo UE albo czy uda nam się wyłączyć z systemu ETS, co proponuje Solidarna Polska? Zdaje się, że panuje tu chaos.

W tym chaosie Komisja Europejska obiecuje pieniądze, które mają popłynąć bezpośrednio do regionów. Tymczasem to, co może brzmieć atrakcyjnie z punktu widzenia władz lokalnych, niekoniecznie musi być korzystne dla państwa jako całości. A przy tym Timmermans posługuje się od dawna uprawianą manipulacją, twierdząc, że dzięki funduszom z UE da się praktycznie zastąpić dotychczasową „niezieloną” gospodarkę tą nową, „zazielenioną”. To oczywiście tak nie działa. Problem w tym, że dla tych kuszących propozycji polski rząd na razie nie zaprezentował żadnej sensownej alternatywy. ©©

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl bf042c25d5



Z Joanną Sakowicz-Kostecką, komentatorką Canal+ Sport, była tenisistką
rozmawia Łukasz Majchrzyk

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Polscy tenisiści pokazują się większą grupą w wielkich turniejach. To już nie są tylko Iga Świątek i Hubert Hurkacz, lecz także Magda Linette, Maja Chwalińska, a u mężczyzn Kamil Majchrzak. Skąd nagle taka zmiana?

JOANNA SAKOWICZ-KOSTECKA: Generalnie za każdym sukcesem polskiego tenisisty stoją jego rodzice. Najczęściej są to rodzice, którzy sami uprawiali sport, niekoniecznie tenis. Sama pochodzę ze sportowej rodziny i wiem, że to bardzo pomaga w rozwoju kariery, bo rodzice wiedzą, jak wiele wyrzeczeń trzeba podjąć, i mogą lepiej pomóc dziecku.

Brzmi, jakby w Polsce nie było systemu szkolenia.

Systemu szkolenia nie mamy i pewnie jeszcze długo nie będziemy mieć. Nie jesteśmy krajem, który ma takie tradycje jak choćby Czechy, które od zawsze miały świetnych tenisistów, choćby Martinę Navrátilovą czy Ivana Lendlą. U nas decyduje głównie determinacja rodziców albo łut szczęścia. W latach 90. pewne sukcesy odnosiły Magdalena Grzybowska i Katarzyna Nowak, ale nie ulega wątpliwości, że to Agnieszka Radwańska przebiła szklany sufit i pokazała, że można wejść na szczyt.

Przez długi czas tenisiści z Polski byli, chcąc nie chcąc, odcięci od świata i stąd brało się w nich przekonanie, że są kimś gorszym. Wyjeżdżaliśmy za granicę, widzieliśmy sprzęt i ubranie naszych rówieśników i od razu czuliśmy się jak szare myszki. Pewność siebie się ulatniała. Sama tego doświadczyłam, a mogę powiedzieć, że miałam, jak na Polskę, bardzo dobre warunki do gry w tenisa. Było to możliwe dzięki wsparciu moich rodziców oraz programu PZT Prokom Team. Obok Radwańskiej Łukasz Kubot, Mariusz Fyrstenberg, Marcin Matkowski i Jerzy Janowicz pokazali, że Polacy, wspierani głównie przez rodziców, mogą osiągnąć sukces w tenisie. Teraz inni próbują podążać ich drogą.

W polskim tenisie brakuje pieniędzy?

Teraz chyba nie jest tak źle pod względem finansowym. Moja córka gra w tenisa i jak jeszcze trochę podrośnie, to się przekonam, czy są pieniądze na wsparcie najlepszych, bo jest w czołówce w swojej kategorii wiekowej. Kiedyś ratował nas program prowadzony przez firmę Prokom, który skupiał najlepszych, polskich tenisistów. Sama byłam jego beneficjentką.

W każdym sporcie powinna być piramida szkolenia, gdzie u podstaw są mistrzowie, jak

Sukces dzięki uporowi rodziców



Iga Świątek z ojcem Tomaszem

FOT. MAREK ZIELIŃSKI/SE/EAST NEWS

Świątek i Hurkacz, a u podstawy tysiące dziewczyn i chłopców. Dużo dzieci garnie się do tenisa?

Nie tak dużo, jak byśmy myśleli. Całkiem sporo trenuje amatorsko. To też dobrze, bo dzięki temu wiele osób się dowiaduje, jak trudna to dyscyplina. Wzrasta świadomość, jak długo trzeba pracować, żeby osiągnąć sukces na gruncie krajowym, a co dopiero międzynarodowym. Po sobie widzę, że nie same dzieci, ale cała rodzina wokół nich podporządkowuje życie tenisowi. Warunki życia w Polsce w ostatnich latach się poprawiły, ale niestety, poważna gra w tenisa jest dostępna dla wybranych. W Warszawie wynajęcie kortu na godzinę kosztuje 140 zł, a do tego trzeba jeszcze doliczyć trenera. Tutaj za porządnego fachowca trzeba zapłacić minimum 100–120 zł za godzinę. Przeciętnego człowieka na to nie stać.

Rodzice Jerzego Janowicza sprzedali sklepy, żeby finansować treningi i turnieje syna.

Z punktu widzenia kariery Jerzego dobrze, że te sklepy mieli, a do tego sami byli sportowcami. W mojej rodzinie odpadają koszty trenera, bo sami ćwiczymy z córką, ale przecież moglibyśmy z mężem robić w tym czasie co innego, zarabiać pieniądze.

Wielkie pieniądze pochłaniają wyjazdy na turnieje, bo żeby się rozwijać, trzeba się pokazywać za granicą. Zresztą nawet w Szczawnie-Zdroju trzeba było zapłacić w hotelu 500 zł za dobę, bo akurat była impreza towarzysząca i brakowało miejsc. Pamiętajmy, że w tenisie juniorskim tylko się inwestuje. Córką za wygranie turnieju dostaje misia i puchar. Turnieje w Polsce czy krajach sąsiednich są i tak relatywnie „tanie”. W listopadzie i grudniu co roku na Florydzie są juniorskie turnieje. Moja córka jest w czołówce w Polsce w swoim roczniku, ale nie stać nas na taki wyjazd. Gdy byłam w jej wieku, to znalazł się sponsor, a bilet lotniczy wygrałam w turnieju, który sponsorowała firma LOT. Pamiętam te emocje. Jednego dnia dzwonił trener i mówił: „Jedziecie”, następnego dnia odwołał te słowa, a jeszcze dzień później zadzwonił z radosną nowiną, bo znalazł się sponsor.

Dlaczego Czesi mają dobry system szkolenia i regularnie wypuszczają w świat świetnych tenisistów? Często są stawiani za wzór.

Tam jest przepiękna historia tenisa, a sama dyscyplina jest na trzecim miejscu w rankingu popularności za hokejem i piłką nożną. W każdym nawet małym mieście są korty i hala do gry w tenisa. Jednym słowem: nie ma problemów z infrastrukturą. Dodatkowo zawodowi

tenisiści część wygranych w turniejach pieniędzy przekazują na szkolenie i dzięki tym funduszom rozwijają się ich następcy. Kiedy oni zaczną odnosić sukcesy, to też będą się dzielili wygranymi. I tak to przechodzi z pokolenia na pokolenie. W Polsce podobnie działał program sponsorowany przez Prokom, dzięki któremu mogłam trenować i grać. My też mieliśmy obowiązek odprowadzania części nagród na specjalny fundusz.

W Polsce brakuje tenisowej infrastruktury?

W Krakowie, gdzie mieszkam, jest fatalnie. Nie mamy żadnego miejskiego ośrodka, w którym mogłaby się szkolić zdolna młodzież z Małopolski, a tej nie brakuje. W czołówce jest wiele dzieciaków z Krakowa, a takiej sytuacji nie mieliśmy od lat. My na szczęście mieszkamy blisko hali AWF i Politechniki. Ceny są spore, bo wszystko drożeje, ale akurat tam są bardzo dobre warunki. Takich kortów jest jednak bardzo mało i żeby mieć moż-

Sama pochodzę ze sportowej rodziny i wiem, że to bardzo pomaga w rozwoju kariery, bo rodzice wiedzą, jak wiele wyrzeczeń trzeba podjąć

liwość treningu, to trzeba dużo wcześniej rezerwować. Gra bardzo dużo amatorów i znalezienie miejsca ok. godz. 16 nawet w wakacje jest dużą sztuką. Monika Schneider, z którą się przyjaźniłam i też rywalizowałam w latach 90., przyjeżdżała do mnie na treningi aż z Siedlec. Potem przeniosła się do Warszawy. Panuje przekonanie, że tenis jest dla bogaczy, więc oni sobie poradzą. Znalezienie sponsora wymaga dużo szczęścia. Trzeba trafić na pasjonata sportu. Podobnie jest w samorządach. Jeśli we władzach jest ktoś, kto kocha tenis, to pojawia się szansa na wybudowanie kortu.

Bogaci rodzice mają większe szanse na to, żeby udźwignąć koszty treningów i wyjazdów. To oni dominują w tenisie?

To działa w dwie strony. Znam wielu zawodników z bardzo bogatych domów, ale to może wpływać na motywację do treningów, bo oni pieniędzy nie potrzebują. W czołówce rankingu kobiet wyjątkiem jest tylko Jessica Pegula, której

ojciec jest multimiliarderem. Rodzina o sportowych tradycjach jest bardzo ważna. Jeśli ktoś nie wie, jak działa sport, to ma trudniej. Z drugiej strony jest Maja Chwalińska. Jej rodzice nie byli sportowcami, ale wspierał ją trener pasjonat.

Znane są też historie „szalonych rodziców”, którzy wywierają ogromną presję na dzieci, wierząc, że miliony dolarów są tuż za rogiem.

To są najczęściej rodzice, którzy nigdy sportu nie uprawiali, ale działają np. w biznesie i myślą, że dwa plus dwa zawsze da cztery. Tak nie jest w tenisie. Tacy rodzice to jednak mały procent. Jeżdżąc po Polsce, spotykam bardzo fajnych ludzi. Najwięcej „szalonych rodziców” jest w najmłodszych kategoriach wiekowych, oni się naturalnie wykruszają. Moja córka gra w kategorii wiekowej 14–16 lat i tutaj ogromna większość to fajni ludzie. Po meczu przybijają piątkę, potrafią pogratulować. To jest naprawdę budujące.

Polscy tenisiści często odnoszą sukcesy w kategoriach juniorskich, a potem znikają. Czemu tak się dzieje?

Jest mnóstwo czynników, ale to prawda, że przejście z wieku juniora do gry wśród dorosłych jest najtrudniejszym okresem. Może to zabrzmieć banalnie, ale najważniejsze jest skupienie się na sobie. Często się porównujemy do rówieśników. Patrzmy, że kogoś pokonał w wieku juniora, a teraz on odnosi sukcesy i pytamy: Czemu nie ja? Tymczasem każdy się rozwija inaczej. Liczy się cierpliwość.

W jakim wieku kończyć się zabawa i trzeba profesjonalizować przygotowania? Powiększać grono współpracowników, dodać współpracę z psychologiem?

Trenując córkę, już teraz współpracujemy z trenerką przygotowania fizycznego. Regularnie korzystamy z usług fizjoterapeuty, ale na miejscu w Krakowie, nie jeździmy razem na turnieje. Prewencja urazów jest bardzo ważna. Współpraca z psychologiem jest kwestią indywidualnych potrzeb. Dobrzy specjaliści mają tak dużo pracy, że trudno jest nawiązać współpracę. Nie szalejmy, warto iść krok po kroku.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Joanna Sakowicz-Kostecka
– komentatorka Canal+ Sport, była tenisistka, która po zakończeniu kariery w 2008 r. została trenerką.

TAK nieWIELE

Pierwszym miejscem mojej pracy po święceniach kapłańskich był Moryń i Dom Pomocy Społecznej prowadzony przez siostry, a w tym domu osoby z niepełnosprawnością intelektualną. Ten dom to moje najpiękniejsze doświadczenie człowieka, jego przyjaźni, miłości.

Do dziś wspominam Rysia, który przychodził godzinę przed Mszą świętą, wybierał wszystkie patyczki i papierki wokół kościoła, a i tak spóźniony wchodził do niego w momencie, kiedy mówiłem kazanie. Oczywiście dlatego, bo to on miał być w centrum uwagi wszystkich. Albo Ania, która bardzo przeklinała, nie tak do kogoś, ale tak do siebie, pod nosem. Kiedyś ją podsłuchałem, gdy tak „rzucała mięsem”.

Głośno powiedziałem: „Aniu nie wolno przeklinać”, a ona na to do mnie: „To nie ja, ja nie przeklinam”. Te jej kłamstwo było takie niewinne, bo odsłaniające prawdziwą ją, tą dobrą Anię. Innym razem spotykam umorusanego od węgla Leszka, do którego mówię: „Dlaczego jesteś taki brudny?”, a on mi na to, że on musi pracować. Dzisiaj mogę powiedzieć, że Leszek to osoba z niepełnosprawnością intelektualną plus ADHD.

Mógłbym tak długo pisać o mieszkańcach tego domu i za każdym razem byłoby to ubogaceniem mojej osoby, mojego życia. Zrozumiałe jest, że wobec takiego obdarowania jestem zobowiązany do pewnego rodzaju zapłaty. Dwa lata temu siostrę dyrektora tego domu poprosiłem o listę prezentów



świętecznych, które mógłbym sporządzić dla jego mieszkańców. Lista zawierała ponad sto rzeczy, o których jedna z naszych wolontariuszek powiedziała, że... to tak nie wiele i tak zostało.

Akcję zbierania prezentów dla mieszkańców DPSów z niepełnosprawnością intelektualną nazwaliśmy TAK niewIELE. Gdy czytamy listy naszych dzieci, ich życzeń do świętego Mikołaja, to włosy nam się jeżą na głowie, bo dowiadujemy się jakie to niesamowite cuda współczesnej techniki są przedmiotem ich marzeń. Niemalże konieczne do szczęścia w dniu Wigilii Bożego Narodzenia.

Marzenia osób z tego domu były zgoła inne, tzn. nie było w nich nic szczególnego, albo inaczej mówiąc, były szczególne przez to, że ich zawartość to tak niewiele tzn. wiatraczek, różowe skarpety, maskotka, grzechotka, koszulka. Rok później wiedziałem, że nie mogę zaprzepaścić tak wielkiego pragnienia, dlatego Fundacja Małych Stópek, którą kieruję, obdarowaniem objęła nie tylko dom w Moryniu, ale i wiele innych, tak że suma prezentów wynosiła już ponad 1200.

Pomyślcie ile jest osób, które na święta pragną tak niewiele. Jestem pewien, że wszystkie tego typu domy w naszym kraju zostaną obdarowane, bo wiele jest wrażliwych serc, które zechcą się przyłączyć się do tej akcji.

Daj tak niewiele, a wiele sam otrzymasz.

ks. Tomasz Kancelarczyk

Fundacja Małych Stópek
ul. Świętego Ducha 9
70-205 Szczecin

nr konta: 13 2030 0045 1110 0000 0231 0120



Choinki w podziękę dla krwiodawców



Zbliżają się święta Bożego Narodzenia i czas ubierania choinki. Honorowi Dawcy Krwi mogą taką choinkę otrzymać od Lasów Państwowych. Wszystkim, którzy 14 grudnia oddadzą krew lub jej składniki w jednym z Regionalnych Centrów Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa, leśnicy podziękują, wręczając świąteczne drzewko

Już drugi raz Lasy Państwowe wspólnie z Narodowym Centrum Krwi przygotowały akcję promującą ideę honorowego krwiodawstwa. Podczas ubiegłorocznej edycji przekazaliśmy 5 tys. świątecznych drzewek Honorowym Dawcom Krwi. Na tych, którzy 14 grudnia oddadzą krew lub jej składniki, znów będą czekały naturalne drzewka. Podobnie jak w ubiegłym roku akcja odbędzie się w ponad 40 punktach w całej Polsce: w siedzibach wszystkich Regionalnych Centrów Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa oraz w kilku innych lokalizacjach. Szczegółowe informacje i mapa, gdzie można oddać krew w ramach akcji,

dostępne są na stronie www.choinkadlazycia.pl.

– Czas świąt Bożego Narodzenia jest wyjątkowy. W rodzinnym gronie usiądziemy przy choince i podzielimy się opłatkiem. Ale nim to nastąpi, możemy podzielić się czymś absolutnie bezcennym – swoją krwią. To najcenniejszy dar, jaki jesteśmy w stanie podarować drugiemu człowiekowi – powiedział Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Krew jest wyjątkowym darem, którego nie można kupić ani wyprodukować.

14 grudnia w każdym Regionalnym Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa oraz w wybranych punktach w kraju czekamy na Ciebie z choinką

Potrzebna jest każdego dnia – codziennie wykorzystuje się ją w sytuacjach zagrożenia życia, jak również w leczeniu niedokrwistości towarzyszącej wielu chorobom, w tym nowotworowym.

Krew jest lekiem, którego nie da się zastąpić żadnym innym – dlatego tak ważne jest, by zdrowe,

pełnoletnie osoby dołączyły do grona Honorowych Dawców Krwi i niosły pomoc pacjentom wymagającym leczenia krwią lub jej składnikami.

Pamiętajmy, że krwiodawstwo to misja i odpowiedzialność. Świadomość uratowa-

Jakie warunki trzeba spełnić, by móc oddać krew i jej składniki

- wiek pomiędzy 18. a 65. rokiem życia,
- waga co najmniej 50 kg,
- w ciągu ostatnich 6 miesięcy nie wykonano akupunktury, tatuażu, przekłucia uszu lub innych części ciała, zabiegów operacyjnych, endoskopowych i innych diagnostycznych badań (np. gastroskopii, panendoskopii, artroskopii, laparoskopii) oraz nie poddano się leczeniu krwią lub jej składnikami.

W dniu oddania krwi

- trzeba być wyspanym i wypoczętym,
- trzeba być zdrowym, nie mieć oznak przeziębienia i nie przyjmować żadnych leków (nie dotyczy to antykoncepcji),
- należy zjeść lekkostrawny, niskotłuszczowy posiłek,
- wypić ok. 2 l płynów, np. woda, soki (w ciągu 24 godzin przed pobraniem),
- ograniczyć palenie papierosów i nie pić alkoholu, również w dniu poprzedzającym oddanie krwi,
- mieć przy sobie dokument ze zdjęciem, najlepiej dowód osobisty.

Czego możemy się spodziewać

Samo pobranie 450 ml pełnej krwi (tyle pobiera się jednorazowo) trwa ok. 10 minut. Jednak zanim oddamy krew, czeka nas wypełnienie ankiety kwalifikującej do pobrania, rejestracja oraz badanie i wywiad lekarski. W sumie wszystkie czynności zajmą nam ok. 40–60 minut.

Więcej informacji jest dostępnych na stronach internetowych: Narodowego Centrum Krwi, Centrów Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa, ogólnopolskiej kampanii społecznej „Twoja krew, moje życie”.



Józef Kubica, p.o. dyrektora generalnego Lasów Państwowych

Skąd się biorą choinki?

Bożonarodzeniowe drzewka, dostępne u leśników, pochodzą ze specjalnych plantacji choinkowych. Lasy Państwowe nie wycinają choinek na uprawach leśnych albo w podszytach. Plantacje choinkowe zakłada się tam, gdzie „zwykły” las nie może rosnąć, np. pod liniami energetycznymi. W wielu nadleśnictwach jest możliwość samodzielnego wyboru drzewka, a nawet można je sobie samemu wyciąć. Dzięki temu, że choinki są wycinane „na bieżąco”, ograniczamy do minimum liczbę nie-wykorzystanych drzewek.

Święta, święta i po świętach. A co z choinką?

Po świętach mamy kilka możliwości, co zrobić z drzewkiem. Firmy zajmujące się odbiorem odpadów mają zazwyczaj wyznaczone dni, kiedy odbierają choinki – wystarczy takie drzewko zostawić przy śmietniku. Możemy także oddać drzewko w Punkcie Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych jako odpad biodegradowalny. Igły i cienkie gałązki możemy wykorzystać także w naszym ogrodzie, wysypując je na rabaty i grządki. Pamiętajmy tylko o tym, by drzewko było pozbawione wszystkich ozdób.

nia komuś życia jest jedną z najistotniejszych wartości honorowego krwiodawstwa, a krew jest najcenniejszym darem, jaki może podarować człowiek.

– Krwiodawstwo to misja i odpowiedzialność. Dzięki krwi ofiarowanej przez wyjątkowych ludzi – Honorowych Dawców Krwi – możliwe jest niesienie pomocy pacjentom, którym krew jest potrzebna do życia. Cieszę się, że Lasy Państwowe kolejny raz wspierają i promują honorowe krwiodawstwo. Świadczy to o wysokiej odpowiedzialności społecznej i wrażliwości na potrzeby drugiego człowieka – podkreśliła Małgorzata Lorek, dyrektor Narodowego Centrum Krwi.

TEST „DO RZECZY”: TELEWIZOR SAMSUNG S95B

Fantastyczna jakość obrazu, idealna czerń, niesamowity kontrast, piękne kolory, bardzo szerokie kąty widzenia, wysoka jasność maksymalna jak na organiczny telewizor, odświeżanie na poziomie 120 Hz oraz zaskakująco dobry dźwięk – to największe zalety przełomowego modelu telewizora południowokoreańskiego producenta.

Wzornictwo jest klasyczne dla telewizorów typu OLED. Smukłe kształty, lekki design z niemal niewidocznymi ramkami, cienka obudowa, która wygląda nieźle nawet od tyłu.

Największą zaletą testowanego telewizora jest jakość obrazu. Szefowie Samsunga wreszcie się złamali i wypuścili na rynek pierwszy telewizor z matrycą QD-OLED. Z założenia ma ona łączyć w sobie najlepsze cechy telewizorów z kropkami kwantowymi (QLED) z zaletami telewizorów organicznych (OLED). Efekt? Rewelacyjny. Już rozumiem oceny tych recenzentów, którzy tuż po premierze pisali o technologicznym przełomie. Obraz w tym modelu zachwyca. Perfekcyjna czerń, nasycone kolory, brak efektu halo, niewiarygodny kontrast, niezwykle szerokie kąty widzenia, wysoka jasność oraz żywy, dynamiczny obraz. Dobrze sprawdza się też powłoka antyrefleksyjna, która sprawnie odbija światło odbijające się od telewizora, likwidując większość irytujących odbłasków. Testowany model oferuje również wsparcie dla HDR 10+, co jest dobrą wiadomością dla fanów kina domowego oraz popularnych seriali z serwisów streamingowych.

Input lag wynosi 9,9 ms, co jest ważne dla fanów gier. Graczy ucieszy również nie tylko dostęp do platformy Xbox Game Pass, lecz także wiadomość, że wszystkie cztery porty w telewizorze to HDMI 2.1, co pozwala na granie w rozdzielczości 4K przy 120 kl./s. Na pokładzie są też zmienna częstotliwość odświeżania (VRR) oraz automatyczny tryb gry (ALLM), a także ultraszeroki widok, dzięki którym gracze mogą zobaczyć więcej (proporcje obrazu to wówczas 21:9 lub 32:9). Są też oczywiście dwa porty USB, złącze Ethernet, wyjście optyczne oraz tunery telewizyjne.

Inżynierowie Samsunga nie zapomnieli również o Apple AirPlay 2 oraz możliwości połączenia z aplikacją SmartThings na Androidzie.

Wady? Na pewno minusem jest brak wsparcia dla systemu Dolby Vision, choć przy tej technologii matrycy nie jest to szczególnie widoczny problem. W przypadku tego modelu innych wad trzeba już szukać nieco na siłę. W ciągu dnia, przy dużych oknach i świetle słonecznym padającym na telewizor czerń może wydawać się nieco szarawa. Dla niektórych minusem może być nowa odsłona systemu Tizen OS, która nie grzeszy szybkością



działania. Trudno również ocenić podatność na wypalanie tego rodzaju matrycy. W dniu premiery tego modelu potężną wadą były też absurdalnie wysokie ceny, ale na szczęście stopniały one już do bardzo rozsądnych poziomów.

Mimo tych minusów Samsung S95B to jeden z najlepszych telewizorów na rynku. Tak wysokiej jakości obraz na razie oferuje obecnie jeszcze tylko jeden producent telewizorów, czyli japońska firma Sony, która również wypuściła w tym roku pierwszą serię z matrycą QD-OLED. Testowany model dostępny jest w dwóch rozmiarach: 55 cali (w cenie 7999 zł) i 65 cali (za 9999 zł). ©© **Jacek Przybylski**



NAJSZYBSZE BUTY ŚWIATA?

Moonwalkers. Tak nazywają się buty, a w zasadzie zasilane bateriami nakładki na buty lub stopy, które umożliwiają poruszanie się pieszo z ponad dwukrotnie wyższą prędkością niż zazwyczaj. Nakładki sprzedawane przez amerykański start-up Shift Robotics są wyposażone w mocne, 300-watowe silniczki elektryczne, które napędzają zestaw ośmiu kółek bardzo mocno przypominających kółka w rolkach, a także w specjalne czujniki monitorujące w czasie rzeczywistym sposób chodzenia użytkownika, dzięki czemu sztuczna inteligencja może odpowiednio dostosowywać pracę silników. Prędkość maksymalna w takich butach wynosi nieco ponad 11 km/godz., a zasięg na jednym ładowaniu wynosi niecałe 10 km. Zanim ruszy się na miasto, trzeba przyzwyczaić się do tego, że droga hamowania podczas technicznie wspieranego chodu może wynieść niemal metr. Cena w przedsprzedaży wynosi 999 dol., czyli równowartość

4,4 tys. zł. Premierę zaplanowano na marzec. Niestety, początkowo można je będzie kupić wyłącznie w USA.

HOKEJOWE ŁYŻWY W WERSJI SMART

Amerykanie stworzyli superszybkie buty, a start-upowcy z Kanady... inteligentne czujniki na łyżwy o nazwie Scorched Ice, które zbierają informacje o ruchach łyżew, kącie nachylenia palców, poziomie przechyłu krawędzi, dynamice jazdy etc. Urządzenie wykorzystuje dane zebrane przez sensory, sztuczną inteligencję i biomechanikę, aby na bieżąco analizować technikę jazdy na lodzie i podpowiadać, co można jeszcze ulepszyć. Cena na jednym z portali crowdfundingowych wynosi 200 CAD, czyli równowartość ok. 660 zł. Premiera zapowiedziana jest na styczeń. ©©

Jacek Przybylski



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Ciechocinek naszych przodków



JACEK KOMUDA

Już w XVI w. ogromną popularnością wśród elity renesansowej Europy cieszyły się wyjazdy zdrowotne do wód. Panował tam klimat swobody obyczajowej. Jak podaje Antoni Mączak w „Życiu codziennym w podróżach...”, w kąpeli „łatwiej niż na suchym gruncie następowało zbliżenie płci; łaźnia kojarzyła się z rozpustą i domem publicznym”. „Panny przedniego stanu – pisał Stefan Pac po pobycie w Baden – kąpią się pospół z mężczyznami, lekko w płótna cienkie, w kitajki się przebrawszy, czym by się podobno nasze Święcie gorszyły; ale tam to ujdzie”.

Gorące źródła uważane były za panaceum na choroby: wszelkie odmiany kamicy, reumatyzm, podagrę, rwę kulszową, paraliż, ślepotę i inne dolegliwości wynikające z niezdrównego trybu życia. Radzono im poprzez długotrwałe kąpiele i picie ogromnych ilości wód mineralnych. Pisarz, myśliciel i filozof Michel

de Montaigne przebywający w uzdrowisku Lukce pił: we wtorek trzy litry wód, w czwartek i piątek tyle samo, w poniedziałek cztery litry, w inne dni po ok. dwa–trzy litry, aby pozbyć się uporczywych kamieni.

Jakie uzdrowiska w pobliżu granic Rzeczypospolitej były najpopularniejsze? W pierwszym rzędzie wymienić należy Cieplice na Śląsku, obecnie część Jeleniej Góry. Rokrocznie przyjeżdżały tam tłumy szlachty i wielkich panów, podobnie jak dziś do Ciechocinka. W 1687 r. przybyła tam np. królowa Marysieńka. Przyjechali za nią Radziwiłłowie – Karol Stanisław i Jerzy Józef; zachęcony przez matkę kąpał się w termach królewicz Jakub Ludwik Sobieski. W ogóle było to miejsce zdomino-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

wane przez Polaków. Z ok. 1677 r. pochodzi zresztą pierwszy opis tego miejsca sporządzony przez Teodora Billewicza, który przybył tutaj w ogromnym orszaku Michała Kazimierza Radziwiłła. W 1736 r. gościł w Cieplicach wojewoda ruski Aleksander Czartoryski, załamany po porażce ulubionego króla Stanisława Leszczyńskiego zmuszonego do abdykacji. Pod koniec XVIII w. do Cieplic przybył Hugo Kołłątaj, do którego dołączyli kasztelanowie: Maciej Radziwiłł i Andrzej Ogiński.

Kolejnym popularnym uzdrowiskiem stał się Karlsbad w dzisiejszych Czechach (dziś Karlowe Wary). W gorących wodach płał się tutaj w 1683 r. kanclerz wielki litewski Krzysztof Pac; natomiast wielu Polaków wybierało położone nieco bliżej, nad granicą saską Teplice (Cieplice). Pod koniec XVII stulecia zjechała się tutaj elita Wielkiego Księstwa Litewskiego – przede wszystkim Pacowie – biskup wileński Mikołaj Stefan, hetman litewski i wojewoda wileński Piotr Michał. Tutaj zmarł w 1700 r. jezuita Adam Kochański, leczący się z paraliżu, autor prac z dziedziny mechaniki, pochowany w miejscowym kościele, i Michał Zabiełło, ostatni dowódca wojsk litewskich w wojnie 1792 r., który stracił zdrowie i majątek na licznych hulankach.

Idąc dalej, ku południu, ogromnie popularnym uzdrowiskiem było Baden pod Wiedniem. Tutaj przyjeżdżał w bólach, gnębiony kamicą nerkową król Władysław IV,

który pozbył się wielu dolegliwości związanych z reumatyzmem i podagrą. Przebywał na leczeniu w 1638 r., a więc będąc już królem Polski, a pobyt połączył z polityką. Spotkał się bowiem z cesarzem Ferdynandem III, od którego usiłował uzyskać pomoc w sprawie zwolnienia zatrzymanego we Francji brata Jana Kazimierza i zabezpieczyć w posiadłościach śląskich niewypłacone przez Habsburgów posagi ich księżniczek wydanych za polskich Wazów. Przyjazd króla był okazały, bo towarzyszył mu orszak złożony z 1,3 tys. dworzan i sług. Po drodze odbywały się paradne wyjazdy do miast, polowania, uczty i audyencje, mieszkańcy stawiali bramy triumfalne na powitanie monarchy.

WBaden Władysława leczono, podając mu do picia wodę mineralną i stawiając bańki. Kuracjuszy zakwaterowano w połączonych kamienicach przy rynku, dwór zaś bawił się na ucztach i polowaniach. Zachodzono do lokalnych magnatów i oczywiście bawiono się w politykę. Z późniejszych sławnych Polaków odwiedzających to miejsce zapisali się w pamięci potomnych: kasztelan wileński Maciej Radziwiłł i bp Ignacy Krasicki, którego poddano kuracji polegającej na... 29 kąpielach leczniczych w ciągu dnia.

Z wyjazdami do wód wiązały się liczne skandale obyczajowe i towarzyskie. W 1773 r. do belgijskiego Spa przybyła Izabela Czartoryska w towarzystwie męża i dwóch kochanków. Księżna romansowała z francuskim księciem, diukiem de Lauzun i byłym ambasadorem rosyjskim w Warszawie Mikołajem Repninem. Związek ten szybko za zmienił się w trójkąt, kiedy do uzdrowiska przybył hetman Klemens Branicki, także zakochany w Izabeli. Nic więc dziwnego, że leczący się w tym miejscu ks. Grzegorz Piramowicz napiętnował Spa jako jaskinię hazardu i rozpusty. ©





ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

FOT. ADDE STOCK



To pytanie najczęściej zadają dzieci, kiedy święta tuż-tuż... Właściwie nie ma ściśle określonego czasu, kiedy choinkę należy ubrać, niektórzy robią to dużo wcześniej, tak aby nacieszyć się atmosferą świąt, inni ubierają dopiero w dniu Wigilii. Dla większości z nas święta Bożego Narodzenia kojarzą się przede wszystkim z pięknie przyozdobioną choinką. Choć tradycja ta nie jest chrześcijańska, bo wywodzi się z protestanckich Niemiec, a wcześniej pochodziła z celtyckiej Brytanii, to doskonale przyjęła się w tradycjach katolickich świąt Bożego Narodzenia dzięki akceptacji Kościoła. Przecież wszyscy kochamy choinkę, którą tradycyjnie jest udekorowane iglaste drzewko – zazwyczaj sosna albo świerk, niegdyś ozdoby były ręcznie wykonane, były też nimi orzechy czy suszone owoce. Jest symbolem, wedle myśli ludowych, płodności, życia i odrodzenia się natury w czasie przesilenia zimowego.

Do Polski zwyczaj ubierania drzewka przywędrował wraz z zaborem pruskim w okresie XVIII–XIX w. i doskonale przysła się w wyższych sferach, a dopiero później wśród ludności z niższych sfer. I tak w zależności od regionu naszego kraju na początku, jeszcze przed przyjęciem tradycji ubierania choinki, w domu ustawiano „diducha”, czyli snop z kilku rodzajów zbóż z ostatnich zbiorów przyozdobiony różnymi dekoracjami, który trzymano aż do święta Trzech Króli, po czym oficjalnie spalano. W niektórych regionach Polski, np. w górach, był stary zwyczaj wieszania choinki do góry nogami i przyozdabiania różnymi jadalnymi smakowitościami. Niegdyś

SIOSTRY GOTUJĄ

Mamo, kiedy ubierzemy choinkę?

bombki były drogie, zazwyczaj w domach było ich tylko kilka sztuk i były przechowywane w specjalnych drewnianych skrzynkach przykryte sianem, dbano o nie z należytą starannością. Dlatego tak popularne były ozdoby ręcznie robione, papierowe wycinanki, łańcuchy, kokardy czy ozdoby z piernika, no i oczywiście światełka, które zgodnie z tradycją miały odganiać zło.

Przepis na pierniczkowe ozdoby choinkowe

- 2 szklanki mąki pszennej
- 2/4 szklanki miodu • 1/2 szklanki cukru brązowego

Przyprawa do piernika

- 1 łyżeczka sody • skórka z cytryny • 150 g masła • opakowanie cukru waniliowego • 2 łyżki kakao

W rondlu rozpuszczamy masło z cukrem i miodem, tylko do podgrzania, dodajemy przyprawę: cukier waniliowy, kakao, sodę. Następnie studzimy wszystko, dodajemy do mąki, wyrabiamy ciasto, odstawiamy na ok. 30 min, następnie rozwałkowujemy na grubość 1 cm i wycinamy foremkami kształty, słomką do napojów robimy dziurkę, tak, aby potem przewlec wstążeczkę. Pieczemy w temp. 170 st. C ok. 10–15 min. Ozdabiamy lukrem.

Przepis na lukier:

- 15 łyżek cukru pudru • 2 łyżki gorącej wody • 2 łyżki soku z cytryny

Wszystko energicznie mieszamy. Aby dodać kolor, do lukru możemy użyć gotowych barwników spożywczych lub soku z tartego buraka. ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Szkoła niań

Znalezienie opiekunki do małego dziecka spędza sen z oczu młodym rodzicom. Mama idzie do pracy, babcia nie jest blisko, nie może lub nie chce. Powierzyć największy skarb obcej osobie to wyzwanie. Jak jej zaufać? Na studiach pracowałam jako au pair we Francji, podobnie jak wiele koleżanek z roku. Moje doświadczenie z dziećmi było wówczas zerowe, właściwie więcej sama się wtedy nauczyłam, niż wniosłam przez te kilka miesięcy spędzonych u zamożnych francuskich rodzin. Na plaży w Deauville, gdzie spędzaliśmy wakacje, obserwowałam koleżanki po fachu: w ubraniu służbowym, użerające się z bachorkami panie w średnim wieku w biało-niebieskich fartuszkach w paski, umownym stroju personelu ludzi bogatych. Mnie fartuszek oszczędzono, mogłam być po cywilnemu.

Dzisiejsi bogacze, jak sądzę, nie wzięliby już takiej amatorski, którą byłam, dzisiaj mają do dyspozycji usługi opiekuńcze wysoce profesjonalizowane, a można powiedzieć nawet luksusowe. Oto Norland, Oksford dla niań, pierwsza uczelnia kształcąca opiekunki. Studia trwają trzy lata, w programie zajęcia teoretyczne i praktyczne w zakresie wiedzy od zera (wieku dziecka) do lat kilkunastu. Wśród nich: rozwój mózgu, pierwsza pomoc oraz doświadczenie prawdziwie survivalowe – 25 godzin spędzonych przy porodzie i w pierwszej dobie po urodzeniu dziecka.

Na czwartym roku studentki odbywają roczny, płatny

staż pracy w rodzinie i z dzieckiem. Dopiero po nim dyplom. Nauka w tej uczelni kosztuje 16 tys. funtów dla obywaterek UK i 18 tys. dla cudzoziemek. Jaka pensja potem? Tej informacji brak, ale podejrzewam, że nie jest z tym najgorzej. Absolwentką Norland jest Hiszpanka Maria Teresa Turrion Borralló, opiekunka dzieci księcia Williama, księcia George’a, Charlotte i Louisa. Pracuje z nimi od ośmiu lat.

Jako namiętna czytelniczka wspomnień ludzi z pokolenia urodzonego pod koniec XIX w. i na początku XX w. naczytałam się o wspaniałych nianiach. Były kochane przez dzieci, szanowane i doceniane przez pracodawców, a gdy się zestarzały i same wymagały opieki, dostawały ją od wdzięcznych wychowanków. Jak niania siedmiorga dzieci Teresy i Romana Czarotoryskich z Konarzewa. Po wojnie nie było pałacu ani pieniędzy, ale z ukochaną nianią byli do końca jej dni.

Jestem pełna uznania dla wykształconych, fachowo przygotowanych opiekunek, które kształcą się w Norland, ale zastanawiam się, czy tam uczą także serca i oddania. Ale może, studiując program tej akademii, przeoczyłam jakiś przedmiot... ©



FOT. NORLAND COLLEGE LIMITED



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Medycy w paczkach

Po Polsce krążą listy lekarzy. Jedną można nazwać poznańską, drugą – gdańską. Na tych listach znajdują się upakowani medycy, których ma – zbiorowo – osądzić dana izba lekarska. „Lista poznańska” jest krótsza – 19 nazwisk, „lista gdańska” – 52 nazwiska.

Masowe procesy, gdy sprawę załatwia się hurtowo, to tradycja reżimów totalitarnych. Można to było zobaczyć na chińskich stadionach i sowieckich kazamatkach. Sprawę załatwia się od razu, wina jest równa. Tak mamy i teraz. Za co ich będą sądzić? Za podpisanie listu nawołującego władze do pozostawienia decyzji o zaszczepieniu samym zaszczepionym. Przestępstwo, jak widać, poważne.

Kto będzie sądził te zestawy lekarzy? Znowu analogia do sowieckiej praktyki – „trojka”. Tak, trzech lekarzy będzie sądziło, w przypadku Gdańska, 52 podsądnych. Żaden z „sędziów” nie ma jakiegokolwiek tytułu naukowego, za to wśród oskarżonych wielu doktorów medycyny i profesorów. No i... jeden nieboszczyk, ponieważ wezwana dr Staszewska już dawno nie żyje.

Decyzję o ułożeniu podsądnych w paczki i rozparcelowaniu po Polsce podjął Naczelny Sąd Lekarski w Warszawie i dzięki temu np. dr Osiniak, ze względu na „ekonomikę procesową”, będzie dojeżdżał z Rzeszowa do Gdańska.

Niektórzy myślą (mają nadzieję?), że to już po COVID. Chciałem więc wyprowadzić z błędu. Pandemia istnieje do tej pory, do kiedy szykanuje się ludzi, którzy walczyli o rzeczy podstawowe – prawo pacjenta do leczenia, do własnych decyzji na temat swego zdrowia. W końcu to walka o uratowanie resztek etosu zawodu lekarza. Teraz i tak nieliczni ludzie (co jest hańbą zawodu medycznego) będą sądzeni przez własnych kolegów. Ba – dr Martyka, fachowiec od chorób zakaźnych, będzie sądzony na osobnej sprawie, w której ekspertem jest lekarz pediatra, po trzytygodniowym pobycie na oddziale zakaźnym, znany z tego, że nie wychodzi ze studia telewizyjnego, ekscytując (chyba już tylko dziennikarzy i panikarzy) swymi rewelacjami o stosach trupów przy każdej przepowiadanej przez siebie fali. Ekspert, który mylił się za każdym razem.

System nie zapomina i choć już dawno po wojnie, to wciąż wysadza pociągi powrotu do normalności. Nauka ma pójść w świat, by potencjalni naśladowcy sobie zapamiętali. Żle to świadczy o środowisku lekarskim. I to nie dlatego, że atakują swoich. To już nie są swoi lekarze. Tych się broni do końca, najczęściej ukrywając ich pomyłki. Tych, którzy zawalczali o resztki szacunku do powołania lekarskiego, sądzi się za to, że wypełniali swoje posłannictwo. Pakuje się w zestawy, wiąże w paczki podsądnych i sądzi w „trojkach”. Co za czasy... ©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

W obronie dr. Martyki

W historii dr. Zbigniewa Martyki widzę ślady archetypicznych opowiadań o bohaterach, którzy odważnie stają wobec zła. Choć dysproporcja sił jest ogromna i wydaje się, że bohater nie ma szans, to staje on jednak na ubitej ziemi.

Jakie aktywa miał dr Zbigniew Martyka, kwestionując zasadność zarządzeń epidemicznych po ogłoszeniu pandemii? Czym dysponował, opuszczając strefę komfortu, w której pozostała większość polskich lekarzy? Zasobem Zbigniewa Martyki są wiedza medyczna, doświadczenie lekarza, odwaga i sumienie. Ordynator oddziału zakaźnego w Dąbrowie Tarnowskiej ma za sobą 30-letnią praktykę lekarską, w tym 20-letnią praktykę szefa oddziału zakaźnego. Znam Zbyszka i przyznam, że rzadko spotykam ludzi, którzy tak dobrze pasują do wybranego przez siebie zawodu. Uosobienie spokoju i łagodności. Sposób odnoszenia się do rozmówcy pełen delikatności i empatii, komunikatywny i precyzyjny sposób wypowiedzi. To rodzi poczucie zaufania. A w relacji lekarz – pacjent zaufanie to wartość fundamentalna. To właśnie zaufanie, którym obdarzają Zbyszka pacjenci, było dla niego zobowiązaniem, by odrzucić zalecenia i rozporządzenia, które wydały mu się nie do pogodzenia z wiedzą medyczną.

Wiemy, że nie wszyscy lekarze mają dostęp na najnowszych badań. Ale większość ma jednak zdolność obserwacji i oceny sytuacji, kierując

się zdrowym rozsądkiem. A zalecenia polityki pandemicznej były nie tylko wbrew wiedzy medycznej, lecz także wbrew rozumowi i poczuciu logiki. Przeczyły również etyce lekarskiej i elementarnej ludzkiej uczciwości. Nie można bowiem odmawiać przyjęcia pacjenta dlatego... że jest chory! Nie można zamykać się przed chorymi, by przez telefon zgadywać, co im dolega. Nie można skazywać na izolację zdrowych ludzi – lekarzy i personelu medycznego – by potem zamykać całe oddziały szpitalne, jednocześnie paraliżując cały system opieki zdrowotnej, chroniąc rzekomo społeczeństwo przed wirusem. Nie można fałszować karty zgonu, wpisując COVID-19, gdy pacjent miał dodatni test, a zmarł na zawał serca.

Przypominam to kolejny raz, ponieważ straty, których doświadczyliśmy, są olbrzymie, a skutki odczuwać będziemy jeszcze długo. Ludzie stracili bliskich, zapadli na zdrowiu, bankrutowali, tracili dorobek życia i często zostali z tym sami. Doktor Martyka protestował, przestrzegał i nie stosował się do absurdalnych zaleceń. Dlatego grozi mu teraz utrata uprawnień lekarza. Postępowanie dyscyplinarne zostało wszczęte z donosu nikiego Michała Biedziuka za publikowanie treści rzekomo „niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną”. Rozprawa odbędzie się 19 grudnia przed sądem Okręgowym Izby Lekarskiej w Krakowie o godz. 11. Zabieram kamerę, polską flagę i jadę do Krakowa. Kto ze mną? ©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Dopełniający Palikot

Nie byle jaka przetoczyła się afera 30-milionowa! Stop. Podobno tyle mieli dostać piłkowi kopacze w formie premii za wyjście z grupy na mistrzostwach świata w Katarze. Stop. Z grupy wyszli, ale w takim stylu, że kibice zapragnęli raczej odebrać im majątki niż dawać premie. Stop. Okazję obowiązkowo wykorzystali lewicowi aktywiści, gardlując, że piłkarze zarabiają za dużo, a np. pielęgniarki za mało. Stop. Średnia wieku pielęgniarki w Polsce to ponad 50 lat. Stop. Cóż, może to i brutalne, ale ta grupa zawodowa nie wzbudzi u kibiców emocji. Stop. Stało na tym, że raczej nikt nic nie dostanie. Stop.

Janusz Palikot ma wejść do rady krakowskiego Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAR. Stop. Tak zdecydował prezydent Krakowa, Jacek Majchrowski. Stop. W Warszawie w Teatrze Dramatycznym wystawiono pomnik waginy, ale Kraków, jak widzimy, chce iść własną, choć w pewnym sensie komplementarną drogą... Stop.

Były prezes TVP Jacek Kurski ma być dyrektorem w Banku Światowym. Stop. Kto obserwował profil twitterowy byłego prezesa telewizji, ten wie: będą piki okraszone autopromocją! Stop.

Nie wiem, co zrobić z pozyśkaną przypadkiem wiedzą, nie wiem. Stop. Syn pieśniarza Krzysztofa Skiby o imieniu Tytus podał do publicznej wiadomości, że jest biseksualny. Stop. Biseksualna informacja hasała po Internecie

jak jakaś szalona. Stop. Gdyby ktoś z państwa wiedział, jak spożytkować tę nowość, proszę o kontakt. Stop.

Do wielu interesujących interakcji dochodzi codziennie w mediach społecznościowych. Stop. Oto przykład. Dziennikarka Karolina Opolska, znana nie tylko z tatuaży, napisała na TT: „Człowiek, który okazał się rosyjskim szpiegiem, był członkiem komisji likwidacyjnej nadzorowanej przez Antoniego Macierewicza. No ja jestem w szoku, a Państwo?”. Stop. W interakcję wszedł Piotr Woyciechowski: „No ja jestem w szoku! Okazuje się Pani kompletną ignorantką. Komisja likwidacyjna WSI nie była nadzorowana przez Antoniego Macierewicza, tylko przez Radka Sikorskiego. Komisja raportowała do Sikorskiego. Wiem, bo byłem jej wiceprzewodniczącym. I co, głupio?”. Stop. Znów sprawdziła się prastara wskazówka: Jeśli jesteś czegoś całkowicie pewien, to sprawdź. Stop.

Wojsko chce wzywać na miesięczne przeszkolenie młodych mężczyzn. Stop. W mediach społecznościowych zaroilo się od nieco histerycznych komunikatów gejów, że oni nie chcą, bo w wojsku jest ciężko. Stop. Dodawano także argumenty, że w ogóle. Stop. W ten sposób powoli się krystalizuje, co w praktyce oznacza równoprawnienie dla środowisk LGBT. Stop. Małżeństwa – tak, służba wojskowa – to niekoniecznie. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Nękani przez Donka i spółkę

Małgośka, mówią mi, pisz więcej w imieniu czytelników, w końcu to my kupujemy „Do Rzeczy.” Już się robi – odpowiadam. Tym bardziej że zarówno wy, czytający, jak i my, publikujący, reprezentujemy tę samą mniejszość pięknoduchów i patriotów, która od przedszkola stawiała czoła osiłkom z płaskostopiem mózgowym, a często i moralnym. Już od zerówki wytykano nas jako „kujonów”, prawda? A byliśmy po prostu zdolni programowo, także czytani po kądzieli, pracowici po mieczu (lub na odwrót).

Szybko nauczyliśmy się jednak, że nie warto wychylać się bez sensu, bo i tak różne takie klasowe Donki, które to świetnie harały w gałę, boleśnie harały nas też w głowę. Niestety, Donek jako sprytna bestia umiał sprawić, że nauczycielki rumieniły się z zachwyty, a klasowe stado posłusznie podążało za nim. My zaś wprost przeciwnie: z WF – modelowe ofermy, ale za to piątkowi z całej reszty przedmiotów, więc hejt klasowy mieliśmy gwarantowany (z wyjątkiem tych przerw, kiedy zżynali na nas prace domowe). Oczywiście znosiliśmy nasze cierpienie z wczesnochrześcijańską pokorą, bo na lekcjach religii wpadało nam w ucho coś o kielichu goryczy nawet dla maluczkich.

Najgorsze, że typowy Donek umiał stworzyć grupę

trzymającą władzę w każdej klasie. Stąd zawsze płatali się przy nim jakiś Grzesiek od brudnej roboty, spazmatyczna Ewka, poza tym: rubaszny Bronek, wulgarny Radek i dryblas Romek. Najbardziej zaś elokwentny – Adaś – był ich rzecznikiem klasowym. Schemat grupy trzymającej władzę mógł przybierać różne oboczności, ale matryca była ta sama od czasu szkoły z bursą w Biskupinie. Oczywiście jako „kujony” dostawaliśmy różne misje zlecone od nauczycieli, np. sadzano nas w ławce z jakimś tępym kolegą i kazano nam podciągnąć go w nauce i zachowaniu. A wszystko to musieliśmy robić gratis, bo już wtedy przygotowywano nas psychicznie na zarobki humanisty. „Nie wytrzymam z tym ciołkiem – mówiłam rodzicom. – nie dość, że nic nie kuma, to jeszcze zjada kozy z nosa, mówiąc, że są bardziej wege niż moje kanapki”. „Wytrzymaj – prosiła mama. – Zobaczysz, oni wszyscy zostaną robotami w krasnostawskiej mleczarni, cukrowni lub fermentowni, a ty zostaniesz Kimś!”.

Od tamtej pory codziennie przez 30 lat oglądam, jak bardzo rodzice się mylili. Owe Donki, Radki i Jachirki zamiast bełtać kefir w mleczarni Krasnystaw, zapędziły się na najwyższe w Polsce stołki. Za to ja (o mój losie!) wciąż wypracowania piszę! Tyle że zamiast o szlachetnym panu Tadeuszu lub panu Wołodyjowskim, to o panach pajacach z opozycji... ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Caryca”

W jej kamienicy w Śródmieściu nie było jeszcze wtedy domofonu, każdy mógł wejść i smarowano odchodami drzwi do jej mieszkania. Nocą postawiono obok nich pojemnik z trującym gazem, sączącym się szczelinami. Od niechybnej śmierci uratowali ją, już nieprzytomną, sąsiedzi z tej samej klatki. Zaalarmowali straż pożarną, milicję. Próbowano podpalać jej mieszkanie. Musiała obić drzwi specjalną blachą, położyć ją też na korytarzu.

Wyłączała telefon, bo dniami i nocą nękały ją telefony grożące śmiercią. Dostawała anonimy nazywające ją kolaborantką, świnią, telewizorką z telewizji stanu wojennego, choć ani razu się tam nie pokazała, wygnała ekipę za drzwi.

W Związku Literatów krążył dowcip: „Czy kobieta po osiemnastce (bo tyle wtedy skończyła) może jeszcze zostać k.w.ą? Raczej nie, udało się to tylko koleżance Auderskiej!”. To wszystko za to, że w 1983 r. w stanie wojennym, po rozwiązaniu Związku Literatów, została prezeską nowo utworzonego wtedy związku, nazwanego przez opozycję reżimowym NeoZlepem, Wróńcem. Choć nie stanęła wcale po stronie generałów, jak jej zarzucano, lecz chodziło jej wyłącznie o ocalenie Związku Literatów, jego pięknej siedziby na Krakowskim Przedmieściu, oczywiście dla wszystkich pisarzy, i tego wszystkiego, co im dawał: tanich obiadów, kartek, bez których nie mogli nic wtedy kupić, lekarza, domu pracy twórczej w Oborach.

I to się jej udało. Było potem co dzielić, gdy po 1989 r. opozycja utworzyła Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, wprowadzając się do Domu Literatury, zajmując najlepsze pokoje. Mimo to nadal Auderską szykanowano, choć w historii naszej literatury nie było tradycji fizycznego, bandyckiego rozprawiania się z politycznymi przeciwnikami – to były metody Służby

Bezpieczeństwa, ale nie pisarzy.

Włos nie spadł nigdy z głowy nawet najgorszym szkodnikom Związku Literatów, np. jego nadzorcą z ramienia KC – towarzyszowi Bermanowi czy Łukasiewiczowi, Putramentowi, Sokorskiemu, chwalcom Stalina czy tym, od dawna słusznie podejrzanym o współpracę z SB – Koźniewskiemu, Sadkowskemu.

Popierających stan wojenny aktorów wyklaskiwano, pisarzom odsyłano książki, podpalić czy zatruć gazem chciano tylko ją. Dlaczego? Wcale się przecież na fotel prezesa NeoZlepu nie pchała, wybrał ją gen. Jaruzelski, uznając, że tylko ona się na to stanowisko nadaje, ma piękny życiorys. Pochodziła bowiem z rodziny zesłanych na Sybir styczeńskich powstańców. Urodzona w 1904 r. już jako gimnazjalistka była sanitariuszką w wojnie roku 1920 z bolszewikami. W czasie okupacji uczyła na tajnych kompletach, należała do AK, uczestniczyła w akcji „N”, w czasie powstania warszawskiego redagowała gazetkę „Warszawa walczy”. Była bezpartyjną katoliczką i choć należała raczej do pisarzy drugiej ligi, to miała też sukcesy – np. scenariusz do powtarzanego często w telewizji serialu o królowej Bonie.

Wielu kolegów, choćby Putrament czy Przymanowski, miało ochotę na prezesurę NeoZlepu, od razu więc miała w nich wrogów.

Zrobiła sporo. W 1968 r. nie pozwoliła wyrzucić z ZLP Jasienicy, jako jedyną z władz Związku przemawiała na jego pogrzebie. Jeszcze za Gierka załatwiła pisarzom renty twórcze. Mimo to nazywali ją Babonem Auderskim, Carycą, Narcyzą z piekła rodem, która działa w ZLP, bo jest samotna, bezdzietna, niedopieczona.

Niszczyli ją też pomówieniami, jakoby jej dwie najlepsze książki – „Ptaś gościniec” i „Babie lato” – na-

pięła na podstawie pamiętników kresowiaka – że przyniósł je do oceny pani pisarce, ona natomiast lekko je poprawiła i wydała pod swoim nazwiskiem – choć nigdy nie pojawiły się na to żadne dowody.

Głównie jednak zwalczano ją za to, że – podobnie jak Iwaszkiewicz – była zwolenniczką umiaru, przeciwniczką stosowanej często przez opozycję pirotechniki, która rozwścieczała tylko władze, gdy forsowano np. do zarządu kandydaturę Zdzisława Najdera, współpracownika Radia Wolna Europa, fetowanego w ZLP Zbigniewa Bujaka. Wcześniej, w 1978 r., związkowa opozycja bezpardonowo walcząca o władzę usunęła ją ze stanowiska wiceprezesa, zastąpiła ją Januszem Krasieńskim, związkowym dygnitarzem, członkiem wszystkich zarządów, wiceprezesem, który po 1989 r. w swoich życiorysach przedstawiał się jako zwykły, szary członek ZLP. Co więcej, była pewna, że to opozycja nie tylko wypchnęła ją z fotela wiceprezesa, lecz także zepchnęła ją wtedy ze schodów, utrzymując, że był to przypadek, że sama się potknęła. Zakończyło się złamaniem nogi, kręgow szyjnych, czaszki, inwalidztwem. Mimo to zgodziła się na prezesurę NeoZlepu. Nie zniósła jednak szykan, zrezygnowała po trzech latach.

Zupełnie wtedy o niej zapomniało. Została więzieniem własnego mieszkania, coraz gorzej chodziła – już tylko przy pomocy tzw. balkonika, traciła wzrok. Najbardziej jednak bolała ją ciągły ostracyzm, świadomość, że Związek Literatów, któremu poświęciła życie, przyniósł jej tylko inwalidztwo i piętno kolaborantki. Ciężko z nim odchodzić. Ta dumna więc niegdyś „Caryca” prosiła mnie, abym przypomniawszy pisarzom, co dla nich zrobiła, i zapytała ich, czy zasłużyła sobie na piekło, które jej zgotowali. ©©



FOT. W. LEJHANSKI / UTÓJAKSŁAW SŁOŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W Sejmie stale poprawiają ustawy, uchwalając poprawki lub całość napisaną zupełnie od nowa. Mówią, że przepisy poprzednie niedobre i trzeba zmiany. A to przecież znaczy, że przyznają się do faszynki – ci sami ludzie, którzy teraz uchwalają kolejną reformę, poprzednio uchwalili tamtego bubla, „który wymaga zmiany”. I tamten bubel to też była „reforma złego prawa”. Czyli Sejm zawsze uchwała złe prawo, które potem wymaga naprawy, bo było złe.

Dobry kodeks nie wymaga zmian przez dziesięciolecia, a oni poprawiają (sami po sobie) stale i bez przerwy. Poprawiają rzeczy świeże! Podatki potrafią poprawiać, zanim wejdzie w życie poprawka poprzednia. Czyli stale produkują buble. I każdy kolejny bubel uchwalają, zawiadamiając naród, że to jest doskonała reforma przepisów.

Liczba wypadków na pasach jest teraz o jedną trzecią większa niż przed wprowadzeniem zmian w przepisach o ruchu drogowym. Posłowie, którzy głosowali za tamtą zmianą, mają na sumieniu ofiary złej zmiany. Jakoś ich to nie przejęło i nadal tworzą prawo. A nie powinni. Sejm jest władzą ustawodawczą, a nie ustawotwórczą. Sejm nie powinien pisać prawa, Sejm ma prawo uchylać. Prawo napisane przez kogoś innego, bardziej inteligentnego niż przeciętny poseł.

Grupa dyletantów w sejmowej komisji to nie są prawnicy ani konstytucjonaliści, lecz grupa obywateli dyletantów, w dodatku poważnie skłóconych, bo należą do różnych partii. W takiej atmosferze nie da się dobrze pracować – wiadomo, że wyprodukują buble.

Gdybym ja się wziął za budowę traktora, to też wypuściłbym bubla, bo się na tym nie znam. Ale... potrafiłbym ocenić traktor wybudowany przez kogoś innego i podjąć decyzję, czy kupić.

Prezydent podpisał przepisy o konfiskacie samochodu za wykroczenia w ruchu drogowym. Kierował się najprawdopodobniej uczuciem niechęci wobec pijanych kierowców, a nie swoim wykształceniem prawniczym. Niedopuszczalne. Temida ma być ślepa, a nie uczuciowa; przepisy sprawiedliwe, a nie mściwe.

Konfiskata mienia, które NIE pochodzi z przestępstwa. Naprawdę? Pijany kierowca złamał prawo, ale nie ukradł tego samochodu i samochód to nie jest sprzęt nielegalny.

Konfiskata majątku, bo ktoś się źle zachowuje i jeździ po pijaku – coś takiego pasuje dyktatorom, pasuje reżimom autorytarnym, pasuje do państwa policyjnego, ale nie do demokracji. W kraju, który szanuje prawa człowieka, państwo nie konfiskuje mienia, które nie pochodzi z przestępstwa.

Gdyby prezydent D. myślał jak prawnik, to od razu zauważyłby wady przepisów, które podpisał. W demokracji obowiązuje równość wobec prawa, czyli każdy niezależnie od swego wyglądu, religii, majątku, wykształcenia itd. dostaje taką samą karę za takie samo przestępstwo. W tym przypadku przestępstwem jest jazda po pijaku, a karą konfiskata samochodu.

Ten rodzaj kary z daleka i na pierwszy rzut oka śmierdzi nierównością. Samochody są różne, jeden pijak jedzie gruchotem, drugi teslą i obaj są tak samo pijani. Jednemu skon-

fiskowano 3 tys. zł w postaci gruchota, drugiemu nową teslą za pół miliona.

Czy to jest sprawiedliwe? A gdzie równość wobec prawa? Zanim się coś wdroży czy uchwali, należy wykonać eksperymenty – w przypadku ustawy eksperymenty myślowe – co by było gdyby przepis w tej formie wszedł w życie. Czy ustawa da się obejść? Jakie skutki przyniesie?

Bogacze sobie poradzą od razu. Kupią stare gruchoty i to nimi będą jechać na kielicha. W knajpie siedzi i chla kilka miliardów, a na parkingu przed knajpą zaparkowane same złomy.

Złomy będą zarejestrowane na firmę, bo ustawodawca przewidział, że w przypadku, gdy auto jest cudze, kierowca zapłaci równowartość wyliczoną urzędowo ze średniej ceny rynkowej. To cudownie, że ze średniej, bo mogę kupić auto naprawdę byle jakie, wyceniane średnio na kilka tysięcy, ale ponieważ jestem bogaczem, to każę je sobie podrasować, wsadzić skórzane fotele, klimę, złote klamki. Moje auto warte będzie realnie dużo, ale w razie wypadki zapłacę tylko parę groszy według średniej urzędowej.

A co w sytuacji, gdy auto jest moje, ale jeździ nim cała moja rodzina? Dlaczego wszyscy członkowie rodziny są karani za przestępstwo lub wykroczenie popełnione przez jedną osobę? Odpowiedzialność zbiorowa nie jest cechą państwa, które szanuje prawa człowieka.

A co w sytuacji, gdyśmy się po pijaku zamienili samochodami? Ja, biedny kuzyn, jadę sobie teslą bogatego kuzyna, a on moim gruchotem. Złapali nas obu i on, bogacz, zapłaci karę w cenie mojego auta-złomu,

mnie natomiast każą płacić pół miliona, bo tyle jest warta tesla, w której przypadkowo zasiadłem. Ta sytuacja to nie jest równość wobec prawa.

Eksperymenty (realne lub myślowe), zanim się coś wdroży, są kluczowe. W świecie naukowym stanowią KANON postępowania. Andrzej Duda po tym, jak nie zdał egzaminu na aplikację adwokacką, poszedł w kierunku kariery naukowej i dydaktycznej. Ostatecznie został doktorem nauk prawnych. Jako naukowiec powinien umieć przeświecić każdą ustawę lub powinien ją dać do przeświecenia koledze. To też kanon postępowania w nauce – wymyśliłeś coś nowego, stawiasz hipotezę i dajesz ją do podważenia kolegom po fachu, by znaleźli słabe punkty w twoim myśleniu lub wynalazku.

Twitter ujawnił dowody na to, że Biden jednak nie wygrał wyborów uczciwie. Trump zareagował tak: „Co w takim razie robimy? Tamten wynik idzie na śmietnik i prezydentem ogłaszamy prawdziwego zwycięzcę? Czy urządzamy nowe wybory?”

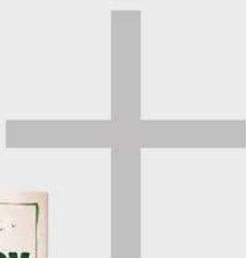
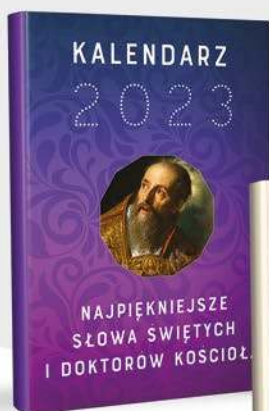
Trump zaproponował wprost, by naruszyć konstytucję, gdyż jego zdaniem amerykańscy ojcowie założyciele nie przewidzieli spisku na tak wielką skalę. To prawda, nie przewidzieli, ale podkreślali wiele razy, że naruszanie praw dla „wyższych celów” prowadzi do dyktatury. Rozwiązania kłopotu z Bidenem trzeba więc szukać w amerykańskiej konstytucji – impeachment, czyli usunięcie z urzędu przestępców, w tym urzędującego prezydenta.

W Polsce przepisy o konfiskacie majątku naruszają prawa obywatelskie dla „wyższych celów” (chcemy karać pijanych kierowców). Każde naruszenie, niezależnie od intencji, to krok w bagno tyranii. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE KSIĄŻKI

ADRIAN MARKOWSKI: „BIESZCZADY. DLA TYCH, KTÓRZY LUBIĄ CHODZIĆ WŁASNYMI DROGAMI” ORAZ OPRACOWANIE AGNIESZKI MAZUR: KALENDARZ 2023. NAJPIĘKNIJSZE SŁOWA ŚWIĘTYCH I DOKTORÓW KOŚCIOŁA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~515 ZŁ~~

216,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 299 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl bf042c25d5



ROAMER

OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY



C-LINE